NUMER ŚWIĄTECZNY – 24 STRONY

Cena 20 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 22-29 grudnia 1946 r. | Nr 51-52 (108-109)

ARTUR SANDAUER

KIERUNKI LITERACKIE WE FRANCJI

Nie tylko ktoś, kto spędził we Francji cztery niespełna miesiące, ale i stały jej mieszkaniec nie zdoła ogarnąć całości jej kulturalnego życia, którego bogactwo skazuje obserwatora na przymusową dorywczość. Niemniej jednak nie zamierzam roztaczać tutaj pawiego ogona anegdot: lojalność wobec tematu wymaga, abym zaznaczył, że w literaturze cenię tylko wynalazczość: interesują mnie odkrycia, lecz nie ich zastosowania; fakty dostrzegam tylko o tyle, o ile mieszczą się w jakiejś syntezie. Toteż znalazłem się we Francji w niezbyt godnej pozazdroszczenia sytuacji człowieka, który usiłuje dźwignąć budowlę na terenie bezustannie ruchomym: ledwo zdąży wznieść jedną ścianę, już druga chwieje się lub odpływa w nieznane; ledwo zdąży wydobyć z mnogości zjawisk jakąś myśl ogólną, już nadpływają nowe, by ją skorygować, uzupełnić lub zgoła zaprzeczyć. Oto są zaczątki niedobudowanego systemu, pełnego szpar i szczelin...

Wyłączam z mojej obserwacji wszelkie zjawiska, których jedyną racją bytu jest ich aktualność. Nie wróżę długotrwałej przyszłości czy [illegible] tograficznej literaturze partyzanckiej lub wojennej, o ile nie odkrywa ona nieznanych dotąd sfer psychiki lub działalności człowieka. „Nagroda krytyków", przyznana w ubiegłym roku ckliwej powieści Romana Gary „Wychowanie europejskie", dowodzi, że — nawet we Francji — względy aktualności mogą przeważyć nad artystycznymi. Podobnie jak niegdyś u Monteskiusza Persja, tak tutaj Polska, gdzie toczy się akcja powieści, służy jako konwencjonalna dekoracja. Jeśli jednak w „Listach perskich" nieistotność ram podkreśla aluzyjność czy alegoryczność opowiadania, którego domyślnym terenem jest Francja, to tutaj brak głębszego sensu, który by usprawiedliwił nieprawdziwość lokalnego kolorytu. Fałsz historyczny nie tłumaczy się żadną prawdą ogólną; pozostaje celem dla siebie...

Tych dzieł krótkodystansowych można by we Francji naliczyć więcej. Fawor, jaki zdobyły u krytyki oficjalnej i u publiczności, wynika z przyczyn politycznych: czystka pokolaboracyjna, jaką przeprowadziła u siebie Francja, domagała się odpowiednika artystycznego.

Porównując obfity wyraz, jaki znalazła partyzantka francuska w literaturze i w filmie, z naszym skąpym pokłosiem, nie można się oprzeć wrażeniu dysproporcji. Jest — czy raczej była — we Francji wioska Oradour, którą Niemcy z niewiadomego poduszczenia zrównali z ziemią, mężczyzn wystrzelali, kobiety wywieźli. W przedmowie, jaką młody poeta, Jean Marcenac, poprzedza swój zbiór „Le ciel des fusillés" („Niebo rozstrzelanych"), czytamy: „My, szkoła literacka, wyrosła na zgliszczach Oradouru"... Mimo woli zadajemy sobie pytanie, czy, gdyby u nas z każdej spalonej wioski miała wyniknąć szkoła literacka, nie mielibyśmy ich zbyt wiele?...

W obecnej chwili fala tematyki wojennej i okupacyjnej we Francji — podobnie jak i u nas — odpływa, pozostawiwszy jednak za sobą dość trwałe, zarówno w literaturze jak i w mentalności francuskiej, ślady. Jednym z najbardziej widocznych skutków politycznych tej wojny jest — upatriotycznienie komunistycznej partii francuskiej. Podczas okupacji zaszło bowiem zjawisko niespodziewane, świadczące o klasowym charakterze ruchów politycznych: oto w obozie kolaboracji znaleźli się dawni nacjonaliści, podczas gdy byli „wywrotowcy" (Aragon na przykład, który w okresie pierwszej wojny pisał, iż ze wstydem nosi mundur francuski) jedyni — obok postępowych katolików — podjęli bezkompromisową walkę z okupantem. Sprawa proletariatu okazała się identyczna z interesem narodu francuskiego. Okupacja dokonała niespodziewanego „change de places", umieszczając narodowców w obozie zdrady narodowej, z internacjonalistów czyniąc nieoczekiwanych patriotów.

Ta metamorfoza znalazła zarówno tematyczny jak i formalny wyraz w poezji Aragona: tematyczny, bo od treści lirycznych przeszedł do zbiorowych; formalny, bo, wskrzeszając styl średniowiecznej ballady i nawiązując do tradycji truwerów, powrócił niejako do korzeni francuszczyzny, odnalazł jej stare i wiecznie żywe źródła.

Wczorajsi buntownicy stali się dzisiejszymi tradycjonalistami: to dość normalne zjawisko wywołało jednak głęboki kryzys we francuskim surrealizmie. W zaczątkach swych był on wyrazem buntu przeciw tradycji mieszczaństwa francuskiego, jego racjonalizmowi, trzeźwości, wyrachowaniu: francuski filister, którego najpełniej zobrazował Flaubert w aptekarzu Homais, stanowi bowiem dokładną antytezę naszego. Gdy nasz wciąż jeszcze karmi się romantyczno-patetyczną frazeologią, to jego francuski odpowiednik, wychowany na tradycjach Wielkiej Rewolucji, naszpikowany wolnościowymi i równościowymi hasłami, wierzy w Naukę, Postęp i w boginię Rozumu. Ucieczka surrealistów w świat snu, wiara w podziemne siły osobowości, w wyzwolenie przez szaleństwo, wszystko to miało być odczynnikiem na przytłaczającą trzeźwość francuskiego sposobu myślenia i bycia. Jest jednak istotną cechą wszelkiego buntu, że anarchiczny w pierwszym stadium, w drugim przechodzi do form bardziej zorganizowanych. Co prawda, niektórzy surrealiści, jak sam jego twórca i kodyfikator, André Breton, autor słynnego „Manifestu", zostali na pierwotnych anarchistycznych pozycjach; inni, jak Aragon, jak Tzara, jak Eluard znaleźli oparcie w ruchu proletariackim, w partii komunistycznej. Tu jednak rodzi się owa wewnętrzna sprzeczność, o której mówiliśmy powyżej. Protest surrealistów przeciw mieszczaństwu nie mógł wyrazić się inaczej, jak w irracjonalizmie; lecz port, do którego przybili ostatecznie, był również racjonalistyczny. Irracjonalizm zatem surrealistów był przejściem między dwoma rodzajami racjonalizmu: mieszczańskim i proletariackim, chwilowym vacuum, zawieszeniem piłki między dwiema parami wzniesionych dłoni. Obecna ich postawa polityczna domaga się nowych środków wyrazu, gruntownego przetworzenia dotychczasowego stylu. Wiemy jednak, jaka jest autonomia form artystycznych. Bywają twórcy, którzy mimo zmiany ideologii — nie mogą wydobyć się z pęt przestarzałych już środków artystycznych. Oczywiście Aragon przezwyciężył surrealizm; przezwyciężył go również Eluard w swych bezkolorowych, pełnych wykwintnej prostoty utworach; lecz nie Tzara ani wielu innych, mniej znanych. Surrealiści cierpią na rozdwojenie przekonań politycznych i artystycznych: zjawisko dostrzegalne również u naszych pisarzy. Głosząc racjonalizm, uprawiają formalną abrakadabrę lub — co gorsza — tzw. czarną literaturę.

Pojęcie to oznacza we Francji literaturę „metafizycznej beznadziei". W komunistycznej „Action" toczono niedawno gorące debaty na temat: „Czy należy spalić dzieła Kafki?" Postawienie problemu wydawało się wielu zbyt rażące; nadto przypominało znane skądinąd metody. Mimo to, jeśli nie wszyscy, to większość pisarzy lewicowych opowiedziała się za — nie powiem — spaleniem, lecz za ostrożnością w obchodzeniu się z tak wybuchowym materiałem. Dzieła Kafki nazwałem kiedy indziej literaturą pozytywnego bezsensu; można by je również określić jako negatywny mistycyzm; wszystkie wyrażenia są tu odpowiednie, byleby były dostatecznie sprzeczne: o bezsensie niesposób mówić inaczej. Człowiek usiłuje połączyć zdarzenia swego życia w jakiś ciąg logiczny; lecz odkrywa tylko jego brak. Ów brak jednak staje się u Kafki czymś pozytywnym, symbolem ukrytych i na zawsze dla nas niedostrzegalnych łączności: wysokie, milczące mury, poza którymi — zagadka. Jest to właściwie odwrotny katolicyzm, problematyka ludzi bez łaski.

Ten negatywny mistycyzm, twór samoudręczonego Żyda z Pragi, Franciszka Kafki, odbił się szerokim echem nie tylko w Europie. Z Ameryki wtóruje mu głos drugiego papieża czarnej literatury, Williama Faulknera, autora znakomitej powieści „Sound and fury" („Hałas i wściekłość"), której tytuł — podobnie jak wielu innych powieści angielskich i amerykańskich — jest aluzją do szekspirowskiego wiersza: „The world is a tale, told by an idiot, full of sound and fury" („Świat jest opowieścią idioty, pełną hałasu i wściekłości"). Faulkner powiedzenie to interpretuje dosłownie: narratorem jest tu autentyczny idiota, Benjy; powieść oddaje jego chaotyczny monolog wewnętrzny, łącząc odległe o kilkanaście lat zdarzenia w jedną całość, ba! w jedno zdanie, przeskakując i mącąc chronologię, którą czytelnik musi z tych „dislectae membra actionis" dopiero rekonstruować. Aby skompromitować ostatecznie wszechświat, Faulkner przesącza go przez mózg idioty.

W obu omawianych powyżej wypadkach absurd zyskuje sens pozytywny: brak odpowiedzi na pytania człowieka jest również odpowiedzią: bezowocne poszukiwanie absolutu zastępuje — u Kafki — absolut. Może jednak zajść inny jeszcze wypadek: że, nie szukając sensu w świecie, stwierdzamy po prostu jego zasadniczą absurdalność. To rozwiązanie nazwiemy egzystencjalistycznym.

O egzystencjalizmie pisano już w Polsce dość wiele, lecz — poza zamieszczonym w „Odrodzeniu" artykułem Mouniera — raczej zdawkowo. Ruch ten zasługuje jednak na poważniejsze traktowanie; nie można zbyć go lekceważącym machnięciem ręki lub — jak to u nas jest w zwyczaju — paru dowcipami. Wynika on zapewne z jakichś głębokich pokładów dzisiejszości, jeśli pojawił się równocześnie i prawie niezależnie w Ameryce, w Niemczech, we Francji i — śmiem rzec — przed wojną i w Polsce, jakkolwiek tutaj — przy naszym ogólnie stwierdzonym braku talentu filozoficznego — w formie raczej beletrystycznej niż intelektualnej.

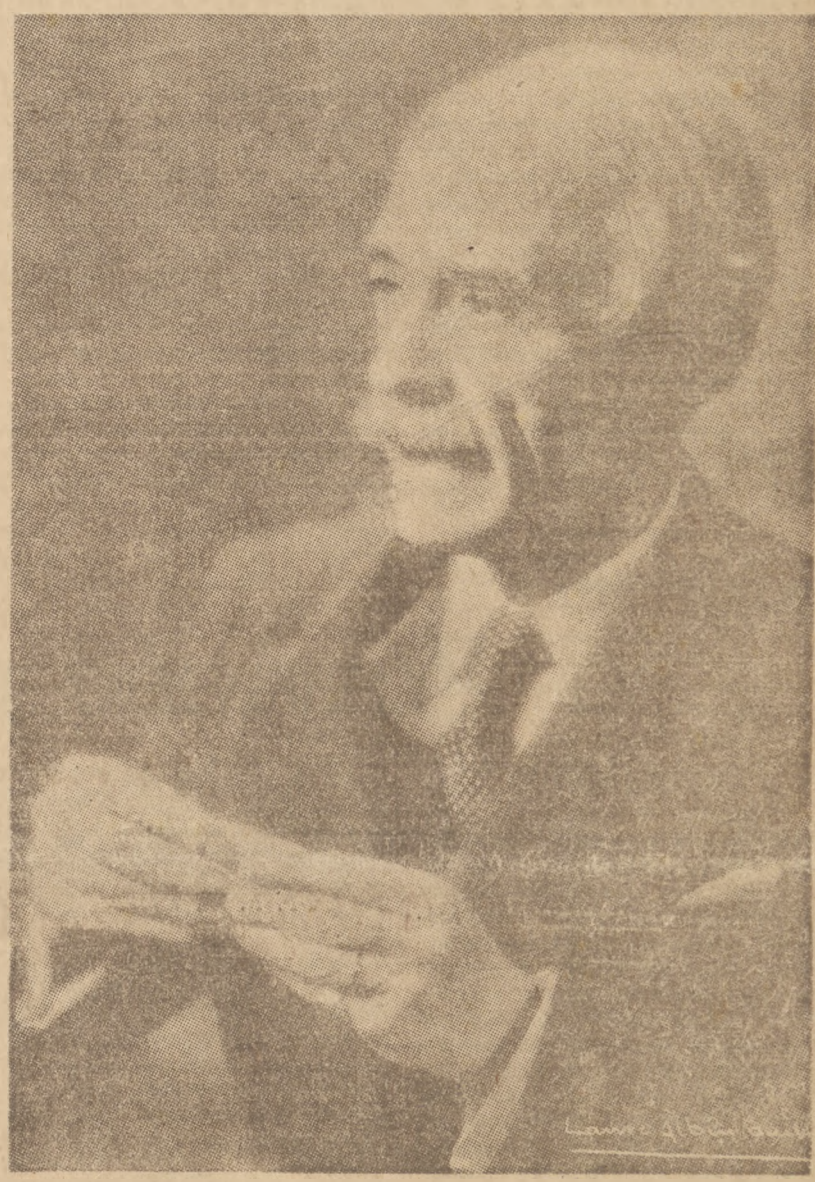

Paul Valéry

Egzystencjalizm przeciwstawia światu przedmiotów, które **są**, zamknięte w sobie, pełne i gęste, świadomość ludzką, która nie jest tym, czym jest i jest tym, czym nie jest. Przy pomocy tej dość enigmatycznej terminologii, definiującej wszelkie zjawiska przez rozmaite odmiany słowa „być", egzystencjalizm stara się oddać zmienność i płynność świadomości. Jest ona bezcielesnym ostrzem, które posuwa się w przyszłość. Wciąż wyprzedzając siebie samą, jest tym, czym **jeszcze** nie jest; wciąż odrzucając przeszłość nie jest **już** tym czym jest. Życie odtrąca swe własne determinanty, wiecznie je przetasowuje. Przeszłość nasza nigdy nie jest gotowa; zawsze tworzymy ją ex post.

Zilustruję to na dwu przykładach: w noweli Jean-Paul Sartre'a „L'Enfance d'un chef" („Dzieciństwo wodza") śledzimy rozwój wewnętrzny francuskiego młodzieńca od dzieciństwa do chwili, gdy, dojrzały już, wstępuje w szeregi camelotów, przedwojennej organizacji faszystów francuskich. Nowela ta, pełna — jak zwykle u Sartre'a — zjadliwości wobec bohatera, prowadzi go poprzez wszystkie typowe dla młodego Francuza stadia: w pewnym wieku interesuje się psychoanalizą, później dostaje się w koła surrealistów, by wreszcie wylądować w ruchu narodowców. W każdym z tych okresów widzi swą przeszłość inaczej, podsuwa inne znaczenia pod te same fakty; w okresie zainteresowań freudowskich odkrywa w pewnych zdarzeniach dzieciństwa dowody kazirodczej miłości do własnej matki; później, gdy popada pod wpływ camelotów, interpretuje te same fakty jako objawy moralnego zdrowia. Innymi słowy, młodzieniec ów tworzy sobie coraz to nową mitologię własnej przeszłości. Nie ma zatem — twierdzi Sartre — żadnej ostatecznie prawdziwej interpretacji naszego życia; jego sens jest zawsze zależny od naszego obecnego nastawienia i przyszłość warunkuje przeszłość.

Tę teorię rozszerza Sartre i na zjawiska historyczne: kiedy w roku 1917 Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom, zaczęła równocześnie podkreślać pewne, nieważne dotąd, fakty ze swej historii, które by zaakcentowały przyjaźń francusko-amerykańską. Wydobyto z niepamięci bohatera amerykańskiej wojny o niepodległość, Francuza La Fayette'a, stworzono naprędce hipotetyczną historię związków politycznych i kulturalnych.

Podobnie jak poszczególne życie ludzkie, tak i dzieje zależą od oświetlenia celowego, które na nie rzucamy. Toteż dla egzystencjalisty psychika ludzka jest wieczną stylizacją, bezcielesnym udawaniem, maską na nieistniejącej twarzy. Nie ma prawdy duchowej: jest tylko zmienna gra pozorów: psychologia fikcyj. Tym samym neguje Sartre tak podstawowe pojęcie, jak charakter: ten wyłania się dopiero w chwili śmierci, gdy wszystko jest ostatecznie ustalone i niezmienne.

Póki żyjemy, odnawiamy się wciąż i zaprzeczamy sobie samym; nie mamy z góry określonej natury; tworzymy ją w miarę życia. Fakt istnienia wyprzedza istotę; „l'existence précède l'essence"; to hasło zadecydowało o nazwie ruchu. O odrębności jednostki stanowi nie jej charakter, lecz rzutowany w przyszłość i zawsze — aż do śmierci — niegotowy życiowy projekt. Tu, co prawda, chwytamy Sartre'a na gorącym uczynku gry słownej: ów projekt różni się bowiem od charakteru tylko nazwą. W każdym razie on to warunkuje otaczającą nas rzeczywistość; świadomość — odwrotnie niż u marksistów — określa byt. Stromość tej góry istnieje tylko jako funkcja mych turystycznych zamiarów; sama w sobie nie jest ani stroma, ani pochyła; jest. Każdy nasz wybór stwarza dokoła nas pewną sytuację, którą można abstrakcyjnie wydedukować. W ten sposób łączy się egzystencjalizm z fenomenologią Husserla, która zajmuje się opisem pewnych, wyłączonych z ich kontekstu, układów zjawisk.

Negując istnienie charakteru, Sartre wprowadza jednak rozróżnienie między człowiekiem widzianym przez siebie a człowiekiem widzianym przez innych („l'être-pour-soi" i „l'être-pour-autrui"). Dla siebie jest on wieczną niespodzianką i płynnością; dla innych określonym charakterem. Spojrzenie bliźnich, jak wzrok Meduzy, zamienia nas w kamień, narzuca nam pewne stałe cechy, mumifikuje. Podobnie jak dla polskiego prekursora egzystencjalizmu Gombrowicza, tak i dla Sartre'a opinia innych o nas nie jest czymś zewnętrznym, lecz głęboką deformacją naszej istoty. „Inni kształtują nas w sobie" — mówi Sartre. „Robią nam gębę" — powiedziałby Gombrowicz. W kontaktach międzyludzkich chodzi zawsze o wzajemne pozbawienie się wolności, o zamianę drugiej istoty lub siebie samego w przedmiot. Jedną z postaci tej walki jest miłość i jej odmiany, sadyzm, masochizm. Sartre zaprzecza porozumieniu międzyludzkiemu: pojęcie „my" dla niego nie istnieje. Znakomita powieść egzystencjalisty Camusa „L'Etranger" ilustruje paradoksalną tezę, że charakter nasz jest wytworem naszych bliźnich. „Powieść — pisałem w 47 nr. „Odrodzenia" — rozpoczyna się szeregiem opowiedzianych w pierwszej osobie i niepowiązanych na pozór wypadków: bohater uczestniczy w pogrzebie matki, która zmarła w przytułku, po czym idzie z przygodną towarzyszką do kina itd. Przypadkowo popełnia zbrodnię, której motywu sam nie zna. Lecz gdy staje przed sądem, cały ten, dla niego dowolny i nieciągły, zbiór wypadków w oczach prokuratora nabiera sensu, staje się dowodem premedytacji i morderczych instynktów; oddanie np. matki do przytułku lub nawiązanie w dzień po jej śmierci stosunków z kobietą jest poważnym obciążeniem. Między niepowiązanymi dla bohatera wypadkami prokurator stwarza łańcuch przyczynowy, który decyduje o jego losie".

W egzystencjalizmie psychika ulega zupełnemu ulotnieniu: wszystko jest w niej pozorem — bez substratu prawdy. Psychologizm załamuje się ostatecznie, a raczej wyczerpuje przez swój własny nadmiar. Jeśli jednak przeżycia duchowe są dowolnie tworzoną fikcją, po cóż je opisywać? Jak wylądować z powrotem w rzeczywistości?

Odpowiedź na to pytanie daje nowa powieść amerykańska przez proste stwierdzenie: „Człowieka określają nie przeżycia, lecz czyny". Kiedy rok temu propagowałem behaviorystyczny realizm, nie podejrzewałem jego — bez mojej wiedzy i woli dokonanego — istnienia.

Wpływ literatury amerykańskiej jest obecnie we Francji tak wyraźny, że niesposób jej wyłączyć z tych rozważań. Zaprawiona na technice romansu sensacyjnego, powieść ta dziedziczy po nim tę, odróżniającą ją od innych, może bardziej wyrafinowanych literatur, zaletę, że potrafi przykuć uwagę czytelnika. Powieściopisarze nasi komentują przeżycia swych bohaterów, zanim dokonali oni czegokolwiek, co by zasługiwało na komentarz. Zakładają z góry ciekawość czytelnika, zamiast ją wzbudzić. Nuda i uroczystość to nieodłączna u nas ingrediencja wysokiego poziomu.

Dokonująca się obecnie na Zachodzie nobilitacja romansu sensacyjnego przypomina karierę XIX-wiecznego melodramatu, z którego zrodził się dramat romantyczny. Powieść współczesna dziedziczy po kryminalnej nie tylko umiejętność zainteresowania czytelnika, lecz także jej antypsychologiczne założenia: postaci są tu zamienne i ów inspektor policji mógłby równie dobrze, bez uszczerbku dla swej indywidualności, spełniać rolę złoczyńcy — lub odwrotnie. Podczas gdy w dotychczasowej prozie autor, bóg i twórca swych postaci, zna z góry ich charaktery i rozwija je niczym nitkę z kłębka, to tutaj dokonuje się niejako **ateizacja** powieści: odpada współczynnik pisarskiej wszechwiedzy. Z kreatora autor staje się obserwatorem swych bohaterów: wie o nich tylko tyle, ile mu raczą zdradzić ich słowa lub gesty. Podobnie i w filmach amerykańskich akcja zazwyczaj **jest widziana** przez jedną z osób działających, która spełnia rolę speakera („Assurance sur mort". „Qu'elle était verte, ma vallée" itd.).

Powieść amerykańska, podobna w tym do egzystencjalistycznej, że ignoruje charakter i motywację psychologiczną postaci, tym się jednak od niej różni, że poprzestaje na czysto zewnętrznej, choć nieporównanie rozszerzonej, obserwacji. W swej znakomitej „Grubej forsie" Dos Passos odtwarza świat współczesny w całej wielorakości krzyżujących się współzależności i działań, bezosobową i intersubiektywną miazgę plakatów, piosenek, sloganów, która kołacze się w mózgu bezimiennego przechodnia. Bohaterami powieści są tu nie jednostki, lecz epoka.

Wydaje się, jakoby proza behaviorystyczna wyrażając nowe stadium wiedzy o człowieku, zamykała wielowiekowy rozwój. Bohaterowie dramatów lub powieści XVII- lub XVIII-wiecznych znają siebie w pełni; jeśli kłamią, to tylko przed innymi, nigdy przed sobą; Tartuffe wie, że jest obłudnikiem; człowiek jest wówczas jeden tylko: prawdziwy. Dopiero wiek XIX stwarza pojęcie udawania przed samym sobą: człowiek ówczesny, członek wstępującej — nie gromadnie jednak, lecz indywidualnie i prywatnym niejako przemysłem — klasy mieszczańskiej, odmawia utożsamiania się ze swą doraźną sytuacją: domyśla się w sobie sam i każe domyślać się innym nieprzeczuwanych skarbów wewnętrznych. Psychika rozpada się tym samym na dwie warstwy: pozorną i prawdziwą. Od pozy byronistycznej do psychoanalizy droga jest prosta. Lecz owo dno jaźni okazuje się mitem; i dla myśli egzystencjalistycznej pozostaje znów tylko jedna warstwa: tym razem ta pozorna. Psychologia sprowadza się do świadomego tworzenia fikcji. Nie ma już prawdziwych treści duchowych: są tylko udane. Tym samym cykl psychologizmu, rozpoczęty we wieku XIX, zamyka się, wyrzucając nas, nagich i uproszczonych, na brzeg rzeczywistości. I nie oznacza to bynajmniej nawrotu do psychologii klasycznej: ta bowiem zakłada wszechwładny stosunek autora do swych postaci; czymże są typy klasyczne, jeśli nie z góry przez autora ułożonym schematem? Milczące i nieuświadomione założenie pisarskiej wszechwiedzy, które dominowało dotychczas w prozie narracyjnej, obecnie odpada: materia postaci staje się twarda i nieprzenikliwa; zyskują one w stosunku do autora autonomię tworów samoistnych. W powieści amerykańskiej objawia się nowy typ człowieka, bardziej zamienny i uproszczony od tego, jaki znamy, lecz także bardziej przystosowany do zamiennych i wykluczających wszelką wyjątkowość sytuacyj, jakie nasuwa życie współczesne.

Artur Sandauer

JAN DURR-DURSKI

Powieść polska XVII wieku

NOWE ODKRYCIA

1

Powojenna odbudowa naszej historii literatury zaczyna się od badań nad powieścią. Nie jest to rzecz przypadkowa. Rodzaj literacki najściślej związany z życiem zbiorowym musiał z natury rzeczy stać się w epoce dzisiejszej, która uważa powieść za narzędzie oddziaływania społecznego, głównym przedmiotem zainteresowań naukowych. Stają się one również aktualne i z tego względu, że zaczynamy stwierdzać rozkład powieści jako gatunku literackiego i w związku z tym pragniemy spojrzeć na nią z historycznej perspektywy.

Badania obejmują na razie powieściopisarzy polskich okresu pozytywizmu. Poza twórczość Kraszewskiego wybiegają już tylko wyjątkowo. Jest jednak nadzieja, że rozbudzone obecnie zainteresowania rozszerzą się i obejmą także prekursorską powieść wieku osiemnastego i siedemnastego. Współbrzmienia z przeszłością każe nam szukać dobrze pojęta kultura literacka. Miłość starej literatury, zwracanie się do jej źródeł, powinno, choć brzmi to jak paradoks, zakreślać w pewnych wypadkach granice naszemu dążeniu do nowatorstwa.

Odkrywcza praca nad wiekiem siedemnastym, tak świetnie rozpoczęta przez Aleksandra Brücknera, ale daleka jeszcze od zakończenia, została niemal unicestwiona wskutek zniszczenia naszych bibliotek w czasie niedawnej wojny. Nie jesteśmy nawet w stanie obliczyć, co ocalało, a co bezpowrotnie zginęło z naszych skarbów rękopiśmiennych i książek-unikatów.

Próbą zdania rachunku z obecnego stanu, jeśli chodzi o nie drukowane dotychczas, w zbiorach rękopisów kryjące się, powieści polskie wieku siedemnastego, jest niniejszy artykuł.

Jak wynika z przeprowadzonych obliczeń, stan nie jest taki rozpaczliwy, jakby można oczekiwać po ostatnich klęskach. Zginęło wprawdzie bardzo dużo, ale i odnalazło się nadspodziewanie sporo utworów nowych, o których ani Brückner, ani żaden z jego następców nie wiedział. Łatwo to można sprawdzić porównując obecne zestawienie z tym, co na ten temat pisze Bronisław Gubrynowicz w pracy „Rozwój powieści w Polsce. II. Powieść epoki baroku i czasów saskich" w tomie drugim zbiorowych „Dziejów literatury pięknej w Polsce", Encyklopedia Polska P. A. U., wyd. II, Kraków, 1936.

Wypłynęła więc trzecia, obok „Argenidy" i „Syloreta", powieść jakoby Wacława Potockiego. Okazało się, że autorką powieści jest jego żona, Katarzyna z Morsztynów, pierwsza chronologicznie poetka polska. Odnaleziono nowe dzieło świętnego pisarza, Stanisława Herakliusza Lubomirskiego — powieść o Zuzannie, której odkrycie pociesza nas w części po stracie, jaką dawniej poniosła literatura staropolska przez zaginięcie „Zuzanny" Klonowicza (zapomniano nawet o wzmiance o niej u Starowolskiego). W sumie zostało odnalezionych osiem nieznanych dzieł, liczących razem przeszło dwadzieścia tysięcy wierszy.

Niektóre z cudownie ocalonych rękopisów mają dzieje bardziej dramatyczne niż najfantastyczniejsze z wypadków, które znajdujemy w fabułach powieści. Te same pociski i bomby, które waliły wszystko w gruzy, równocześnie odsłaniały nieraz ukryte w ziemi skarby. Spod ruin domów ukazywały się fundamenty dawno nie istniejących budowli. Otóż podobnie rzecz się ma z powieścią polską wieku siedemnastego. Dowodzi to, że jeszcze wiele nieznanych dzieł dawnej literatury polskiej może się ukrywać mimo dotychczasowych poszukiwań.

Można oczekiwać, że z czasem wypłynie więcej druków nieznanych. Biblioteki „podworskie", wcielane po przeprowadzeniu reformy rolnej do większych zbiorów w ośrodkach naukowych, kryją niejedną niespodziankę. Oby artykuł niniejszy był zachętą do zwrócenia uwagi w tym kierunku.

2

REJESTR POWIEŚCI

KRAKÓW

1) Anonim: „Historia barzo ucieszna". Rymowana wersja wydanej przez Jana Łosia: „Historii barzo uciesznej z francuskiego przełożonej" (przypisywanej Łukaszowi Opalińskiemu), Petersburg. 1893. Rękopis nr 2337 w Bibliotece XX Czartoryskich.

2) Anonim: „Historie świeże i niezwyczajne". Por. Julian Krzyżanowski: „Historie świeże i niezwyczajne. Rękopiśmienny zbiór powiastek z epoki saskiej", Pam. Liter. XXVIII, Lwów, 1930. Rękopis w Bibliotece Pol. Akad. Umiej.

3) **ks. Herman Drobiszewski:** „Opowieści z dziejów polskich" (o Daniłowiczu, o Dymitrze Samozwańcu itp.). Wzorowane na nowellinach włoskich. Z drugiej połowy XVII w. Rękopis w Bibliotece XX Czartoryskich.

4) **Jan Grotkowski:** „Adone" (tłum. z Mariniego). Rękopis „petersburski" zniszczony, ocalał krakowski, brak jednak całości.

POZNAŃ

5) Anonim (prawdopodobnie **St. H. Lubomirski):** „Zuzanna". Historia biblijnej Zuzanny w kształcie poematu w oktawach — 3 części (w 1 cz. oktaw 55, końca brak, w 2 cz. zachowały sie oktawy 10—33 i 58—78, w 3 cz. oktawy 1—26 i 51—74, końca brak). Por. notatka Fr. Bielaka w „Silva Rerum", 1927, str. 185. Oryginał rękopiśmienny w Bibliotece w Kórniku pod Poznaniem, kopia w posiadaniu prof. Romana Pollaka w Poznaniu.

6) **Adam Korczyński:** „Wizerunek złocistej przyjaźnią zdrady, mężowi bystrej żony abrysowany na przestrogę". (Jest to przeróbka „Wieży" z „Historii siedmiu mędrców" Poncjana. Dat. 1698). Oryginał rękopiśmienny ze zbioru Załuskich spalony po upadku powstania warsz. Kopia w posiadaniu prof. Romana Pollaka.

7) **Jakub Kazimierz Rubinkowski:** „Miscellanea polonica ab anno 1699 ad ann. 1710". „Romans o Bonie Królowej". Oryginał rękopiśmienny nr Różn. F. XVII. 74. w Warszawie spalony ze zbiorami Bibl. Nar. po powstaniu. Niektóre ustępy z kopii w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu w posiadaniu prof. Rom. Pollaka.

WARSZAWA

8) Anonim: „Historia Emmy i Eginharda". Losy rkpsu nr 781 w Bibliotece Baworowskich we Lwowie nieznane. Unikat — druk gdański w posiadaniu prof. Juliana Krzyżanowskiego w Warszawie.

9) Anonim: „Historia o Sapho". Obszerna powieść prozą. Rękopis z końca XVII wieku w posiadaniu prof. Jul. Krzyżanowskiego.

10) Anonim: „Kleomira albo igrzysko fortuny, na cudownych szczęścia i nieszczęścia granicach fundowane". Rękopis w posiadaniu prof. Jul. Krzyżanowskiego.

11) Anonim: „Historia Alkameny, króla Tatarów i Menalippy, królewny dackiej. Około 2400 wierszy. Gubrynowicz (op. cit.) zna ją tylko z tytułu (przekręconego), uważa ją mylnie za powieść XVIII w. Rękopis w posiadaniu autora artykułu w Warszawie.

12) Anonim: „Historia Kretydona i Rozeklary, królewny kreteńskiej. Ok. 2400 wierszy. Rękopis w posiadaniu autora artykułu.

13) **Anonim C. M.** (prawdopodobnie **Catharina Morstinowa):** „Historia Kleandra i Kalisty z francuskiego przełożona pod imieniem Lizander". 4637 wierszy. Rękopis w posiadaniu autora artykułu.

14) **Wacław Potocki:** „Historia Florydana z Lidią". Ok. 2700 wierszy. Rękopis w posiadaniu autora artykułu. W Bibl. XX. Czartoryskich nr 2019 znajduje się sama dedykacja tej powieści (por. S. Laskowski: „W. Potockiego pisma nieznane", Ruch Liter., 1934, str. 119).

WROCŁAW

15) **Stan. Samuel Szemiot:** „Gryzelda" (nowela wiersz. z prozy Hieronima Morsztyna według „Dekameronu"), dat. 1674. Wyjątki druk. L. Bernacki: „Przyczynki do dziejów najdawniejszej powieści polskiej", Pam. Lit. I, 1903 (por. też Lud. Kamykowski: „St. S. Szemiot", Pam. Lub., 1937). Rękopis w zbiorach Ossolineum.

16) **ks. Stefan Szołucha:** „Rożne historyje z rożnych wiary godnych autorów wybrane". (Historię o Gryzeldzie przedrukował L. Bernacki l. c.). Rękopis z końca XVII wieku w zbiorach Ossolineum.

ZAGINĘŁY:

17) Anonim: „Dyanea", przekład wiersz. romansu J. F. Loredano, ogłosiła w obszernych wyjątkach M. Dynowska: „Jan Franciszek Loredano i polski tłumacz" — anonim „Dyanei", Archiw. do dziej. liter. i ośw. w Polsce, t. XIV, Kraków, 1914. Oryginał rękopiśmienny spalony w Bibliotece Krasińskich w Warszawie w czasie powstania.

18) Anonim: „Historia czyli dziwna awantura Olinda z Amaryllą".

19) Anonim: „Historia Tachmasa, królewicza perskiego".

20) Anonim: „Historia o królu Bedredynie Lolo".

21) Anonim: „Historia o Chryzeidzie i Amaryncie".

22) **Zawisza:** „Historia o Agnulfie i Floreście", dat. 1689. (Przekład czy przeróbka z włoskiego).

Opublikowanie wszystkich ocalonych powieści jest jednym z głównych postulatów naszej historii literatury. Powinny one być ogłoszone z całym pietyzmem filologicznym, z odpowiednimi wstępami naukowymi i objaśnieniami tekstu rzeczowymi i słownikowymi w ramach „Biblioteki Pisarzów Polskich" Polskiej Akademii Umiejętności lub jako tomy „Biblioteki Zapomnianych Poetów i Prozaików Polskich XVI—XVIII w." pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. Należy oczekiwać wznowienia tych wydawnictw. Podobno cenniejsze teksty z rękopisów i unikatów mają się ukazywać w publikacjach Biblioteki Kórnickiej pod redakcją Stanisława Bodniaka. Na początek ma tam pójść Wacława Potockiego „Dialog o Zmartwychwstaniu Pańskim" w opracowaniu Romana Pollaka. Jeden wyjątek, prześliczną „Pieśń Wielkanocną", prawdziwy klejnot poezji staropolskiej, drukował już poznański „Głos Katolicki", 1946, nr 18.

Ogłoszenie tych powieści we wzorowych opracowaniach naukowych nie rozwiązuje jednak kwestii.

Jeśli podaję tutaj szereg wiado-

mości o zapomnianych lub niespodziewanie odkrytych utworach powieściowych, to nie dla satysfakcji mnożenia nowych pozycji inwentaryzacyjnych, czy dla zaspokojenia ambicji kolekcjonerskich. Odnalezienie tych utworów to nie tylko rozszerzenie staropolskiej puścizny literackiej, tak ważne w epoce ponoszenia ciągłych strat kulturalnych ale przede wszystkim odkrycie artystyczne, otwierające nowe widoki dla oceny poezji staropolskiej.

Pod dziwacznymi dla nas tytułami tych romansów kryją się skarby dawnej twórczości, przykłady bujności i jędrności języka staropolskiego, które mogą sprawić rozkosz koneserom literatury. Szacowna patyna wieków, jedyny w swoim rodzaju „zapach muzealny", czyni z tych tekstów przysmak nie lada.

Ale tego typu beletrystyka nie może liczyć na masową poczytność. Szersza publiczność, żyjąca jedynie współczesnością literacką, nie potrafi się delektować wykopaliskami bibliotecznymi. Nie dotrze nawet do specjalnych wydawnictw z tymi tekstami, które skłonna jest uważać raczej za obumarłe osobliwości dawnego piśmiennictwa niż za żywe pozycje literackie.

Nie ulega wątpliwości, że przeciętny czytelnik, aby zapoznać się dokładnie z tymi powieściami, musi się do tego przymusić. Można je jednak uprzystępnić w pewnym wyborze, ograniczając się z konieczności do selekcji fragmentów, które oddziaływują artystycznie. Będą to przede wszystkim fragmenty pozafabularne powieści, wplecione w tok akcji wspaniałe nieraz motywy liryczne lub przepyszne dicta gnomiczne, które, według intencji pewnych autorów, jak np. Wacława Potockiego, miały uszlachetniać lekceważony gatunek literacki, za jaki powieść dawniej uważano. Z niewiele znaczącej dla nas jako narracja, ale tematycznie uroczej fantastyki barokowej, można wyrwać, nie licząc się zbytnio z kontekstem, najpiękniejsze sceny i epizody.

Wątpić należy, czy np. taki „Syloret" Potockiego mógłby obecnie wywołać szersze zainteresowanie jako powieść, ale zachwyt potrafią wzbudzić wiersze poświęcone pochwale życia na łonie przyrody. Niczego podobnego nie znajdziemy w tekstach antologii ułożonej przez Stan. Kota „Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej", Warszawa, 1937. W obojętnym nam dziś kontekście tej powieści ginie przepiękny hymn do Boga, który mógłby być ozdobą każdego wyboru poezji ariańskiej. Czytając opis burzy w „Argenidzie" tegoż autora, musimy się poddać sugestii poezji staropolskiej. W „Lizandrze", romansie rycersko-miłosnym w rodzaju Heliodora, są opisy pojedynków, turniejów, sceny ucieczki z ukochaną i uwolnienia z klasztoru zdesperowanego rycerza, które przywodzą na pamięć Sienkiewicza. Przypuszczam, że właśnie w powieściach tego rodzaju, spisanych po „silvach" szlacheckich, a dzisiaj zaginionych, musiał być oczytany nasz Jan Chryzostom Pasek i to odbiło się w jego romansie-pamiętniku.

Ponieważ nasze powieści są przeważnie przeróbkami utworów obcych, w mniejszym stopniu mogą być zwierciadłem życia staropolskiego. Mimo to potrafimy w naszych romansach wyczytać niejedną wiadomość o rzeczywistych troskach i ambicjach ówczesnych ludzi. Jest to widoczne zwłaszcza u Potockiego, który, nawiązując dyskretnie do własnych przeżyć, poruszał w dygresjach nawet takie drażliwe sprawy, jak wygnanie arian czy przymusowe rozwiązywanie małżeństw z ariankami. Potocki bowiem pierwszy w naszej literaturze czuł potrzebę problemu w powieści.

O możliwościach artystycznego spożytkowania romansów staropolskich myślał, jak się zdaje, Bronisław Gubrynowicz, zapowiadając swego czasu w „Bibliotece Narodowej" Krakowskiej Spółki Wydawniczej tomik pt. „Romans staropolski poetycki XVI i XVII wieku". Pomysł ten należy obecnie wznowić, nie można bowiem marnować bogactw zawartych w tekstach tych romansów. Wydawnictwo takie mogłoby zjednać poezji staropolskiej wielu nowych miłośników.

Jan Dürr-Durski

JERZY ANDRZEJEWSKI

JAK ZOSTAŁEM PISARZEM...

Zacząć pisać i stać się pisarzem nie zawsze znaczy to samo. Gdybym miał podstawy do przychylnego oceniania moich początków literackich w roku obecnym mógłbym obchodzić nieco przedwczesny jubileusz dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej. Tak się bowiem złożyło, iż pisać zacząłem w wieku, w którym chodzi się jeszcze w krótkich majtkach i znajduje wiele uciech w zabawie w złodziei i policjantów. Miałem zatem lat dwanaście i byłem uczniem ówczesnej drugiej gimnazjalnej, gdy w okolicznościach, których nie umiałbym już sobie wyraźniej uprzytomnić, uznałem za właściwe złożyć matce w podarunku wigilijnym pierwsze swoje utwory. Był to zwykły szkolny zeszyt w kratkę i — co sobie doskonale przypominam — oprawiony w okładkę z różowego glansowanego papieru. Zeszyt i okładkę kupiłem w sklepie Siudeckiego na rogu Szpitalnej i Przeskok. Był to piękny i rozległy sklep o kilku wystawach. Spomiędzy ruin, w które się obrócił, nie wywoływałbym jego dawnego obrazu, gdybym nie miał pewności, iż sztubacy co najmniej kilku pokoleń Warszawy przechowują w sercach jak najserdeczniejsze o Siudeckim wspomnienie.

Po wielu wielu latach tak się złożyło, iż znów czyniłem w sklepie Siudeckiego pewne zakupy właściwe chłopcom w krótkich majtkach. Była jesień roku czterdziestego. Dzień był bardzo piękny. W owych latach wszystkie jesienie niezwykłą pięknością towarzyszyły ludzkim szaleństwom. Na placu Napoleona, przy skwerze koło lombardu, drobny płowowłosy inwalida bez nogi śpiewał: „Jak to na wojence ładnie..." Towarzysz przygrywał na harmonii. Razem z moim przyjacielem, Czesławem Miłoszem, kupowaliśmy u Siudeckiego papier kartonowy. Długo i z zainteresowaniem całkiem sztubackim przeglądaliśmy albumy z próbkami. Na koniec, zdecydowawszy się na karton czarny, wyszliśmy na ulicę uzbrojeni w długie rulony. Oto broń ludzi pióra! Potem te rulony cięliśmy żyletką i z wielkich czarnych płacht powstawały okładki, w których poszło niebawem w świat czterdzieści kilka egzemplarzy pierwszego w czasie wojny tomiku wierszy, Syrucia-Miłosza.

Lecz wróćmy do różowego zeszytu. Zawierał dwa opowiadania, oraz wiersz. Wiersz — pamiętam to dobrze — był o księżycu, który wschodził ponad wioską Staszów. Wyły również w tym wierszu psy i drogą przejeżdżał wóz. Natomiast w mrokach zapomnienia pozostawić muszę oba opowiadania. Jedno z nich rozgrywało się w głębi puszczy brazylijskiej, to wszystko co bym potrafił o swoim debiucie prozą powiedzieć. Dlaczego w puszczy brazylijskiej, pojęcia nie mam. Za to z całą pewnością mogę stwierdzić, że ów różowy zeszyt, stworzony fantazją i rękoma dwunastoletniego chłopca, przesądził jeśli nie mój los, ten bowiem do końca życia nie ukazuje człowiekowi pełnego kształtu, to w każdym razie dość decydująco zaważył na mojej przyszłości.

Gdyby mi ofiarowano przeżycie we śnie po raz drugi lat najwcześniejszej młodości, zapragnąłbym być może ujrzeć siebie jako chłopca, który wolny od trosk i ambicji ponad jego wiek, kopie swobodnie piłkę i oddaje się niefrasobliwie zajęciom użyczającym najprostszej radości życia. Ale nawet sny nie posiadają przelotnej siły odmieniania przeszłości. Trzeba zatem za fakt ostateczny przyjąć, iż kierowany uporczywą namiętnością wzrastałem niejako na marginesie przywilejów młodości. Niedorzecznością byłoby się uskarżać na samego siebie. Wolna wola zasługuje na coś więcej. Ale drobne westchnienie współczucia i kto wie, czy nie lekki uśmiech ironii należą się chłopcu, który z roku na rok stawał się coraz większym odludkiem, wnikał nieopatrznie w gęstwinę imaginacji, dokonywując niedorzecznych historii z takim uporem i z taką konsekwencją, iż w momencie przystępowania do matury miał swoje biurko szkolne pełne brulionów i zeszytów, zapisanych dramatami, tragediami i wierszami, w głowie czad zbyt pośpiesznie pożeranych książek, a w sercu coraz gwałtowniejsze i coraz niestety sprzeczniejsze pragnienia.

Wszystko, co w owych latach szkolnych napisałem, przepadło jeszcze we wrześniu roku trzydziestego dziewiątego. Bóg z tym! Jeśli martwi mnie czasem ta strata, to tylko ze względów najbardziej osobistych. Chciałbym chwilami nawiązać bliższy kontakt z wyrostkiem, który, zaniedbując oficjalną naukę, kopanie piłki i siatkówkę, pisywał krwawe tragedie pod natchnieniem Szekspira, mgliste dramaty owiane tajemniczością Maeterlincka, a także oktawy à la Słowacki i liryki pobrzmiewające okrzykami twórcy „Hymnów". Wielu z czytelników „Ładu serca" sądziło, iż w postaci małego Michasia chciałem pokazać samego siebie z lat przebudzania się pierwszych twórczych odruchów. Nie mógłbym się na to zgodzić. Pisząc „Ład serca" byłem dość młody i uczuciowy, aby idealizować młodość jeszcze wcześniejszą. Moja własna — o ile mnie pamięć nie zawodzi — była nieporównanie mniej poetycka od chłopięctwa Michasia. Trzeba dojrzeć, aby pisać tak prawdziwie, jak prawdziwym się okazuje życie i, nie ujmując nic z jego powagi i nieodwołalności, oddawać mu sprawiedliwość rygorów umysłu i serca.

Jedyne, co z pewną dozą prawdopodobieństwa mógłbym o sobie z tamtych lat odległych powiedzieć, to wyrazić pewną sugestię, iż nawet wśród owych poszukiwań i wśród słów, których wartość obiektywna nie musiała mnie zbyt decydująco oddalać od przeciętnej grafomanii, nosiłem w sobie cnotę grafomanom obcą, trudną i równie gorzką jak owocującą cnotę wątpienia. Ta była mi dana od lat najwcześniejszych i sądząc z doświadczeń nieco późniejszych, dobrze już wrytych w pamięć, nie przypuszczam, aby ów duch zwątpienia nie unosił się niby biblijny duch nad wodami i ponad niezdarnymi stronicami różowego zeszytu. Więcej, byłbym skłonny mniemać, że nie co innego jak zwątpienie w samego siebie, w swoje powołanie, w swój talent, w przymioty własnego umysłu i cnoty własnego serca uczyniło mnie pisarzem. Gdybym wśród minionych lat aż po dzień, który przeżywam obecnie, policzył godziny zwątpienia — mnogość ich dość znacznym ciężarem położyć by się musiała na tych nielicznych chwilach, w których dane mi było przeżyć celność własnych myśli, osiągnięć i zamierzeń. Być może jedna miłość zdolna jest tak, jak zwątpienie, chłonąć ze świata i z ludzi tyle potwierdzających świadectw. Być może ten tylko, kto potrafi naprawdę pokochać, zrozumie mrok bez miłości, który spomiędzy wielu ludzkich zgryzot jedną — właśnie zwątpienie — otoczył szczególnym cieniem.

Nieraz się zastanawiałem, jak człowiek we wszystkim, co czyni, szuka ułatwień. Jedynie w twórczości ułatwień ani szuka, ani ich pragnie. Przeciwnie, mnoży przed samym sobą trudności, jakże często ponad swoje ograniczone siły! Gdyby nie wątpił w siebie, czemuż by miał żądać od siebie trudów? Miłość własna, ambicja, słowa uznania — wszystko to skłaniać by musiało artystę do podążania drogą tych samych ułatwień, które w każdej chwili podszeptują nam, iż największą korzyść należy osiągnąć najmniejszym wysiłkiem. Zwątpienie, ono jedno, rozbija i na pył ściera nasz instynkt łatwych zdobyczy. Za chwilę dobrej o sobie myśli, za moment nasycenia płaci się upadkiem o wiele gwałtowniejszym w smutku od radości, której udziela nam przelotnie jak cień krucha pewność, iż udało się nam wyrazić to właśnie, co wyrazić pragnęliśmy.

Trudno mi teraz określić dokładnie, kiedy te myśli, z początku na pewno mgliste, dojrzały we mnie do pełnej świadomości. Czy było to w tym okresie, w którym, zaniedbując z przesadnym lekceważeniem młodego maniaka wzory algebraiczne, układałem tyrady tebańskich chórów, towarzyszących tragicznemu upadkowi dumnej Nioby; czy później, gdy podbity dziejami Beniowskiego pragnąłem dokończyć to, czego w kształcie dramatycznym nie dokończył był Słowacki; czy też jeszcze później, kiedy pewnego dnia na sam spód biurka przegnałem wszystkie rękopisy szkolnych wierszy i dramatów, decydując się ostatecznie na uprawianie od tej chwili jednego rodzaju artystycznego: prozy; czy wtedy wreszcie, gdy po raz pierwszy ujrzałem siebie w druku? Kiedykolwiek jednak pojąłem doniosłą w moim życiu rolę zwątpienia w samego siebie, ono — powtarzam — uczyniło mnie pisarzem i to w sposób tak dokładny i dobitny, iż czyni mnie nim do dnia dzisiejszego.

Nie jestem zresztą pewien, czy pisarzem można się stać raz jeden o pewnej oznaczonej godzinie pewnego oznaczonego dnia. Wydaje mi się, że taka chwila w sensie niepowtarzalności jej i wyłączności wcale nie istnieje. Gdy się pisze i twórczość za sens i za cel swego życia się uznało, wówczas pisarzem staje się człowiek nie raz jeden, lecz niezliczoną ilość razy. Staje się nim ciągle, ponieważ nie to ma znaczenie dla niego, co dotąd był napisał, lecz to tylko, co napisać zamierza. Może się to wydać paradoksem, a jednak osobiście tak głęboko i uparcie uznaję pisarstwo za swoje właściwe powołanie, iż z biegiem lat, gdy w swoim zawodzie odnajduję coraz więcej trudności, a w sobie samym coraz więcej braków, zwątpieniu poddawać muszę nie tylko tę czy inną moją próbę, to lub inne moje pisarskie osiągnięcie, więcej — sama słuszność i trafność mojej życiowej, przeze mnie wybranej pracy zwątpieniu podlega.

Gdy trwała wojna i pisałem opowiadania, których część przypadkiem ocalona złożyła się na „Noc", mniej przy wszystkich ówczesnych wahaniach miałem wątpliwości w sprawność i celność mego rzemiosła pisarskiego niż teraz, kiedy, mimo upływania czasu, lata owe coraz posępniej i mroczniej ciążą nad sumieniem, domagając się od pisarza takich sił człowieka i artysty, które zdolne by były udźwignąć i w czasie zatrzymać tyle nieopisanych zbrodni i cierpień. Świat, który się podnosi z ruin i na naszych oczach powoli kształtuje, nie pociesza niestety serca i nie wspomaga rozsądku. Natomiast wiele z tego świata zmusza jeśli nie do rozpaczy, to do myśli najcięższych na pewno. Muszą więc przychodzić, i rzeczywiście przychodzą, takie chwile, gdy zamiast wspomagającej nadziei, zwątpienie w świat i w ludzkość dołącza się do wątpliwości we własne siły. Cóż wtedy znaczy, że się kiedyś stało pisarzem? To tylko do jednego zobowiązuje: stać się pisarzem na nowo.

Tak się też dzieje, iż przez dwadzieścia pięć lat dochowując wierności pierwszym moim decyzjom utrwalonym na stronach różowego zeszytu w kratkę, wiem, że tym postanowieniem wierności i dalej na miarę moich umiejętności dochowywać będę. Ale w „jaki sposób będę się stawać pisarzem" porusza mnie nieporównanie więcej niż „jak pisarzem zostałem".

Jerzy Andrzejewski

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO CZESKIE

JÓZEF ČAPEK — Obraz olejny

JULIAN TUWIM

SŁOWO O WYPRAWIE IGORA, SYNA ŚWIATOSŁAWA, WNUKA OLEGA

OD TŁUMACZA

„Słowo o wyprawie Igora" przełożyłem 20 lat temu. Przekład ten, z przedmową i komentarzami prof. Aleksandra Brücknera, ukazał się w krakowskiej „Bibliotece Narodowej"; posiada on liczne wady, jak np. „przepoetyzowanie" oryginału, mylne interpretacje tekstu, przesadne zapędy archaizacyjne etc. W Nowym Jorku zabrałem się do „Słowa" na nowo. Korzystając z cennych wskazówek znakomitego slawisty Romana Jakobsona, profesora Columbia University, starałem się uściślić przekład, pozbawić go wielu efektownych ozdóbek i bardziej przybliżyć do oryginału. W ciągu ubiegłego ćwierćwiecza „Słowo o wyprawie Igora" było przedmiotem skrupulatnych badań historyków literatury, którzy rozjaśnili niejedno „ciemne miejsce" poematu — i to także sprawiło zmiany w poszczególnych fragmentach polskiego tekstu. Po powrocie do Polski zapoznałem się z najnowszymi studiami uczonych radzieckich nad „Słowem" (Orłowa, Grekowa, zwłaszcza Jugowa), niektóre z ich wywodów trafiły mi do przekonania i wkrótce zamierzam opracować „Słowo" po raz trzeci.

W „Odrodzeniu" drukuję tłumaczenie w redakcji nowojorskiej.

Nie zdałożby się, bracia mili,
Starodawnymi zacząć słowy
Smutną opowieść o mozołach
Onej wyprawy Igorowej?
Przystoi zasię pieśń tę począć
Nie jako Bojan zwykł przesławny,
Lecz wedle podań tego wieku.
Bo on, ów wieszczy gęślarz dawny,
Gdy komu pieśń zamierzał śpiewać,
Myślą-wiewiórką mknął po drzewie,
Po ziemi ganiał wilkiem burym,
Szybował orłem siwym w niebie;
Bo on (od niegoż wieść ta właśnie),
Kiedy wspominał dawne waśnie,
Sokołów — mówi — dziesięcioro
Poigrać puszczał na łabędzie:
Którego pierwej sokół dopadł,
Ten łabędź pierwszy dumę gędzie.
Lecz nie sokoły bystre w walce
Spadały na łabędzie stado:
Na żywe struny wieszcze palce
Ów Bojan starowieczny składał
I struny same gędły sławę:
Chrobremu Księciu Mścisławowi,
Który przed pułki czerkieskimi
Rededię ubił w bitwie krwawej,
Jarosławowi drzewiejszemu
Urodziwemu Romanowi,
Synowi Światosławowemu...
Niech-że więc, bracia, pieśń opowie
Nie stare dzieje Włodzimierza,
Ale ku nowym niechaj zmierza.
Pocznijmy sprawy Igorowe.
Napełnił Igor duszę męstwem,
Pogonił myślą za zwycięstwem,
Wyostrzył serce swe w krzepkości,
Z pułkami ruszył w bój mężnemi,
Z rodzimej ziemi, ruskiej ziemi,
Do wrażych połowieckich włości.

Spojrzał wtedy Igor na jasne słońce.
A od słońca wszystko wojsko w mroku sto
I rzekł Igor:
„Raczej niech nas porąbią, drużyno,
Niżbyśmy w niewolę poszli, bracia moi.
Siądźmy-ż, druhy, na swe rącze konie
A przejrzyjmy się w błękitnym Donie."
Zapłonęła bo w sercu tęsknota,
Znamię nieba przesiliła ochota
Z sztomu upić wielkich wód donieckich.
„Z wami — rzecze — Rusowie, pójdę w pole
Złamać oszczep o skraj ziem połowieckich,
Choćbym własnej głowy spłacił zgubę,
Bo mi Donu zakosztować lubo."

O, Bojanie, dawnych lat słowicze!
Gdybyś ty owe pułki opiewał,
Pod obłoki bujając, słowicze,
Po gałęziach zmyślonego drzewa,
Oplatając chwałą owe czasy
I tropami dążąc trojańskimi,
Poprzez pola, na góry i lasy!
Twój to wnuk, Igorowi na sławę,
Winien oną opiewać wyprawę:
„To nie burza zaniosła sokoły,
Nie sokoły nad polami płyną,
Ale stada czarnych wron szybują
Nad wielkiego Donu wodą siną."
Albo tak zaśpiewać by przystało
O, Bojanie z Welesa rodu:
„Słychać za Sułą rżenie koni,
A w Kijowie sława dzwoni,
Trąby trąbią w murach Nowogrodu,
W Putywlu chorągwie stoją..."

Czeka Igor z drużyną swoją
Na miłego brata Wsewołoda.
Rzecze buj-tur Wsewołod do brata:
„Jednoś ty mi jasne słońce świata
I Światosławicy myśmy oba.
Każ ty siodłać rącze konie bułane,
Moje w Kursku stoją osiodłane,
Znasz wiciądzów kurskich — woje krzepcy!
Pod trąbami bojowymi chowani,
Pod sztomami ukołysani,
Ostrzem włóczni karmieni w kolebce.
Znają oni jary, drogi kręte,
Prężne łuki mają naciągnięte,
Szable ostre i pełne kołczany.
Sami, jako wilcy, w polu skaczą,
Kniaziom sławy, sobie chwały patrzą,
— Z nimi pójdziem gromić Połowczany."

Wstąpił wtedy Igor w złote strzemię,
Szczerym polem jedzie przez ruską ziemię.
Słońce mrokiem zastąpiło mu drogę.
Burza ciągnie, noc jęczy na trwogę,
Świstem leśna zwierzyna gada.
Ptaki zgania w trzepocące stada.
Zawył Dziw nad drzewami wrzaskiem,
Każe słuchać ziemi nienaskiej
Słychać Dziwa w Korsuniu, Surożu,
Krzyczy Dziw na Posulu, Pomorzu,
A i Wołdze szerokiej świszcze,
A i tobie, tmutorokańskie bożyszcze.
Już Połowcy niebitą ścieżą
Ku wielkiemu Donowi bieżą.
Krzyczą wozy ich o północy
Rzekłbyś — łabędzie spłoszone:
Spieszno księciu stanąć nad Donem.

Na dębach stado ptasie
Rychłą się klęską pasie,
Grożą, srożą się wilki ponuro.
Orły klekotem — gości
Zwołują na wojów kości,
Lisy zajadle warczą
Na purpurowe tarcze...
O, ziemio ruska! jużeś ty za górą!
Noc się długo waży. Zorze się kolebią.
Mgła pokryła pola. Ścichł słowiczy szczebiot.
Wroni skrzek się budzi na uśpionej ziemi,
A Rusowie dzielni szczyty czerwonemi
Zagrodzili pole niby murem krwawym
Sobie chwały patrząc, a kniaziowi sławy.

W piątek rano podeptali połowieckie pułki wraże
Rozsypali się strzałami, za pohańcem pędząc polem,
I uwieźli hoże branki, krasawice Połowczanki,
Z nimi złoto i jedwabie, aksamity i sobole.
Opończami, kożuchami, tkaninami wzorzystemi
Jęli sobie mosty mościć na rozmokłej, błotnej ziemi.
A chorągiew białośnieżna i proporzec purpurowy,
Buńczuk krasny, drzewce w srebrze — walecznemu Igorowi.
I już w polu drzemie gniazdo z Olegowym mężnym ptastwem.
O, daleko zaleciało! Nie zrodziło się na pastwę
Ni sokołom, ni krzeczotom, ni chytrości ich zdradzieckiej
I nie tobie, bisurmanie, czarny kruku połowiecki.

Bieży Konczak, tropy kładzie
Przez obszary,
Gzak pomyka ku Donowi
Wilkiem szarym.

Nazajutrz — ledwo błysnął brzask,
Już zorzę wieści krwawy blask,
Od morza czarne chmury mkną,
Chcą zakryć cztery jasne słońca.
Błyskania sine w chmurach drżą,
O, runie tu potężny grom
I deszczem strzał uderzy Don.
Tu się dopiero dzidom, mieczom
O połowieckie kruszyć sztomy,
Tu się pokrwawią, tu posieczą,
Poszczerbią szable-niepotomy.
Tutaj, u Donu, krwią i żalem
Kajała-rzeka się rozpluska.
Już cię nie widać, ziemio nasza,
Jużeś za górą, ziemio ruska!

I oto
Wiatry, wnuki Strzyboga, strzałami od morza wieją
Na wojsko Igorowe. Ziemia dudni i tętni.
Kurzawą ścielą się pola a rzeki płyną mętnie
Łopocąc, chorągwie się chwieją:
— Idą Połowcy od morza, idą pohańcy od Donu,
Ławą na wojów walą, od tej i tamtej strony,
Krzykiem zagrodził pole czarci pomiot przeklęty,
A Ruś puklerzami grodzi z chrobrymi na czele orlęty.
Jar-turze Wsewołodzie! Na straży stoisz, woju,
Strzały miotasz i mieczem grzmisz o szyszaki w boju,
Kędy, turze, poskoczysz, czerwonym błyszcząc puklerzem,
Tam leżą łby połowieckie, tam ścierw pogański leży,
Tam w awarskich przyłbicach dziura świeci przy dziurze,
Ty sieczesz je, Wsewołodzie, ty miażdżysz, jary turze!
Dżgał on wroga, drużyno, krwawych ran nie żałował,
On, co przepomniał żywota i grodu Czernihowa,
Przepomniał tronu złotego, czci i własnego szczęścia:
Najmilszej swojej Hlebówny lubości i obejścia.

Były boje trojańskie, minęły dni Jarosława,
Były wojny Olega, Olega Światosławica.
Kuł on mieczem niezgodę, strzały po ziemi rozsiewał,
W złote strzemię wstępował w tmutorokańskim grodziszczu.
W ten-że dźwięk się wsłuchiwał wielki Jarosław przed laty,
Uszy przed nim zatykał Włodzimierz kniaź w Czernihowie.
Śmiercią chwalebą okupił Borys Wiaczesławowic:
Padł, bo skrzywdził Olega, dorodnego wiciądza,
Pościeliła mu sława gzło śmiertelne na łące,
I z tej łąki zielonej, na węgierskich rumakach,
Wiózł Światopełk rodzica do św. Zofii w Kijowie.
Oleg waśnie zasiewał — i zbierał plon, Biadosławic,
Bo marniało - ginęło dobro wnuków Dadźboga
I w książęcych rozterkach wiek się skracał człowieczy.
Rzadko wtedy na Rusi wołali w polu rataje
Ale kruki żarłoczne często na trupach krakały,
Po wroniemu skrzeczały wrony, węszące padlinę.
Tak to cngi bywało, za dawnych bitew i wojen,
Lecz nikt jeszcze o takim boju nie słyszał okrutnym.

Od zarania do zmroku, od wieczora do brzasku,
Świszczą strzały harłowne, włócznie łamią się z trzaskiem,
Szable grzmią o szyszaki, w sztomy biją łasaki,
Pośród pól połowieckich, w sercu ziemi nienaskiej.
Gleba, krwią ugnojona, siana kością, pakością,
Kopytami zorana, obrodziła żałością.

Co mi tam w dali szumi, dzwoni?
Chrzęst oręża? Tętent koni?
Przed jutrzenką, na nowe boje
Nawraca Igor pułki swoje,
Z odsieczą śpieszy wojewoda,
Bo żal mu brata Wsewołoda.
Dwa dni się bili. Aż na trzeci
Padła chorągiew Igorowa.
I tutaj było ich żegnanie
Nad rzeką bystrą, nad Kajałą,
Tutaj na stypie chrobrym Rusom
Krwawego wina nie dostało.
Swatów do syta napoili,
Sami — polegli w boju prawym.
Smutek do ziemi drzewa chyli,
Od żalu-troski nikną trawy.

Niewesoła nam, bracia, godzina,
Niewesoła godzina nastała.
Siłę naszą pokryła pustynia,
Dziewa Krzywda w ruskiej ziemi wstała,
Uderzyła w Dadźborze zastępy,
I po ziemi stąpa trojaniej!
Łabędzimi skrzydłami pluszcze
W rzece Donie, w sinym morzu-oceanie.
Rozpluskała niezgodę gęstą,
Wniwecz poszły bój i zwycięstwo!
Bo rzekł bratu brat: „To moje — i to moje."
A o małym powiada, że wielkie.
Sami sobie na zgubę, niedolę
Wykuwali waśń i rozterkę.
Tak pohańców sprowadzili na pole...
Za daleko cię poniosło, sokole!
Bijąc ptaki, zaleciałeś nad morze...
Już nie wskrzesić twoich wojsk, Igorze!
Idą płaczki, żony-żałobnice
Zawodzące lamentem rzewnym,
Przez Ruś idą z rogiem gorejącym,
Kadząc żarem-popiołem pogrzebnym.
„Już nie ujrzeć nam miłych, straconych,
Myślą, dumą nie powrócić do nich,
Złotem, srebrem nie pobrzęczeć wdowie,
Nie ma mężów, pomarli ładowie!"
Jęknął Kijów z żałoby, bracia,
A Czernihów z napaści srogiej,
Smutek ciężki rozlał się po ziemi,
Połoniły ją łupieżce-wrogi,
Teraz kuną od dymu płać im...
Źle to, bracia, gdy są gniewy śród braci.
Obudzili Igor z Wsewołodem
Stare licho, co je uśpił rodzic.
Groźny był ów Światosław włodyka,
Kniaź kijowski, wielki Olegowic!
Burzą był. Jak uderzył w Połowce,
Góry, lasy, jarugi przydeptał,
Wyciął wroga mieczem-obosieczem,
Rzeki zmącił, potoki wychłeptał.
A Kobiaka znad zatoki — wichurą
Wyrwał z pułków żelaznych uścisku,
Śmignął chanem-poganem, jak z procy,
I spadł Kobiak w kijowskim zamczysku.
Więc śpiewają Niemcowie, Grekowie,
Pieje pieśnią Wenecja, Morawa,
Sławią kniazia obcy językowie,
Śpiewem sławią kniazia Światosława.
A młodemu nie będzie pieśni
Igorowi nie dadzą chwały,
Bo zasypał ruskim złotem i skarbem
Wody rzeki połowieckiej Kajały.
Przesiadł Igor ze złotego siodła
Na kulbakę jeńca-koniucha,
Niewesoła nastała godzina,
Radość znikła, w grodach pustka głucha.

A Światosław na wzgórzu w Kijowie
Mętny sen opowiada bojarom:
„Odziewano mnie w czarny pokrowiec,
Strute wino czerpano czarą.
A leżałem na łożu cisowem,
Hołubionoż mnie tam, hołubiono,
I sypały się z pustych Tołmackich kołczanów
Wielkie perły na moje łono.

Stał bez krokwi u stropu mój dwór złotogłowy,
Nocą kruki krakały swe pieśni,
Pod Plesieńskiem, w podgórzu, były sanie jakoweś
I nad morze je niby zanieśli."

I odrzekli bojarzy: „Smutek rozum zamroczył.
Dwa sokoły — to twoje zgryzoty.
Szłomem Donu chcą upić, Tmutorokań chcą złupić
Porzuciły więc ojców tron złoty.
Ale szable niewiernych podcięły im skrzydła
I wplątały się, książę, sokoliki twe w sidła.
Bo mroczno było na trzeci dzień,
Jedno i drugie ćmiło się słońce,
Zagasły słupy dwa gorejące,
Zapadły w mroku, pokrył je cień,
Z nimi księżyce, młode miesiące.
Mrok na Kajale. Po ruskiej ziemi
Panterzym gniazdem Płowiec się plemi,
I grozę niesie ku samym Hunom.
Padła pod zdradą zhańbiona chwała,
Wolę przygniotła przemoc zuchwała,
I Dziw złowieszczy na ziemię runął.
Już zaśpiewały nad sinym morzem
Gockie dziewoje, krasne i hoże:
Rade są klęsce i sławią chana,
Cieszą się zemstą za Szarokana,
Brzęczą w ich rękach ruskie czerwieńce...
— I nam by, książę, radości więcej...

Wtedy wielki Światosław złote słowo uronił,
Słowo, łzami zroszone: „Synkowie!
Wsewołodzie, Igorze! Wy, za sławą w pogoni,
Wcześnie kraj połowiecki zaczęliście gromić,
Ale sławy nie dali mieczowi.
Boście krwią sprawiedliwych ubroczyli się w rzezi,
Nie przybyło z niej czci ojcowiźnie!
Znam ja męstwo serc waszych, wykowanych w żelezie,
Ale biada mej srebrnej siwiźnie!
Gdzież to brat mój potężny, kniaź Jarosław orężny,
Co wielmoże, bojary wodził pułkiem zaciężnym
Czernihowskich nie widać wojaków!
I gdzie one Szełbiery, gdzie Tatrany, Olbery
I zastępy Rewugów, Topczaków?
Ci — bez tarcz i bez glewi — krzykiem, nożem z cholewy,
W sławę dziadów grzmiąc, biją się dzielnie.
A wy rzekliście, dufni: „Sami sławę swą złówmy,
Sami dawną i przyszłą się dzielmy."
Gdy zliniały już sokół, wzbija ptaki wysoko,
Gniazda swego drapieżcom nie wyda.
Więc nie dziwne to dzieje, że ja stary, młodnieję,
Gdy mi kniazie na pomoc nie idą."
Czarna przyszła godzina. Płacze ziemia rodzima,
Pod szablami lud krzyczy w Rymowie.
Kipi złość w Połowczanach, a Włodzimierz-kniaź w ranach.
Biada, gorze mu, Hlebowicowi.

Ejże ty, Wsewołodzie! Nie czas-li, byś podążył
Bronić ojców stolicy? Toć mocen jesteś, książę,
Don szłomami wyczerpać, Wołgę wiosły rozkropić,
Po groszu wtedy branki, po tynfie będą chłopi!
Możesz po ziemi strzelać żywymi samostrzały:
Nie brak ci Hlebowiców, nie brak młodzi udałej.
Ejże, bujny Ruryku, i ty, Dawidzie krewki,
Pod szłomami złotymi nie pływaliście-ż we krwi?
Nie wasza-ż to drużyna ryczy, jak tury dżgane
Hartownymi szablami w obcym polu nieznanem?
Wstąpcie, hospodynowie, wstąpcie w złocone strzemię,
Za Igorowe rany, za krzywdę, za ruską ziemię.
Ejże ty, Osmomyśle, halicki Jarosławie,
Na złotolitym tronie wysoko siedzisz w sławie,
Żelazem pułków wspierasz węgierskich turni nawał,
Tyś wrota Dunajowi, królowi drogę zawarł,
Przez chmury skały ciskasz, sąd sprawiasz do Dunaju,
Pioruny gniewu twego od kraju grzmią do kraju,
Otwierasz Kijowowi wrzeciądze na świat cały,
Z Halicza aż za morze w sułtany miotasz strzały,
Strzelaj w Konczaka, książę, zmiażdż pohańcowi ciemię.
Za Igorowe rany, za krzywdę, za ruską ziemię.
Nieustraszony Romanie! Groźny w boju Mścisławie!
Ponosi was, porywa myśl ku orężnej sprawie!
Wysoko wzlatujecie, jak sokół rozjątrzony,
Gdy nad wiatrami rwie się, by ptaka chwycić w szpony.
Pancerz macie stalowy pod przyłbicą łacińską,
Grzmi od was ziemia pruska, z litewską i jaćwińską,
Drżą Hunowie na stepach, wróg dzidy na ziem ciska,
Pod bułat mieczów waszych kark kłonią Połowczyska.

Lecz już złowróżbnie dla Igora
Listowie z drzew opada, książę,
I słońce mu przygasło wcześnie.
Na rzece Sule i na Rosi
Już grody wróg rozkrada, książę,
A chrobry pułk nie wskrześnie.
Słysz! Don za tobą krzyczy,
Do walki zwie książęta.
Już w bitwie Olgowicy! Na szańcu już junaki!
Ingwarze, Wsewołodzie
I trzej Mścisławowicy,
Sześcioskrzydłe orlęta,
Z nie lada gniazda ptaki!
To los, to los zwycięski
Dał grody w ręce wasze!
Gdzież są te szłomy złote,
Tarcze i włócznie lasze?
Polu wrota zagródźcie
Strzałami ostrzonemi,
Za Igorowe rany,
Za krzywdę ruskiej ziemi.

Już nie bieży srebrną falą w dolinie
Rzeka Suła do Perejasławia
I bagnista ciecze woda w Dźwinie,
Onym groźnym Połowczanom płynie,
A pogania ją pohańców wrzawa.
Sam Izjasław Wasylkowic — jedyny —
O przyłbice litewskiej drużyny
Grzmiał mieczami. I zaćmił, i ubił
Sławę dziada i rodu zaszczyty,
Gdy sam, mieczem Litwina ubity,
Step zakrwawił — i duszę zagubił.
Pod tarczami padł purpurowymi,
Jak w łożnicę — by miłą hołubił.
A już drzewiej zapowiedział Bojan:
„Ptak skrzydłami przyodział twą miłą,
Świeżą krew wylizała zwierzyna..."
Wsewołoda, Brjaczysława tam nie było,
Więc samotnie-żeś z ciała chrobrego
Rzucił śmierci skroś naszyjnik złoty
Diamentową swą duszę w męczeństwie...
Zmilkły głosy, nie słychać ochoty,
Jeno trąby trąbią gorodzieńskie.
Już wam czas, Jarosławie, i Wsesława wnukowie,
Miecze-szczerbce wbić w ziemię i chorągwie pochylić,
Bo zboczyliście z drogi wielkiej sławy dziadowej,
Boście swary zaczęli, długie zwady czynili
I na włości Wsesława, w siódmym wieku trojańskim,
Sprowadziliście najazd pogański.

Wsesławowi temu — los płużył:
Krasawicę sobie wywróżył,
Krasawicę kijowską stolicę.
Chytrze wsparł się na włóczni, dźwignął
I jak strzała na Kijów śmignął,
Złoty tron kijowski drzewcem tknął.
Dziwym zwierzem z Kijowa wyskoczył,
O północy — z Białogrodu się toczył,
Otulony niebieską mgłą.
Ten — po trzykroć szczęście ułowił
Otwarł ongi wrota Nowogrodowi,
Sławę zgniótł Jarosławową — i chytkiem
Na Niemigę wyrwał chyżym wilkiem.
Na Niemidze — głów ściele się żniwo,
Grzmią stalowe cepy w znoju młócki,
Na klepisku kładą żywot ludzki,
Duszę z ciała wywiewają nieżywą.
Brzeg skrwawiony zasiewano tam nie ziarn
Ale kośćmi synów ruskich — na marne.

Sądy sądził, rządy rządził Wsesław książę,
A po nocy szarym wilkiem ganiał.
Nocą biegł do Kijowa — a dążył
Przed kurami do Tmutorokania
I wielkiemu Chorsowi
Drogę wilkiem przesłaniał.
A gdy w dzwony u Zofii świętej
Uderzono w Połocku na jutrznię,
Jemu wtenczas, przemieńcowi, w Kijowie
Na mszę ranną zadzwoniło hucznie.
Wieszczej duszy, mężnego był serca,
Lecz bywało, że cierpiał najsrożej!
I już drzewiej mądry Bojan-przezierca
Taką o nim przypowieść złożył:
„Czy kto chytrzec, pokuśnik,
Czy ptak szczebietliwy,
Nie ominie nikogo
Boży sąd sprawiedliwy."

O, jęczeć ruskiej ziemi,
Co prawiek swój pamięta
I pierwsze swe książęta!
Gdzie ów stary Włodzimir?
Ten góry kijowskimi
Nie zamknął się, nie spętał.
A dziś jego chorągwie —
Ta za Dawidem ciągnie,
A ta w Ruryka stronę,
I nie w ład powiewają
Buńczuki poróżnione.

Aż z Dunaju śpiewają włócznie...
A ja słyszę — nie zazula zawodzi:
Jarosławna woła o jutrzni:
„W dal kukułką frunę ku Donowi
W wodzie rękaw umoczę bobrowy,
W smętnej rzece, w Kajale krwawej,
I ochłodzę ja znój Igorowy,
Zwilżę rany bobrowym rękawem."
Jarosławna zawodzi żałośnie
Na Putywlu murach przed zaraniem:
„Wietrze! Wietrze! Czemu wiejesz tak groźnie?
Wichrze! Wichrze! Bezlitosny panie!
Strzały miotasz ze skrzydeł wysokich
W mego łady miłego zastępy.
Małoż tobie, że mkniesz pod obłoki
I kołyszesz na morzu okręty?
Spójrz, rozwiała się łkaniem-płakaniem
Radość moja po trawie, po rośnej..."
Na Putywlu murach pzed zaraniem
Jarosławna zawodzi żałośnie.

„Dnieprze mój, Sławuto! Na swej wodzie,
Co przebiła połowieckie skały,
Hołubiłeś Światosława łodzie,
Gdy Kobiaka hordy umykały,
Ty mi męża przyhołub na łodzi,
Bym na morze łez nie słała za nim."
Jarosławna żałośnie zawodzi
Na Putywlu murach przed zaraniem.
„Słońce jasne, po trzykroć jarzące,
Słonko, wszystkim łaskawe i rade!
Czemu prażysz płomiennym gorącem
W chrobre pułki, w mego męża-ładę?
Skwar na wyschłej pali się cięciwie,
Smutek zamknął im strzały w kołczanie!"
Jarosławna płacze żałośliwie
Na Putywlu murach przed zaraniem.

Zawrzało nocą morze. Idą nawałnice.
Bóg księciu pokazuje drogę na stolicę,
Z jasyru do ojczyzny, na złoty tron ojca.
Zgasły zorze wieczorne. W mrok zapadł krąg słońca.
Igor śpi, Igor czuwa, w myślach pole mierzy
Od Donu, od Wielkiego, do Małego Dońca.
Owłur konia przytapał i świsnął za rzęką,
Zrozumiał kniaź: „Nie zginę. Pomoc niedaleko."
I zadudniła ziemia, zaszumiały łozy,
Zaskrzypiały, ruszyły połowieckie wozy.

A Igor — białym norem do wody,
Gronostajem w nadbrzeżne szuwary,
Skoczył na koń nie wilk, lecz kniaź młody
A zeskoczył białonóg, wilk szary.
I popędził nad Don — i z polanki
Białozorem wzbił się i z nalotu
Spada, bijąc łabędzie, cyranki,
Jest śniadanie i obiad gotów.
Kiedy Igor sokołem górnym
Wtedy Owłur wilczyskiem chmurnym,
Truchtem bieży, strząsa rosy chłodne...
Bo zmorzyli swe konie dorodne.

Rzecze Doniec do Igora: „Książę!
Chwały teraz już chyba dość ci,
A i Konczak się dosyć natężył,
A i dość ruskiej ziemi radości."
Odpowiada kniaź rzece: „Dończe!
Małoż tobie zaszczytu i chwały,
Że twe wody od końca do końca
Wojewodę Igora kębłały?
Że na trawie-murawie w zieleni
Na twych brzegach srebrzystych spoczywał.
Żeś go mgłami odziewał ciepłemi,
Cieniem drzew rozłożystych zakrywał?
Na twej fali go strzegł gogoł biały,
Kaczka w wiatrach, czajka na ruczaju!
Małoż tobie, o rzeko, tej chwały,
I zaszczytu od kraju do kraju?"

Rzeka Sługna nie tak przemówiła...
Sama płytkim korytem się wiła,
Więc obcymi wezbrała potoki
I znad brzegów swych ciemnych — w zaros
Rościsława młodziana poniosła,
Pochłonęła odmętem głębokim.
Płacze matka najmilszego syna,
Łzy po młodym Rościsławie roni.
Drzewo z żalu nisko się ugina,
Kwiecie niknie, do ziemi się kłoni.

To nie sroki zaskrzeczały
Czarną zgraję.
Gzak z Konczakiem za Igorem
Tropem gnają.
Nie krakały kruki, wrony,
Tylko dzięcioł
Pełzł po wierzbie, wystukiwał
Drogę księciu.
I nad rzekę go prowadził,
A z nim — słowik
Świt wesołą pieśnią wieścił
Igorowi.

Gzak powiada do Konczaka:
„Nie żałować strzały celnej;
Gdy do gniazda sokół leci,
Sokolika my postrzelmy."
Rzekł Gzakowi Konczak na to:
„Gdy do gniazda sokół leci,
Opętajmy sokolika
Dziewką hożą — będzie w sieci."
Konczakowi Gzak powiada:
„Gdy go dziewką opętamy,
Tedy nie mieć nam sokoła,
Ani hożej dziewki samej;
Zaczną ptaki te zdradzieckie
Bijać w polu nasze ptaki..."
W szczerym polu połowieckiem
Tak gadali Gzak z Konczakiem.

* * *

Który pierwsze książęta opiewał,
Zmierzchłe czasy, Jarosława, Olega,
Stary Bojan wieszczymi słowy
Już o synu rzekł Światosławowym:
„Chociaż głowie bez ramion gorze,
To i ciału biada bez głowy."
Tak też Rusi bez ciebie, Igorze!

Jasne słońce na niebie świeci:
Książę Igor już na ziemi swojej.
Na Dunaju śpiewają dziewoje,
Do Kijowa płynie pieśń przez morze.

Przez Boryczew jedzie książę na pokłon
Pirogoszczej Bogarodzicy.
Radość krajom, grodom i stolicy.

* * *

Sławiono pieśnią starych kniaziów,
teraz na młodych kolej.
Igor Światosławowic, jary tur
Wsewołod, Włodzimierz Igo-
rowic — niech żyją! Wa-
sze zdrowie, kniaziowie i dru-
żyno, za chrześcijan z pogań-
skimi pułkami walczący!
Kniaziom sława
a drużynie cześć!

Julian Tuwim

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

POCIĄG

Mieszkanie państwa Rozenfeldów nadawało się do tego celu najlepiej. Bo salon jest duży, staromodny, gospodyni nie cacka się z meblami, wśród portier można bawić się w chowanego, a stół w jadalni jest tak duży, że dziesięcioro dzieci mieści się przy podwieczorku doskonale.

Dlatego też właśnie u państwa Rozenfeld na Mokotowskiej zbierały się dzieci co niedziela po południu przez całą tę miłą zimę 1936. Czasem przyszła któraś mamusia, ale dzieci najlepiej lubiły, kiedy przychodził tylko Stary Pan Doktór. Potem i jemu tak się to spodobało, że zaczął przychodzić co niedziela. Dopóki jego dzwonek — inny niż wszystkie — nie rozległ się w przedpokoju, dzieciom było nudno. Ale kiedy Doktór wchodził do salonu, dzieci robiły powitalny zgiełk, rzucały się na niego, właziły mu na ramiona jak koty na drzewo — i zaczynała się prawdziwa uciecha.

— Pociąg! Pociąg!

— Dobrze, niech będzie pociąg — zgadzał się zdyszany Doktór, przytrzymując wypukłe okulary i otrząsając z siebie dzieci. — Znosimy krzesła, robimy bilety.

Wtedy z całego mieszkania ściągano krzesła, przewracano je rzędzikiem pośrodku salonu, czyli robiono z nich wagony. Lokomotywą była komódka, na komódce siadał siedmioletni Staś i sapał, wypuszczając parę. Miś i Lala, pięć lat i siedem, wycinali nożyczkami bilety z tektury. Reginka i Oluś bazgrali na nich czerwonym ołówkiem: „Piotrków", „Pińsk", „Paryż", albo „Pekin" — jeśli akurat litera P wypadała na dzisiaj. Klasa była dla wszystkich pasażerów ta sama, bo uznawano równe prawa, i naturalnie klasa była druga, żeby na świecie było dobrze i żeby każdy podróżował wygodnie.

Kiedy pociąg stał już na szynach, czyli na chodniku przywleczonym z przedpokoju, a bilety były gotowe, przystępowano w porządku i spokojnie do ich sprzedawania. Dzieci ustawiały się w ogonku do kasy, płaciły po orzechu i dostawały bilet od kasjerki Melańci, urzędującej przy stoliku w kącie. Doktór stawał również w kolejce, płacił jeden orzech i brał bilet. Kto w czasie podróży opowie najciekawszą lub najładniejszą historię, ten wygrywa wszystkie orzechy z pudełka w kasie. Głupstwo orzechy — ale jaki honor!

Kto w podróży zachowa się nieodpowiednio: wychyli się oknem, albo zgubi bilet — płaci karę: orzech. Może zostać nawet usunięty z pociągu, ale to już jest kara hańbiąca na którą jeszcze nikt nie zasłużył.

Pasażerowie, idąc od kasy do wagonów, przechodzą ciasnym przejściem między fotelami, gdzie pan kontroler sprawdza i stempluje bilety, robiąc na nich krzyżyk zielonym ołówkiem. Dopiero potem ma się prawo wejść do wagonu.

Jeśli publiczność zaczynała tłoczyć się w pociągu, Doktór mówił z uśmiechem:

— Spokojnie wchodzić, dzieci, spokojnie.

— Panie doktorze! — krzyknęła Reginka. — Tak to na nic. Ktoś może sobie sam narysować zielony krzyżyk na własnym kawałku tektury i wejść do pociągu od strony stołowego pokoju.

— A po co miałby to robić? — zapytał naiwnie Doktór.

— Pan Doktór nie rozumie? Żeby nie płacić za bilet.

— Eee, — skrzywił się Doktór, — przecież my jesteśmy przyzwoici ludzie. Kontroler jest po to, żeby nie był bezrobotny, a nie po to, żeby nas pilnował.

Podczas podróży było bardzo wesoło. Pani Rozenfeldowa twierdziła zawsze, że dzieci bawią się znakomicie, ale Doktór najlepiej. Starsze dzieci, które już uczyły się geografii, opowiadały przez jakie miasta jedzie się do Pińska, Piotrkowa lub Paryża. Z Pekinem było gorzej. Zosia, która lubiła rysować, opowiadała, że widzi z okna pociągu śliczne góry, pokryte śniegiem, Melańcia dodawała do tego historię zbójców, którzy się w tych górach kryją, dziesięcioletnia Wika wołała narciarzy, sunących z daleka po śniegu; Staś, który będzie inżynierem, opowiadał, jaki piękny nowy most zbuduje przez rzekę, którą właśnie mijano, a Doktór lubił bajać, jak żyją zwierzęta w tym dzikim, ciemnym lesie, przez który właśnie pędził pociąg. Mówił takim samiutkim głosem, jak zwykle mawiał przez radio. Cicho, krótkimi zdaniami, prawie bez czasowników. I tak samo wszystko się od razu widziało jak żywe.

Nie zawsze jednak Doktór wygrywał orzech. Raczej wygrywał go bardzo rzadko. Zwykle bowiem najciekawsze historie opowiadał po drodze ośmioletni Zdzisiek, który naczytał się już rozmaitych książek, a nawet gazet. Lubił opowiadać, co widzi na mijanych stacjach, a zawsze działy się tam zabawne awantury. Dziś założył się z Wiką, że wygra wszystkie orzechy. Więc zaczął:

— Do Paryża jedzie się przez Berlin. O, patrzcie, w Berlinie na peronie stoi Żyd. Brudny, paskudny Żyd. Podbiega do niego hitlerowiec i raz go w mordę, i drugi raz go w mordę! A na to ten Żyd...

— Zdzisiek — przerwał rzeczowo Doktór, wychylając się nieostrożnie z okna wagonu.

— Przypatrz się dobrze. Czy ten Żyd to przypadkiem nie twój tatuś?

— Jak to, mój tatuś?

— A no tak. Przecież twój tatuś jest Żyd i ty jesteś Żyd i my tu wszyscy w tym pokoju jesteśmy Żydzi.

Staś przestał robić lokomotywę. Pociąg stanął.

— My jesteśmy Polacy — odezwała się nieśmiało kasjerka Melańcia.

— Jesteśmy Polacy żydowskiego pochodzenia — odpowiedział Doktór nie po swojemu. Jakby nie ten zwykły Pan Doktór. Jakby całkiem inny. — Polska jest naszą ojczyzną. Polacy i Żydzi są braćmi. To, co robią Niemcy, zasługuje tylko na pogardę. Zdzisiowi nie udało się dzisiaj opowiadanie. No, jedziemy dalej. Maszynista, dawać parę! Jaki to komin widać na horyzoncie? Czy to huta szklana? Kto będzie wiedział, jak się robi szkło?

— Ja! Ja! — krzyczały dzieci. — Ja opowiem.

— Proszę na czekoladę z pianką — zawołała uśmiechnięta pani Rozenfeldowa, stając w drzwiach salonu.

— Stacja! Idziemy do bufetu! Postój pół godziny!

Incydent zatonął w czekoladzie. Nie zapomniał go tylko Zdzisiek. Przegrał zakład, nie wygrał kasy i jeszcze Doktór porównał tatusia z brudnym, paskudnym Żydem. Tego nie można przebaczyć. Doktór, stary przyjaciel, ulubiony towarzysz zabaw, stał się nagle przedmiotem nienawiści.

Do następnej niedzieli Zdziś obmyślał zemstę.

— Pociąg! Pociąg! — zakrzyczały jak zwykle dzieci, kiedy w tydzień później Doktór wszedł do mieszkania na Mokotowskiej, już pełnego pasażerów.

— A dokąd dziś jedziemy? — zapytał ciekawie.

— Dziś jest litera R!

— To do Radomia.

— E, to nieciekawe...

— Do Raju! — zawołał Oluś.

— Nie ma takiego miasta, nie pleć.

— Dlaczego nie ma być? — upierał się malec. — Właśnie niech będzie. Ja chcę, żeby było!

— Rzeczywiście, dlaczego nie ma być? — uśmiechnął się Doktór. — Ja też chcę, żeby było.

Prędko zakrzątnięto się koło przygotowań, każdy podróżny z biletem w ręku przeszedł między fotelami, i każdemu Zdzisiek, który był dziś kontrolerem, narysował, jak zwykle, znak na bilecie. Prędko usadowiono się w wagonach. Doktór wsunął bilet do kieszeni i, cisnąwszy pluszową poduszkę na przewrócone krzesło, rozsiadł się wygodnie w swoim przedziale.

— Ruszać! ruszać! — wołał chór.

— O, dziś pan kontroler sprawił sobie nowy stempel — zaśmiała się Lalusia, oglądając bilet. — Dziś błękitne kółko, nie zielony krzyżyk.

— Ma rację — zawyrokowała Reginka. — To dla uniknięcia nadużyć. Za każdym razem powinien być inny znak.

— Więc dokąd jedzie ten pociąg? — niecierpliwił się Oluś, kiedy maszynista gwizdnął, zasyczał i zaczął sapać:

— Sssss, puf, puf, puf, ph, ph, ph, ph...

— Przecież chcieliśmy jechać do Raju — wtrącił Doktór. — A może wolicie do Raguzy?

— Nie, nie! Do Raju! Przecież już na biletach napisano: „Raj".

— Też! — sarknęła Reginka. — Nikt nawet nie wie, jak ten Raj wygląda.

— Panie Doktorze, jak wygląda Raj? — zawołano z ostatniego wagonu.

— Raj... hm... bo ja wiem. Pewnie tak, jak go sobie każdy wyobraża.

— Jakto?

— A no po prostu. Niech każde z was powie, jak sobie wyobraża Raj, swój Raj, Raj dla siebie. I właśnie tam na pewno zajedzie. No, Zosiu?

— Żeby domy były z czekolady...

— Ech, głupia, to już w każdej bajce piszą — zgniewała się Mela. — I może jeszcze dachy z piernika? Ja wiem! Raj to takie miasto, gdzie każdy jest ładny, ślicznie ubrany i ciągle chodzi na spacer...

— Też wymyśliła! — krzyknął Miś. — Któż by w Raju piechotą chodził? Zamiast tramwajów są kucyki, a każde dziecko ma prawdziwy samochód.

— Nie, w Raju wcale nie ma dzieci — zaperzyła się Lalusia. — Człowiek ma od razu szesnaście lat, chodzi spać o jedenastej i robi wszystko co mu się podoba.

— A pan Doktór? A pan Doktór?— wołały dzieci.

— Raj starych ludzi nie jest ciekawy — odrzekł z uśmiechem.

— Już ja wiem, jak pan Doktór wyobraża sobie miasto Raj — zawołała blondyneczka Wika, wychylając się oknem.

Wika ma już dziesięć lat.

— Wika, zapłacisz karę! — przestrzegł Zdziś.

— To zapłacę, nie przerywaj, Zdzisiek. Pan Doktór chciałby, żeby wszystkie domy były jak Jasny Dom na Bielanach. Żeby w nich mieszkały „Józki, Jaśki i Franki", a tuż obok „Mośki, Joski i Srule", i żeby Pan Doktór mógł być z nimi całe życie.

— Hm, masz rację, Wika — przyznał Doktór.

— I żeby nigdy nie zrobili się dorośli i nie skończyli wszystkich klas — dodała dziewczynka.

— Co to, to nie. Ci, co skończyli, też do mnie wracają. Ale ja wiem, czego bym jeszcze chciał. Chciałbym, żeby w tym mieście nikt nie nienawidził, nie kłamał, nie oszukiwał...

— A ja chciałabym mieć dziesięć kotów — przerwała Lalusia.

— Kontrola biletów! — huknął nagle Zdziś.

— Nie przerywaj, Zdzisław — skrzywiła się Wika.

— Owszem, czemu nie, jak pociąg, to kontrola — zgodził się lojalnie Doktór, sięgając do kieszeni kamizelki. — Pan kontroler ma prawo.

Pociąg stanął, kontroler wysiadł i chodził od wagonu do wagonu. Dzieci dumnie okazywały swoje bilety z niebieskim kółkiem, a Zdziś rysował na każdym czerwoną kreskę.

— Bilecik pana szanownego poproszę...

Doktór podał bilet.

— To nie ten — stwierdził rzeczowo kontroler.

Doktór poszperał w kieszonce. Pusta.

— Nie ten? — zaniepokoił się.

— Nie. To stary bilet. Ma zielony krzyżyk. Dziś mamy niebieskie kółka — oświadczył lodowato kontroler. — Pasażer obowiązany jest wykupywać świeży bilet na każdą podróż.

— Wiem, wiem, naturalnie proszę pana — tłumaczył się Doktór. — Ja właśnie wykupiłem... ja naprawdę...

Ze wszystkich okien wychyliły się zaciekawione głowy.

— Nic nie poradzę. Muszę pana wysadzić na tej stacji — stwierdził urzędowo kontroler. — Ten bilet jest fałszywy.

— Zdzisiek! Czyś ty zwariował? — krzyknęła Wika.

— Wikusiu, kontroler jest w porządku — mówił Doktór, mocno nieswój. — Gdzież mi się mógł zapodzieć tamten bilet? Pan pozwoli, że jeszcze poszukam — nerwowo szperał po kieszeniach marynarki.

Kontroler czekał, niewzruszony, trzymając czerwony ołówek w pogotowiu. Oparł się nawet wygodnie o drzwi gabinetu, zasłonięte portierą. Nie spieszyło mu się zupełnie.

Ale biletu z niebieskim kółkiem — nie było.

— Przecież doskonale pamiętam, jak kupowałem w kasie — mruczał Doktór do siebie, a ręce zaczynały mu drżeć.

— Kasjerką była dziś Wika. Wika! Jak to było? Czy ty pamiętasz?

Ale Wika znikła z pociągu. Gdzież się podziała Wika? Pewnie poleciała do stołowego, zobaczyć, co słychać z podwieczorkiem. Dzieci, siedząc nieruchomo na przewróconych krzesełkach, szukały oczami Wiki, to znów spoglądały na Doktora. Doktór wyraźnie zbladł.

— Mamy do czynienia z niedopuszczalnym nadużyciem — stwierdził dobitnie kontroler, a na czoło Doktora wystąpiły kropelki potu.

Czarne oczy Zdzisia błyszczały okrucieństwem.

— Mam cię! — wrzasnęła nagle Wika, wyskakując spoza portiery tuż za Zdzisiem, jak sprężyna z pułapki na myszy.

Z kieszeni kontrolera wyciągnęła już nowiutki bilet z niebieskim kółkiem i podnosiła go wysoko, żeby wszyscy widzieli.

— To tyś zamienił bilety, podlecu! — syczała.

— Wikusiu, Wikusiu, jakże można, to jakieś nieporozumienie... — odetchnął Doktór, wycierając chustką czoło.

— Proszę na czekoladę z pianką — zjawiła się w porę uśmiechnięta pani Rozenfeldowa.

Od tej pory nikt już nie chciał bawić się w pociąg.

*

1942. Warszawa. Ghetto.

Kto nie widział, kto nie widział, kto nie zobaczył własnymi oczami, ten niech nie próbuje zrozumieć, niech — nie — próbuje — zrozumieć.

Na ulicach głowa przy głowie. Tak ciasno, że trudny jest każdy krok. Obdarci ludzie, woskowe twarze, w oczach czarny głód. Gdzie na chodniku trochę luzu, tam leży trup pod gazetą. Domy obszarpane, sklepy rozbite, okna ślepe.

Postać Niemca, opięta w mundurowe sukno, przeciska się przez tłum. Wygląda jak trzy ogromne dynie, położone jedna na drugą. Najmniejsza z trzech dyń, to głowa, podkreślona czerwonym wałkiem karku. Średnia dynia, to rozrosłe plecy. Podkreślenie znów inne: ciasny rzemień pasa. Za pasem rewolwer. Trzecia dynia, to rozbuchany zad. Pod nim dwa czarne lakierowane słupy: to nogi.

Akcja! Akcja! Pięć tysięcy ludzi co dzień na rampę. To na roboty, gdzieś na wschód. Ale nikt z tych robót nie pisał, nikt nigdy nie dał znać.

Akcja! Akcja! Za mundurem Trzech Dyń drepczą policjanci. Sami Żydzi. Granatowe czapki, gumowe pałki, deszczowe płaszcze. Jeszcze są rumiani, jeszcze dostają żreć. Ale już w oczach szaleństwo.

— Schneller, schneller. Dziś znowu pięć tysięcy na rampę. — Biała rękawiczka wskazuje blok domów. — Dziś — stąd.

— Jawohl, Herr Oberleutenant — prężą się policjanci, a strach tańczy im w oczach.

Niejeden już własną rodzinę pakował do ciężarówki i wiózł na rampę. Mówił im wtedy:

— To nic, im prędzej, tym lepiej.

A myślał: „Ja jeszcze nie dziś. Może zdarzy się bombardowanie? Ucieknę".

Czy już wiedzą? Czy jeszcze wierzą w ten wschód, w te roboty?

W bloku domów, wskazanych białą rękawiczką, jest wiele mieszkań. Górne piętra będą ostatnie. Na najwyższym piętrze szarego domu jest pięć brudnych pokoi. Tu właśnie, do tych pokoi, spędzono pięćdziesięciu chłopców z Jasnego Domu, który stoi piękny i biały daleko pod Bielanami. Do niedawna wychowywał tych chłopców. W mądrości, w prawie, w pracy, w dobroci i w pogodzie. Żydowskie dzieci. Sieroty. Przybłędy. Jak popadło.

Nie ma chleba, już prawie nie ma wody, nie ma światła, nie ma sienników, już prawie nie ma życia — ale jest z dziećmi Stary Doktór, nieodstępny wychowawca, Janusz Korczak: Henryk Goldszmidt.

Cóż im pomoże? Nic. Bo już nie ma co. Tyle że czasem poklepie któregoś chłopca po ramieniu i powie:

— No, trzymaj się, stary, pojedziemy na roboty, zarobimy na dobry obiad. A tymczasem trzeba wytrzymać.

— Pan Doktór pojedzie z nami?

— A cóżeś ty myślał, Josek?

Tego ranka, kiedy biała rękawiczka wskazała policjantom ten blok domów, inne domy odetchnęły do jutra, a na górne piętro wskazanego domu wbiegła zdyszana dziewczyna. Rozejrzała się niespokojnie.

— Doktór jest?

— Co nie ma być? — burknął któryś chłopak.

— A gdzie?

— Po wodę poszedł.

Wyskoczyła znowu na schody. Na tych schodach go dopadła. Postawił kubełek i dyszał ciężko. Był żółty, brudny, jak ten mur.

— Wika...

— Natychmiast ze mną, Doktorze! Zaraz tu zaczną brać. Dziś wasz blok na rampę.

— Wikusiu, ty już dorosła panna, szesnaście lat i taka ładna, ho, ho!

— Detal, że ładna. Ale blondynka Nikt mnie nie weźmie za Żydówkę, jak będę chodzić po Warszawie. Siedzę tu dla matki, mamy jeszcze co w gębę włożyć. Chodzę na roboty za mury, zawsze coś przyniosę. Wczoraj dałam brylant za trochę masła. Ale też detal. Jutro wyprowadzam matkę. Policjant na mnie leci. Obiecał pomóc. Mam jeszcze jeden brylant, duży, w sam raz. Pan idzie ze mną. Schowają was Polacy na Mokotowskiej, a ja pójdę na wolność. Blondynka!

Zbrakło jej tchu. Wlekła go w dół po schodach wczepiona w jego ręce. Był słaby jak złamana gałąź.

Oparł się nagle.

— Ja zostaję z chłopcami, Wikusiu.

— Co Doktór za głupstwa gada! Natychmiast ze mną. Parter już biorą. Chłopcom Doktór nic nie pomoże, a ja wszystkich nie mogę wziąć.

— Zostaję, Wikusiu.

— Doktór chyba nie wie. Ten policjant mi wyśpiewał. Najpierw na rampę, tam całą noc, a rano do towarówki. Po stu na wagon, do sufitu. Pociąg nic, zwyczajny, tylko podłoga wysypana wapnem. Zamkną wagony i troszkę odjadą w pole. Wapno się zlasuje. Po trzech dniach wygarną trupy i spalą koło toru.

Wrzask ludzki bił już od parteru ku piętrom. Wywlekali po kolei, mieszkanie za mieszkaniem.

— Uciekaj, Wika, bo i ciebie zagarną — powiedział Doktór.

Już przerażeni chłopcy sypali się z mieszkania na schody.

— Panie Doktorze!

— Jestem, jestem z wami.

Nie zdążyli już wypić tej wody, którą im przyniósł.

Akcja! Akcja! Cały blok w godzinę.

*

Wika powiedziała prawdę. Na rampie przesiedzieli całą noc — wokoło druty — a nad ranem podstawiono pociąg. Długi. Towarowy. Pusty. Przez otwarte drzwi widać było podłogę, grubo białą od wapna.

Doktorowi nie drżały ręce, pot nie wilżył czoła.

— Spokojnie wchodzić, dzieci, spokojnie.

Stanisława Kuszelewska

Z TEKI KRAKOWSKIEJ

Kraków, miasto zabytkowej architektury, skupiał na sobie często uwagę plastyków polskich. Stosunek plastyki do stolicy Piastów i Jagiellonów bywał dwojaki: w ciągu XIX wieku powstawały ryciny głównie o charakterze dokumentarnym, jako uzupełnienie dzieł naukowych i popularnych, poświęconych przeszłości grodu; począwszy zaś od końca tego stulecia, od okresu „Młodej Polski", mnożyły się prace graficzne, zazwyczaj ujmowane w teki, zmierzające do sformułowania plastycznych uroków „żywych kamieni" miasta.

Tego rodzaju ujęcie motywów architektonicznych cechuje również opracowaną ostatnio przez współczesnych artystów tekę graficzną, poświęconą dawnej architekturze Krakowa. Teka ta zawiera kilkanaście interesujących pod względem malarskim prac graficznych, których autorami są: J. Fedkowicz, A. Jurkiewicz, B. Krasnodębska-Gardowska, A. Marczyński, Z. Pronaszko, Z. Radnicki, Cz. Rzepiński i K. Srzednicki.

Wyraz plastyczny poszczególnych plansz teki przedstawia się rozmaicie, w zależności od osobistego temperamentu artystycznego ich twórców. Autolitografie Fedkowicza cechuje zdecydowana malarska plama. Szeroka, energicznie położona kreska określa też „Kościół św. Wojciecha" Pronaszki. W malarską plamę sumują się także gęstą sieć tworzące kreski litografij Radnickiego. Wyjątkowo miękka faktura Jurkiewicza warunkuje „mgławicową" wizję jednego z fragmentów fortyfikacyj Wawelu. Podobny gatunek formy malarskiej ujawniają autolitografie B. Gardowskiej, sugerujące rozlewną i łagodną technikę akwarelową, uzupełnioną lekkimi akcentami graficznymi. Silne zróżniczkowanie faktury rozstrzyga o charakterze plansz Srzednickiego, przedstawiających ogólny widok Wawelu od strony Wisły i kościół Norbertanek.

Czysto graficzną (w formalnym rozumieniu słowa) technikę rysunkową dostrzegamy w pracach Rzepińskiego i Marczyńskiego. Przy użyciu bogatej i zróżniczkowanej kreski stosuje Rzepiński nie pozbawione „dekoratywności" linearne jakości, zarówno w widoku Bramy Floriańskiej, jak również w widoku fortyfikacyj miejskich, związanych ze wspomnianą bramą. Elementy te zyskują na sile zwłaszcza w drugiej z wymienionych litografij. Bardziej „abstrakcyjna", jakby wysublimowana, cieniutka i kapryśna na pozór, bardzo typowa dla artysty kreska określa widok Rynku i kościół Pijarów Adama Marczyńskiego.

Jak z powyższych uwag wynika, wśród grawiur teki z widokami Krakowa można wyróżnić plansze o przewadze „malarskich" środków wyrazu oraz plansze o przewadze jakości rysunkowo-linijnych. W obydwóch jednak rodzajach przedstawień uderza ta sama troska nie tyle o dokumentarną ile o formalną ich stronę w dążeniu do jak gdyby samoistnych wartości malarsko-graficznych.

Tadeusz Dobrowolski

JERZY FEDKOWICZ — *Motyw z Sukiennic*

ZYGMUNT RADNICKI — *Most*

ADAM MARCZYŃSKI — *Planty i kościół Pijarów*

CZESŁAW RZEPIŃSKI — *Mury starego Krakowa*

ZBIGNIEW PRONASZKO — *Kościół św. Wojciecha*

STEFAN PAPÉE

„Quo vadis" po pięćdziesięciu latach

TRYUMF „QUO VADIS"

Latem 1894 r. ksiądz proboszcz Kaszelewski z Zakopanego prosił Sienkiewicza o odczyt „na kościół" w sali Dworca Tatrzańskiego. Sienkiewicz zgodził się i odczytał, ku zdziwieniu licznych słuchaczy, fragmenty z nowej powieści „Quo vadis". W „Bibliotece Warszawskiej" drukowano wówczas „Rodzinę Połanieckich" i ogólnie wiedziano, że Sienkiewicz nie skończył jej jeszcze pisać. Nagle nowa powieść, historyczna i to z obcych dziejów?!

W liście do przyjaciela, redaktora Dionizego Henkla, z 13 września 1894 r., tak o tym ważnym momencie Sienkiewicz donosił: „Zmęczyłem się odczytem, „Połanieckimi" i piłowaniem materiałów do „Quo vadis"... siedziałem cały dzień nad robotą... Odczyt mój dla górali przyniósł mi ten dobry rezultat, żem się przekonał, iż mnie koń, zwany „Quo vadis", z siodła nie wyrzuci."

Minęło pół roku.

W liście do prof. Kazimierza Morawskiego z kwietnia 1895 r. pisał Sienkiewicz: „Siedzę i siedzę i piłuję, a zachęca mnie myśl, że moja powieść urośnie siłą rzeczy w wielką chrześcijańską epopeję — pełną różnorodnych typów."

Druk „Quo vadis" rozpoczął się dnia 26 marca 1895 r. w 70 numerze warszawskiej „Gazety Polskiej". Prawie równocześnie ogłoszono tę powieść w odcinkach krakowskiego „Czasu" i w „Dzienniku Poznańskim", dla pozostałych zaborów. Oddzielne wydanie pojawiło się w 1896 r., w 3 tomach, a więc właśnie pięćdziesiąt lat temu.

Pierwsze głosy o „Quo vadis" były bardzo pochlebne.

Zygmunt Samolewicz już w listopadowym numerze krakowskiego „Przeglądu Literackiego" z 1896 r. drukował studium pt. „Tło historyczne w powieści „Quo vadis", pełne zachwytu dla świetnego przedstawienia postaci i scen z życia Rzymian, wyrażające podziw dla „ogromnej erudycji Sienkiewicza", autora dzieła „odznaczającego się potęgą umysłu i wyobraźni, jak rozległymi i gruntownymi studiami historycznymi i starożytnymi".

Niebawem Władysław Bogusławski, w styczniowym numerze „Biblioteki Warszawskiej" z 1897 r., unosił się nad obrazami w powieści, godnymi Rembrandta i zawyrokował, że „w porę... przyszła książka Sienkiewicza, w porę dla wszystkich i dla niego", bo „jest krzepiąca otucha i ożywcza pociecha w tym widoku Zła, ukorzonego przed siłą moralną, obejmującą rząd nad duszami: jest w tym tryumfie Sprawiedliwości i Dobra odwet dla umysłu i serca, w dobie, kiedy myśl europejska bałamucona przez wszelakich obłąkanych Zarathustrów, w nienawiści szukając Nadczłowieczeństwa, odwraca się od słabych, cierpiących i zgiętych przemocą".

Wszechmocny w wydawaniu literackich i katolickich opinij prof. Stanisław Tarnowski w ogłoszonym w 1897 r. studium pt. „Henryk Sienkiewicz", ostatni rozdział pracy poświęcił rozbiorowi „Quo vadis", oświadczając z namaszczeniem: „Stanowisko religijne Sienkiewicza, rozjaśniające i ustalające się stopniowo, doszło teraz do dojrzałości zupełnej i objawiło się w całej swej mocy w „Quo vadis", powieść „pisana jest w duchu najuczciwszym, najbardziej religijnym, najbardziej katolickim, jakim być może"; jest „w tym dziele coś naprawdę wielkiego — a Sienkiewicz, który na jego tytule napisał „Quo vadis", pod jego końcem mógł śmiało i z czystym sumieniem podpisać, jak pobożni pisarze wieków średnich: **Ad maiorem Dei gloriam**".

Równocześnie bystry krytyk Ignacy Matuszewski w zbiorze „Swoi i obcy" (1897 r.), choć wysunął szereg poważnych zarzutów wobec najnowszej powieści Sienkiewicza, ostatecznie stwierdził, że po zestawieniu sumy wad z sumą zalet różnica wypadnie na korzyść utworu, że **vox populi** nie pomylił się w sądzie, uważając „Quo vadis" za „najlepszą z prac Sienkiewicza" i że niektóre sceny, postaci i obrazy zrobione są tak świetnie i tak silne sprawiają na czytelniku wrażenie, że „w literaturze powieściowej całego świata mało znajdziemy rzeczy podobnych".

Rok 1900, w którym Siekiewicz obchodził 30-lecie swej pracy pisarskiej, był bodajże szczytem tryumfu „Quo vadis".

„Tygodnik Illustrowany" z 1900 r. notuje raz po raz echa zagranicznych sukcesów powieści, zwłaszcza w krajach anglosaskich. Jeremiasz Curtin, amerykański tłumacz dzieł Sienkiewicza, donosi, że „Quo vadis" w angielskim przekładzie rozeszło się już w 700 000 egzemplarzy i podaje okrzyk jakiejś egzaltowanej amerykańskiej entuzjastki Sienkiewicza: „Nie warto żyć! skończyłam właśnie „Quo vadis". To znów czytamy w „Tygodniku" notatkę, że „Quo vadis", wydane w Paryżu w czerwcu 1900 r. „rozeszło się w ciągu 4 miesięcy w 120 000 egz.". Od kilku dziesiątków lat nie było książki, zwłaszcza obcej, która by się cieszyła równym powodzeniem. „Są obecnie w Paryżu — podaje korespondent — monomani, którzy nie mówią o niczym innym prócz „Quo vadis".

Sienkiewicz, odznaczony w czerwcu 1900 r. godnością honorowego doktora Uniwersytetu Jagiellońskiego (od 9. V. 1893 r. był już członkiem czynnym Akademii Umiejętności), dowiaduje się, że przedstawiciele wszechnic amerykańskich, kiedy stanęli przed senatem **Almae Matris**, obchodzącej 500-lecie swego odnowienia, oświadczyli publicznie, że przybywają z kraju, w którym każdy mieszkaniec ma w swoim sercu Kościuszkę, w domu zaś swoim, obok Pisma św., także „Quo vadis".

Równocześnie ojciec Giovanni Semeria, barnabita, wygłasza w Genewie wykład, który niebawem pojawia się drukiem w kilku językach, pt. „Apologia chrystianizmu i sztuka w powieści Sienkiewicza", poprzedzony pismem arcybiskupa genueńskiego Tomasza Marchese Reggio, aby stwierdzić, że „Quo vadis" jest „prawdziwym odbiciem największego boju wiary chrześcijańskiej z pogaństwem", „apologią chrześcijaństwa najbardziej skuteczną, jaką dziś można napisać". „Mogę z głębi kapłańskiej i chrześcijańskiej duszy przyklasnąć i pobłogosławić (Sienkiewicza) za to", kończy ojciec Semeria, dodając jeszcze pod adresem Polaków: „naród, który jest w stanie stwarzać takie arcydzieła, jak „Quo vadis", większy jest niż jego gnębiciele".

Na koniec Józefat Nowiński, ogłaszając studium pt. „Sienkiewicz" (z datą 1901), zamyka dużą listę entuzjastycznych chwalców powieści słowami: „jedność zachwytu względem całości dzieła jest stałym i niezmiennym wrażeniem moim przy odczytywaniu „Quo vadis".

Sienkiewicz mógł sobie wtedy z zadowoleniem powtórzyć zdanie: „koń, zwany „Quo vadis" z siodła mnie nie wyrzuci"!

Rozgłosowi powieści towarzyszył bowiem rekord przekładów na różne języki i niesłychana ogólna liczba wszystkich wydań, która, jak przytacza F. Hoesick, była według obliczeń angielskich bibliografów tak wielka, że „żaden utwór literatury pięknej upłynionego stulecia nie może sprostać temu dziełu".

O popularności „Quo vadis" wśród obcych podali interesujące szczegóły Mieczysław Brahmer, Maria Kosko, Jan Lorentowicz, a świeżo Tadeusz Stark. Z ich uwag wynika, że był czas, w którym „Quo vadis" było najpopularniejszą powieścią świata, zyskało rekord przekładów w przeszło 25 językach, w niektórych nawet po wiele razy (np. w włoskim naliczono przekładów 20, w niemieckim nawet 25); przerabiano tę powieść kilkakrotnie na dramaty i opery, nakręcono kilka filmów; imionami bohaterów i godłem powieści nazywano elegantów, atletów, bokserów, konie wyścigowe, wytworne obuwie, a nawet kokoty, aż po roku 1900 nadszedł z kolei czas, kiedy właśnie z powodu tej powieści, która miała jeden „z najbardziej niezwykłych sukcesów, jakie zapisała kiedykolwiek historia książki", powiedziano Sienkiewiczowi najwięcej przykrości i rzucono pod jego adresem najwięcej inwektyw.

„FAŁSZYWE ARCYDZIEŁO"

Sienkiewicz zbiera cięgi za „Quo vadis" już w 1901 r., w pięciolecie ukazania się powieści. Wydane w tym roku studium Piotra Chmielowskiego pt. „H. Sienkiewicz w oświetleniu krytycznym", w pochwałach skąpe, przyniosło wiele zastrzeżeń co do ujęcia świata chrześcijańskiego i postaci apostołów, wskazało jako na źródło sceny w cyrku z turem walkę z potworem morskim w „Pracownikach morza" Wiktora Hugo i ubolewało nad przesadnym wysunięciem na czoło zdarzeń historii miłosnej Ligii z Winicjuszem i nad epilogiem powieści, utrzymanym w tonie sprawozdawczym.

Niebawem pojawiły się, zwłaszcza we Francji i we Włoszech, oskarżenia Sienkiewicza o plagiat. Zaczęto mówić o „Quo vadis" jako o kunsztownej mozaice, złożonej z rozmaitych części obcego pochodzenia. Sienkiewicz czuł się nawet zmuszonym do odpierania tych krzywdzących zarzutów w liście do francuskiego tłumacza „Quo vadis" Kozakiewicza z 28 marca 1901 r. Późniejsze szczegółowe badania źródeł i czynników inspiracyjnych „Quo vadis", przeprowadzone głównie przez Alfonsa Bronarskiego, Józefa Birkenmajera i Stanisława Pilcha, wykazały bezpodstawność zarzutów plagiatu, natomiast ustaliły one ogromną listę dzieł, z których na pewno, lub tylko prawdopodobnie, korzystał Sienkiewicz przy pisaniu powieści z czasów Nerona. Bronarski wymienił w 1926 r. 18 takich źródeł, przeważnie francuskich. Można by tę listę obecnie prawie już podwoić. Zarzutu plagiatu nikt jednak dziś już nie stawia. Natomiast szczegółowe badania stwierdziły: Sienkiewicz należał do wielkich erudytów wśród powieściopisarzy i umiał posługiwać się umiejętnie źródłami, z których czerpał jednak tylko wiedzę i podniety do samodzielnych opracowań. Oskarżenia o plagiat umilkły zresztą już w pierwszych latach naszego stulecia, czego wymownym dowodem stało się przyznanie Sienkiewiczowi 9. XII. 1905 r. literackiej nagrody Nobla, właśnie za „Quo vadis".

Natomiast głosy krytyki i niechęci do „Quo vadis" wciąż wzrastały.

Teodor Wyzewa, który w 1886 r. oddał Sienkiewiczowi wątpliwej wartości przysługę, poprzedzając przekład francuski „Bartka Zwycięzcy" przedmową, w której przedstawił Polaków jako naród marzycieli i gawędziarzy, bez jakichkolwiek zdolności twórczych, z okazji ukazania się „Krzyżaków" wyraził się o powieści „Quo vadis": „Nie wiadomo mi..., by w jakimkolwiek kraju jednostki o wyższej kulturze literackiej podzielały w stosunku do niej upojenia tłumu".

W tym samym roku ksiądz Terrade, porównując „Quo vadis" z „Męczennikami" Chateaubrianda, unosił się nad doskonałością rysunku Petroniusza, ale niepokoił go ten „doskonały światowiec", który góruje w powieści i jest jej bohaterem, a nie chrześcijanie i gniewał się, że „stara się on zamienić życie w piękny sen, a harmonię wnosi nawet w swój zgon... I w tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo, uwodzący czar".

E. Stoullig w „Les annales du théâtre" z 1902 r., jak przypomniał dr Brahmer, streścił zacięte dyskusje entuzjastów i przeciwników powieści we Francji, przyznając, że po obu stronach jest część prawdy i obu zdań można bronić, ale raczej przechylił się na stronę tych, którzy w „Quo vadis" widzieli tylko „powieść awanturniczą, o wiele bardziej banalną, niżby się zdawało" i rzecz „wykonaną na sposób Dumasa-ojca".

W 1905 zgryźliwie odezwał się o „Quo vadis" głośny Anatol France.

W 1909 echem zagranicznych głosów o „Quo vadis" była „Legenda Młodej Polski" Stanisława Brzozowskiego, który z patosem zawołał: „Tylko nie myśleć o chrześcijaństwie w kategoriach tego idyllicznego paszkwilu na ducha ludzkiego, w którym jest tyle właśnie z chrześcijaństwa, ile jest z żywej Polski w „Rodzinie Połanieckich" — każdy zgadł, że mówię o „Quo vadis". Zaklinam każdego, kto cierpi nad tym, że to nasza myśl wydała to arcydzieło lekkomyślności i beztroskiego fałszu, niech weźmie do ręki choćby Norwidowskiego „Quidam", a myślę, że owieje go coś jak duchowy zapach owych wieków, coś z ich powietrza i zrozumie, że nasza literatura i Sienkiewicza zniesie i żyć będzie".

Stało się, jak przewidywał Brzozowski. Literatura polska zniosła Sienkiewicza i żyła. Stało się nawet coś, czego nie przewidywał już Brzozowski. Sienkiewicz zniósł te i inne ataki i żył także.

Przetrzymał również szarżę Antoniego Potockiego, który w „Polskiej literaturze współczesnej" z 1912 r. rozwodził się nad „przeciętnością Sienkiewicza" i nawet nową odkrył trylogię w „Bez dogmatu", „Rodzinie Połanieckich" i „Quo vadis", trylogię przeciętności; nie dożył już jednak 1923 r., w którym dowiedziałby się nagle od Leona Daudeta, że „Quo vadis" zawdzięczało swą sławę wyłącznie sferom żydowskim i antykościelnym.

Publicysta ten, o gorącym południowym temperamencie, w polemicznej szarży nie dbający o dobór argumentów, w dwóch artykułach, ogłoszonych w „Action Française"

ZBIGNIEW STOLAREK

Przed świtem

Jaki dzień powieką zamkniętą odchylę?

...Wyprowadzić godziny ze słów cykania? — za mało.
Słowo: — — umiera mi na rękach synek,
słowo ciałem umarłym się stało.

Z drzew naniosło jesieni
i kosów czarnego śpiewania;
Umarł synek, przerażony milczeniem
dnia, który na krzyżu wskazówek się słania.

Prowadzę zegary zamknięciem i otwarciem powiek,
dnie i noce splatają się na krzyż;
— nie patrz synku, nic ci nie odpowiem,
przez powieki zamknięte sam w siebie się patrzę.

Godzin jeszcze jest kilka,
jeszcze można z korzeni doprowadzić śpiew liściom
— śpiew liści samych, to za mało synku,
głębiej trzeba, aby śpiew był wyższy.

Dnie i noce zegarami dzwonię,
a przecież trzeba godzin tylko tyle,
aby słowo od śmierci uchronić.

— Jaki dzień powieką zamkniętą odchylę?

Najtańszą książką polską jest miesięcznik literacki

„TWÓRCZOŚĆ"

Stron 170 Cena 70 zł.

ZESZYT LISTOPADOWY WSZĘDZIE DO NABYCIA

z dnia 1 i 3 wrzenia 1923 r. pt. „Rewizja niezasłużonych sukcesów“ i „Typ niezasłużonego sukcesu“ orzekł ni mniej ni więcej tylko to, że powieść Sienkiewicza „przyjmowana i okadzana jak arcydzieło i wynoszona pod obłoki“ jest „fałszywym arcydziełem“, że jest pozbawiona „wszelkiej poezji, wszelkiej fantazji“, oczywiście także wszelkiej ścisłości, a nawet „wszelkiego uczucia religijnego“, sam zaś Sienkiewicz „to jeden z najbardziej nieoświeconych i najbardziej płasko banalnych pisarzy, jakich wyprodukował niemądry wiek XIX. Mieliśmy we Francji pisarzy równie śmiesznych. Nie mieliśmy śmieszniejszych“.

Daudet posądzał redakcję pisma „La Revue Blanche“ („organ dreyfusowski, antykościelny i żydowski“, z braćmi Natansonami i Leonem Blumem na czele), że dlatego wydała przekład „Quo vadis“ i otoczyła powieść świetną reklamą, ponieważ chciała pokazać światu, że mimo swego antyklerykalizmu interesuje się pierwszymi chrześcijanami. Referent pamfletu Daudeta w „Przeglądzie Warszawskim“ z 1924 r., podpisany M. N., zauważa słusznie, że cała ta historia wygląda miejscami bardzo zabawnie. Sienkiewicz za mierność swego romansu protegowany przez Żydów, dreyfusistów i antyklerykałów na złość rojalistom?!

Natomiast poważnie wyglądała inna sprawa. Mieczysław Brahmer pisząc o „Literaturze polskiej we Francji“ („Przegląd Współczesny“ z 1923 r.) zauważył, że „rozgłos „Quo vadis“ przebrzmiał we Francji dawno i tylko został ślad po sztuce, co przemija“, a w 1927 r., kreśląc tamże „Kilka uwag o „Quo vadis“ wśród obcych“, powtórzył: „o „Quo vadis“ wspomina się za granicą niesłychanie rzadko. Jest to książka wśród obcych zapomniana!“

Czemu? A drugie pytanie: czemu i w Polsce uznanie dla „Quo vadis“ znacznie się zmniejszyło, czego najsilniejszym dowodem jest choćby twarde słowo prof. Konrada Górskiego w numerze „Tygodnika Powszechnego“, poświęconym tegorocznemu jubileuszowi Sienkiewicza, o „Quo vadis“, jako utworze „w dużym stopniu... martwym.“

Na te dwa pytania spróbuję pokrótce odpowiedzieć w 50 rocznicę ukazania się pierwszego wydania książkowego powieści, w momencie, kiedy Gebethner i Wolff wypuścił właśnie dwunaste jej wydanie.

DLACZEGO OBCY MNIEJ CZYTAJĄ SIENKIEWICZA?

Powody zmniejszenia zainteresowania Sienkiewiczem wśród obcych są bardzo rozmaite. Tkwią one nie tylko w samym dziele pisarza.

Każdy z poczytnych powieściopisarzy miał swój okres wziętości, który zazwyczaj mijał ze śmiercią autora Taki jest też los i dzieł Sienkiewicza.

Po pierwszej wojnie światowej byliśmy nadto świadkami ogromnego wzrostu nacjonalizmu na całym świecie. Wywołał on niechęć do obcych pisarzy i zwalczanie przekładów z literatur cudzoziemskich. Zjawisko to zanotowano i w Polsce i w innych krajach europejskich a także za oceanem.

Bodaj jednak ważniejszy był jeszcze inny wzgląd: jakość przekładów Sienkiewicza. Zagadnienie to wymaga dopiero gruntownego zbadania. Z licznych jednak głosów przygodnych można już wnosić, że np. przekłady angielskie Jeremiasza Curtin były bardzo słabe, a przekład francuski „Quo vadis“ Kozakiewicza i Janasza, na którym opierał się Daudet, pisząc swój atak, był więcej niż mierny. Nic dziwnego, że dzieło Sienkiewicza pozbawione największej jego ozdoby, to jest wspaniałego języka, jasnego i wyrazistego — może się wydać literackiemu smakoszowi zupełnie bez wartości.

Monica M. Gardner, autorka obszernej monografii „The patriot novelist of Poland Henryk Sienkiewicz“ w 1926 r., a więc już w kilka lat po sądzie Daudeta o „Quo vadis“ pisze: „To właśnie dzieło stanowi zenit artystyczny twórczości Sienkiewicza“. Monica Gardner czytała jednak „Quo vadis“ nie w przekładzie, ale po polsku.

POGANIZM TRYUMFUJĄCY

W liście do Konstantego Górskiego z 14 lipca 1895 r., a więc jeszcze przed ukończeniem „Quo vadis“, pisał Sienkiewicz: „Pan, należący do młodszego pokolenia, może nie zdajesz sobie sprawy, co się działo w Warszawie za dobrych pozytywnych czasów, gdy Boga pisało się przez małe b, gdy racjonalizm był synonimem rozumu — i gdy nawet ludzie religijni, mniej śmiałej natury, trzymali się ideału i religii jakoś wstydliwie. Ja z tym nastrojem nie polemizowałem wprost — kręciłem się nawet w tym pozytywnym słoneczniku sam — ale, był mi on, **sans le savoir**, wstrętny, zwłaszcza zaś przeciwny mym artystycznym poczuciom... Potem przyszło „Bez dogmatu“, „Pójdźmy za nim“ — jedno było obrazem przepaści sceptycyzmu, drugie wprost już afirmacją. Toż samo „Połanieccy“, a w końcu „Quo vadis“. Ganiono, czy chwalono, ale rzeczy te wywierały wpływ i wrażenie, a w końcu, a raczej, w biegu, przyczyniły się ogromnie do zwrotu nie tylko idealnego, lecz wprost religijnego.“

W ten sposób Sienkiewicz pracował, mimo woli, na własną szkodę, bo gdy wzrosły zainteresowania religijne, gdy pogłębił się katolicyzm czytelników, ci właśnie, wyszkoleni przez Sienkiewicza, neokatolicy odwrócili się z żalem od „Quo vadis“ jako od powieści, która już ich nie zadowalała. „Apologia chrystianizmu“ wydała się nagle jego parodią i pochwałą poganizmu. Zauważył to już Maurycy Mann w 1918 r. w „Encyklopedii Polskiej“ Akademii Umiejętności w słowach: „kierując się zmysłem artysty, wydobył (Sienkiewicz) z epoki Nerona motywy piękna zewnętrznego, objawy życia bujnego i wysokiej klasycznej kultury. Dzięki temu w „Quo vadis“, jak niegdyś w „Męczennikach“ Chateaubrianda, poganizm odniósł estetyczne zwycięstwo.“

Skargi katolików szerzej uzasadnił w 1924 r. Stanisław Lam w książce o Sienkiewiczu, wydanej przez księgarnię św. Wojciecha, bolejąc nad tym, że chrześcijanie są mimo równoznacznego swego stanowiska artystycznie na drugim planie; że czynnikiem nakłaniającym Winicjusza do zmiany wiary jest nie miłość Boga, ale miłość ku Ligii; że Chilo nawraca się przede wszystkim ze strachu; że ogólne tło chrześcijańskiego świata nie ma również wnętrza, pełnego tajemnic, a uwidocznia się tylko w przejawach zewnętrznych.

Stąd już krok tylko do surowego sądu prof. Górskiego: Sienkiewiczowi „bliższy był wykwintny arbiter elegantiarum, duchowy brat Petroniusz, niż rozczochrany i zaszargany św. Paweł“.

BAŚŃ O LIGACH — POLAKACH

Kazimierz Wyka w ciekawej rozprawie pt. „Sprawa Sienkiewicza“ („Twórczość“, 1946, nr. 6) wykazał jak dalece „Trylogia“ była wynikiem zamówienia społecznego.

„Quo vadis“ to dalszy przykład zamówienia kompensacyjnego.

Dziś, gdy znamy już, dzięki gorliwym poszukiwaniom J. Birkenmajera, list Sienkiewicza do prof. Kazimierza Morawskiego z kwietnia 1895 r., w którym autor „Quo vadis“ pisał: „Moich Ligów wziąłem dlatego, że mieszkali między Odrą a Wisłą. Miło mi myśleć, że Ligia była Polką“, widzimy, jak trafne były sugestie prof. Tarnowskiego o Ursusie — przodku Podbipięty, że miał prawo prof. Zieliński dopatrywać się w scenie pokonania germańskiego tura przez Ursusa proroctwa uwolnienia Ligii — Polski przez lud polski, którego reprezentantem ma być ów mocarz Ursus, czyli Niedźwiedź, natomiast nie miał słuszności prof. Tadeusz Pini, który, w 1901 r. pisząc o „Sienkiewiczu jako pisarzu narodowym i artyście“, krótko orzekł: „Quo vadis“ nie ma z polskością innego związku, jak chyba ten, że napisany jest w języku polskim“.

Inna rzecz, że obecnie, w wolnym państwie, znów nie musimy szukać w „Quo vadis“ rekompensacji i to również wpływa na zmniejszenie poczytności powieści.

WARTOŚCI, KTÓRE PRZETRWAŁY

Dziś nikt już nie nazwie „Quo vadis“ arcydziełem, nikt nie postawi tej powieści Sienkiewicza na równi z „Ogniem i mieczem“, „Potopem“ czy „Krzyżakami“, nikt z „powieści z czasów Nerona“ nie będzie usiłował zrobić „wielkiej chrześcijańskiej epopei“, choć jeszcze ks. Baudrillart wyraził się, że to „dla wielu serc najbardziej przekonywające kazanie wieku“.

Jako powieść historyczna wyda się nam nawet „Quo vadis“ utworem o bardzo nierównej wartości. Za główne jej wady uznamy wysunięcie romansu Ligii z Winicjuszem na czoło zagadnień nie tylko z życia prywatnego, ale nawet politycznego Rzymu; pominięcie milczeniem tych objawów, które decydowały o potędze państwa, władającego jeszcze światem; blade przedstawienie chrześcijan (nawet M. Gardner pisze: „Czujemy, że gdybyśmy więcej widywali pierwszych chrześcijan Sienkiewicza, nudziliby nas“); wyolbrzymienie roli Chilona Chilonidesa, bez którego sprytu i pomysłowości nic by nie zyskał zarówno Winicjusz w sprawach Ligii, jak i Neron, szukający sam daremnie wyjścia z trudnej sytuacji po podpaleniu Rzymu; na koniec zupełnie słabe i pospieszne zakończenie powieści. O znużeniu Sienkiewicza przy wykończaniu ostatnich rozdziałów „Quo vadis“ świadczy wymownie taka np. omyłka, którą na szczęście w nadesłanym do druku odcinku zdołał na czas poprawić nieoceniony red. Henkiel: Tygellinus rozkazuje w r. XXX Chilonidesowi wyrwać język, którym ten ośmielił się wskazać na Nerona, jako na podpalacza, tymczasem Sienkiewicz w następnym rozdziale pozwolił mu przemówić i dopiero Henkiel sprawił, że okaleczony Chilo „mówił **w duchu** miłosiernemu Bogu“.

Najlepsze w powieści są poszczególne sceny z życia Rzymian, w których Sienkiewicz wzniósł się, jak już pierwszy zauważył Matuszewski, do „najwyższych szczytów artyzmu“. Dość wymienić niezapomniane obrazy w domu Aulusów, opis uczty Nerona, pochód dworu do Ostii, pożar Rzymu, igrzyska w cyrku, pochodnie Nerona, walkę Ursusa z turem i śmierć Petroniusza.

W Zakopanem czytał Sienkiewicz wyjazd Nerona z Rzymu, pożar stolicy i sceny w cyrku. Od nich zaczął więc pracę nad powieścią i te właśnie wybrane obrazy najsilniej przemówiły do jego wyobraźni. Reszta była już dorabiana, często z wielkim przymusem.

Znawcy świata starożytnego: Zygmunt Samolewicz, Adam Miodoński, Tadeusz Zieliński, Tadeusz Sinko, Józef Birkenmajer i Stanisław Pilch w osobnych rozprawach wykazywali kolejno, w sposób dokładny i przekonywający, że Sienkiewicz orientował się wybornie w realiach starożytnych; nic to zresztą dziwnego, gdyż miał w tym kierunku szczególne zamiłowanie i wieloletnie studia, a nadto doradcą jego i światłym przewodnikiem w starożytnym świecie był wówczas prof. Kazimierz Morawski, znakomity filolog. Możemy więc spokojnie powtórzyć i dziś za Samolewiczem: „nigdzie nie czytaliśmy tak świetnego i jasnego przedstawienia tej strony życia rzymskiego“ (uczty, walki, igrzyska); albo za Miodońskim: „któż w nowszych czasach dał żywszy obraz duszy tego starożytnego organizmu, gdzie przemówiła ona wymowniej i wszechstronniej?“

Portrety wykwitnego Petroniusza, szalonego Nerona, krwawego Tygellina, ślicznej Eunice i cichej, wiernej Akte, na koniec Ursusa, na pół jeszcze poganina, uzupełniają i podnoszą artystyczną wartość wspaniałych scen zbiorowych i niezrównanych malowideł.

Jeśli to ma być „siemiradczyzna“, to trzeba przynajmniej przyznać, że jest ona w wybornym gatunku, namalowana dobrymi farbami.

Dla tych scen dramatycznych i nastrojowych, dla tych portretów, wykończonych mistrzowsko, warto do „Quo vadis“ powrócić nawet po pięćdziesięciu latach, po silne wzruszenia artystyczne.

Stefan Papée

LIDIA ŁOPATYŃSKA

Verlaine — poeta niemodny

W pięćdziesięciolecie śmierci

Malownicza i tragiczna sylwetka Pawła Verlaine'a należy dziś do stałych pozycyj wiedzy literackiej przeciętnego zjadacza chleba i książek: król cyganerii paryskiej, król poetów, który umiera w szpitalu w nędzy — no i wiadomo zresztą że dekadent, a do tego jeszcze historia z Arturem Rimbaud, zakończona wystrzałem z pistoletu i czteroletnim więzieniem Verlaine'a, historia, z którą tyle kłopotu mają ortodoksyjni historycy literatury. Ale z dzieła Verlaine'a w przeciągu pięćdziesięciu lat, które nas dzielą od jego śmierci, tylko wąski skrawek pozostał czymś żywym, znanym, czymś, co zdobi wszystkie antologie: kilka wyrafinowanie prostych i niezmiernie melodyjnych piosenek, melancholijnych lub beznadziejnie smutnych, owo „łkanie bezsennej skrzypki jesiennej“, które „serce mi rani, grąży w otchłani niemocy“, a które tyle kłopotu sprawia tłumaczom i tak często bywa tłumaczone jak żaden chyba poemat (przez tradycyjne nieporozumienie zapewne, bo przecież główny urok tego poematu leży właśnie w tym, co się przetłumaczyć nie da, w jego formie dźwiękowej), i oczywiście śliczna „Sztuka poetycka“:

— De la musique avant toute chose.....
De la musique encore et toujours.....
et tout le reste est littérature.

Ale melancholia, bezprzedmiotowy, przejmujący smutek, zwiewny nastrój, intymna piosenka to jeszcze nie Verlaine. Jest on poetą wielowarstwowym, o mocnych kontrastach, o bogatej skali wątków. Jest poetą gwałtownych rozpaczy, czarnych smutków, opętańczej beznadziei, śmiertelnych lęków, majaczącym o wilkach wyjących wśród zimowej nocy i łodziach zagubionych w bezkresach oceanu. Jest poetą gwałtownych wybuchów i wielkich namiętności:

Świat jest szary dla tego odludka —
ale ja życie widzę na czerwono.

Jest jednym z najbardziej bezpośrednich poetów erotycznych, zmysłowym aż do lubieżności, lubującym się w opisie nagich kobiecych ciał i smaku pieszczot. Jest też poetą mistycznych wzlotów, które transponuje w średniowieczne alegorie, a także autorem wierszowanych traktatów teologicznych, oschłych i subtelnych dyskusyj dogmatycznych. Jest poetą życia codziennego, drobnych zdarzeń, o których opowiada bądź to intymnie i nastrojowo, bądź suchym, sprawozdawczym tonem, nieraz w brutalnych skrótach realistycznych. Ale dekadentem właśnie nie jest, mimo że napisał o cesarstwie w okresie upadku, o bladych barbarzyńcach i wykwintnej sztuce, będącej bronią przeciw banalności życia. Bawił się tym terminem, przyznając równocześnie: „nie oznaczał nic szczególnego, o ile mi wiadomo. Dekadent w gruncie rzeczy nie znaczyło nic“.

Paweł Verlaine

Podobnie jak niejednolita jest tematyka Verlaine'a, i to przez cały czas jego twórczości, mimo że niekiedy pewne wątki są przytłumione (może zresztą tylko przez kokieterię, z jaką Verlaine układa dla celów wydawniczych zbiory swoich poezyj), kompozycyjnie też nie jest jednolity. Nie tylko mnogość wątków narzuca mu różne ujęcia sytuacyj lirycznych, ale konkretyzuje je coraz to w innej formie, od subtelnej analizy psychologicznej, tak dalece nieraz pozbawionej wszelkich szczegółów osobistych, że wydaje się nie tylko ogólnoludzka, ale wręcz bezosobowa — aż do barwnych obrazów, a nawet nowel poetyckich. Lubi formę dialogu. Lubi przede wszystkim malownicze postaci z commoedia dell'arte albo z obrazów Watteau czy Bouchera — Kolombinę i Arlekina, a głównie Pierrota, który pod jego piórem przybiera przeróżne postaci, od ironicznego i beztroskiego ulicznika paryskiego do upiornej, trupiej maski. Tłem dla tych postaci będzie nie tylko krajobraz skąpany w świetle księżycowym, nie tylko z przedziwnym wczuciem wyczarowana przyroda, ale też zadymiony krajobraz miast fabrycznych, albo ulice Paryża o zmroku, gdy zapalają się latarnie gazowe, a po bruku dudni krok robotnika wracającego z pracy.

Najbardziej znamienną cechą poematów Verlaine'a jest ich szata muzyczna. Subtelne, o przedziwnym wyczuciu umiaru homofonie wewnętrze i zwiewne dysonanse, kapryśna cezura, przerzutnia, zacierająca granice wierszy i stwarzająca nowe, misterne rytmy, fantazyjnie potraktowane refreny, słynny „wiersz nieparzysty“, krótkie wiersze piosenki ludowej stanowią dla niego nieprzebrane zasoby efektów muzycznych. Tak jak jego wiersze, nie śpiewają żadne.

I tu mimo woli nasuwa się refleksja, że może właśnie w tym leży powód, dla którego Verlaine jest dziś po prostu — niemodny. Bo od czasu Verlaine'a poezja powoli oduczyła się śpiewać.

Przyszła poezja symbolistów, która, lubując się w homofoniach wewnętrznych, nadużywała ich, przemieniając je nieraz w zgrzyty, a nieraz w niepoważną igraszkę. Przyszedł wiersz wolny, z arsenałem efektów: synkopą, anakruzą, numerus impendus, apokopą itp. (G. Lavaud), skandowany wedle rytmu psychologicznego. Przyszły uroczyste i deklamatorskie wersety. Przyszły poematy kubistyczne, układające się wedle praw kalejdoskopu w mieszaninę barwnych, nie powiązanych obrazów, chwytających życie i rzeczywistość w skrótach, nie ograniczone przestrzennie ani rytmicznie. Przyszedł surrealizm, który... ale przecież wiadomo, że we śnie nie można ułożyć żadnego wiersza do rytmu i rymu. Dziś na wiersze, które śpiewają, pozwalają sobie intymiści. Awangarda wyzwoliła się całkowicie z troski o homofonię, a rytm wybija namiętnością lub logiką obrazów. Być może jest w tym też muzyka, ale muzyka uczona, która nie wpada w ucho... ani w serce. Te wiersze (jeżeli tu jeszcze można mówić o wierszach) nie są zupełnie „mnemotechniczne“.

Równocześnie można zauważyć, że dzieła krytyczne nie mówią już dziś o liryce: z pojęciem liryki wiąże się przecież nierozerwalnie pojęcie formy muzycznej (ściślej: rytmicznej) tak dalece, że niektórzy teoretycy mówią nawet o specyficznej reakcji lirycznej na bodźce natury rytmicznej. Dziś mówi się po prostu: poezja. Poematy dzisiejsze są konglomeratem obrazów, metafor, a nawet peryfraz. Więc może potoczna (a niewłaściwa) interpretacja znanych słów Horacego „ut pictura poesis“ stanie się dziś definicją?

Liryka jako rodzaj literacki zdaje się przeżywać, tak, jak się przeżyła epopeja, tragedia pseudoklasyczna, „genre descriptif“ i tyle innych form. I może naprawdę Verlaine jest dzisiaj przeżytkiem pozbawionym wszelkiej aktualności, coś jakby — ostatni słowik.

Lidia Łopatyńska

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

ROZWAŻANIA POWYBORCZE

Mówi się, że demokraci ponieśli miażdżącą klęskę. Tak, utracili większość w obu izbach Kongresu. Bliższa jednak analiza wyników wyborczych osłabia nieco opinię, jakoby to był nagły i gwałtowny cios.

W siedemdziesiątym dziewiątym Kongresie Stanów Zjednoczonych, tym, który kończy obecnie swoją kadencję, zasiadało 241 demokratów w izbie deputowanych i 56 w senacie. W osiemdziesiątym Kongresie, który zbierze się 1 stycznia, będzie zasiadało 187 demokratów w izbie deputowanych i 45 w senacie. Już wybory w 1938 roku wykazały bardzo znaczny spadek liczby głosów oddanych na demokratów, a dalszy spadek zaznaczył się w wyborach 1942 roku, tak, że obecny wynik można było na ogół przewidzieć.

Jeden tylko czynnik był mniej łatwy do przewidzenia, czynnik decydujący zwykle — przegranych demokratów i o zwycięstwach republikanów: stosunkowo duży procent uprawnionych nie oddał w ogóle głosu. Według przewidywań powinno było głosować 43 miliony obywateli, przy czym liczba ta rozkładać się miała mniej więcej na 22.5 miliony głosów demokratycznych i 20.5 głosów republikańskich. Natomiast do urn wyborczych poszło **tylko 35 milionów** uprawnionych, oddając około 15 milionów głosów na demokratów i około 20 milionów na republikanów. Z tego widać, że republikanie utrzymali swój stan posiadania i że to wystarczyło, aby władza ustawodawcza przeszła w ich ręce.

Zastanówmy się krótko nad obu partiami.

Partia republikańska w amerykańskim języku dziennikarskim nazywa się G. O. P., co oznacza Grand Old Party — Wspaniała Stara Partia. Nazwa ta jest o tyle usprawiedliwiona, że partia weszła na arenę polityczną na początku ubiegłego stulecia, że toczyła walkę przeciwko rozszerzeniu się niewolnictwa Murzynów na Stany Północne i że jej dziełem było poprowadzenie wojny przeciwko separatystycznym Południowym Stanom, znanej jako Civil War. Partia reprezentowała wtedy przemysłową, postępową i kapitalistyczną Północ przeciwko rolniczemu, patriarchalnemu i feudalnemu Południowi. Wierna zasadom absolutnej wolności przemysłowej hołduje im po dziś dzień. Oczywiście to, co było postępowe w okresie wolnej konkurencji, niezbyt może rościć pretensje do tego tytułu w okresie daleko posuniętego panowania potężnych prywatnych monopolów, dopuszczających „free enterprise" tylko na niższych szczeblach gospodarczej działalności. Partia republikańska jest obecnie terenem wypadowym wielkiego przemysłu i reprezentuje różne odcienie prawicy, przy czym należy się wystrzegać porównań z partiami europejskimi, gdyż różnice poglądów i interesów w obrębie jednej partii są w Ameryce znacznie większe.

Wspaniała Stara Partia była dotychczas rzecznikiem izolacjonizmu Stanów Zjednoczonych. W bliższych nam czasach ma ona w dorobku utrącenie wysiłków Wilsona, zmierzających do wprowadzenia Stanów na arenę międzynarodową. Dzięki niej Stany Zjednoczone nie weszły do Ligi Narodów, skazując ją tym samym z góry na niepowodzenie i podczas gdy Europa hodowała u siebie złowieszcze dyktatury faszystowskie, Stany oddawały się złudzeniom pokoju. Gdy Europa krwawiła się w drugiej wojnie światowej, z łona partii republikańskiej wyszli najzaciętsi zwolennicy pozostawienia wolnej ręki Niemcom. Ci właśnie ludzie zwalczali Roosevelta zarówno za New Deal, jak za jego prowadzenie Stanów do udziału w wojnie.

Jakie będą skutki zwycięstwa republikanów, czas pokaże, można jednak już stwierdzić, że istnieją dwa gatunki izolacjonizmu: jawny i zamaskowany i że złudzeniem jest przypuszczać, iż demoniczna potęga Stanów Zjednoczonych może zostać użyta dla innych celów niż najbardziej bezpośrednia obrona ich stanu posiadania i ich interesów.

Trzy nazwiska wybijają się w tej partii na pierwszy plan — są to nazwiska przypuszczalnych kandydatów na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych w 1948 roku. Senator Vandenberg już obecnie jest właściwym kierownikiem polityki zagranicznej. Thomas Dewey, gubernator New Yorku, jest człowiekiem kariery. Młody polityk Stassen odznacza się podobno niesłychanymi zdolnościami.

Dla użytku tych, którzy zetkną się z czasopismami amerykańskimi, warto dodać, że amerykańscy karykaturzyści przedstawiają G. O. P. pod postacią starego słonia.

Partia demokratyczna jest równie starą partią, jednak jej historia obfituje w rozłamy, głównie sprowadzające się do różnic pomiędzy demokratami południowymi i północnymi. Te rozłamy uwydatniły się już w czasie wojny domowej, a moment obecny przydał im nowej ostrości politycznej. Twierdzić, że partia republikańska jest reakcyjna, a patria demokratyczna postępowa, byłoby rzeczą nieco nieścisłą, gdyż w wielu stanach południowych tradycyjnie idzie do wyborów tylko jedna lista — demokratyczna, z której przechodzą nieraz bardzo konserwatywnie usposobieni kandydaci. W Stanach nie ma dyscypliny partyjnej, która by zmuszała kongressmanów do głosowania en bloc, toteż w wielu wypadkach konserwatywni południowi demokraci głosują razem z konserwatywnymi republikanami, a bardziej postępowi republikanie idą wspólnie z postępowymi demokratami.

Niejednolitość charakteru partii demokratycznej uwydatniła się szczególnie silnie w ostatniej kampanii przedwyborczej. Brak przekonywającego przywódcy, jakim był Roosevelt, doprowadził do zarysowania się dwóch grup: demokratów umiarkowanych i radykalnego skrzydła z Wallace'em, Pepperem i Political Action Committee C. I. O. W rezultacie ani umiarkowani, ani radykalni wyborcy, na których głosy mogła liczyć partia, nie zostali przekonani i groziło niebezpieczeństwo, że wielu z nich zostanie apatycznie w domu w dniu wyborów. Próba poparcia Wallace'a przez Trumana, zakończona przegraną i zwycięstwem Byrnesa, którego politykę zagraniczną Wallace dotkliwie skrytykował, była właśnie próbą pozyskania głosów lewicy w wielkich ośrodkach przemysłowych.

Partia demokratyczna największe sukcesy miała w okresie New Dealu, jej też dziełem był udział Stanów Zjednoczonych w wojnie.

W karykaturze amerykańskiej partia demokratyczna jest wyobrażana pod postacią osła, co nie ma w sobie nic obelżywego, zważywszy, że „donkey" jest zwierzęciem sympatycznym i popularnym.

Jakie są główne przyczyny przegranej demokratów?

1) Dwojaki, postępowo-konserwatywny jej charakter, przy nieudałych wysiłkach kierownictwa partii, aby sprzeczności łagodzić.

2) Twierdzenie, jakoby do zwycięstwa republikanów doprowadziła wielka ilość głosów Amerykanów pochodzenia niemieckiego, jest raczej humorystyczne. Amerykanie pochodzenia niemieckiego nie stanowią zwartej grupy, są prawie całkowicie zasymilowani i głosują zgodnie ze swoimi amerykańskimi lokalnymi interesami. Jeżeli brać pod uwagę ich sympatie dla dawnej ojczyzny, to wchodziłby w rachubę tylko bardzo mały procent głosujących. Tylko trzy grupy narodowościowe ważą coś zwykle na szali wyborczej: Polacy, Włosi i Irlandczycy, co się łączy zarówno z katolicyzmem tych grup, jak z ich miejscem w społeczeństwie amerykańskim. Polonia amerykańska odgrywa w życiu Stanów Zjednoczonych niesłychanie małą rolę, a to dlatego, że wydaje nieproporcjonalnie mało ludzi wykształconych, mogących zająć kluczowe stanowiska w przemyśle, polityce i wychowaniu. Jest natomiast jeden wyjątek — a tym wyjątkiem są wybory, gdy decyduje liczba. Amerykanie pochodzenia polskiego zwykle głosowali na demokratów i energicznie popierali Roosevelta. Po Jałcie nastąpił zdecydowany zwrot i należy się liczyć (tak twierdzą niektórzy obserwatorzy), że kilka milionów głosów polskich przeważyło szalę na korzyść republikanów, co, jeśli się weźmie pod uwagę poważne skutki republikańskiego zwycięstwa, może nasunąć interesujące refleksje.

3) Administracja, znajdująca się w rękach demokratów, z wielkim trudem usiłowała przeprowadzać program powrotu (rekonwersji) gospodarki do warunków pokojowych, utrzymując kontrolę cen poprzez O. P. A. — Urząd Kontroli. Musiała walczyć z wciąż rosnącym naciskiem przemysłu, który, nienawistnie odnosząc się do wszelkiej kontroli, nie przebierał w środkach. Przemysł miał potężną broń, a mianowicie niedostarczanie na rynek tych towarów, które były pod kontrolą. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, że w kraju obfitości zabrakło w sklepach ubrań, masła, cukru i mięsa. Na parę miesięcy przed wyborami mięso znikło całkowicie z rynku i pojawiło się dopiero wtedy, gdy Truman poszedł publicznie do Canossy i odwołał kontrolę cen mięsa. Gdy w sklepach brakło towarów, publiczność winiła nie producentów, ale demokratyczną administrację. W Ameryce panuje teoria o samoregulacji rynku i wszelkie braki przypisywano „sztucznej" kontroli, a więc pozostałościom polityki New Dealu. W tej chwili wszystkie tamy pękły, przemysł ma wolną rękę. O. P. A. zostało uśmiercone.

4) Nacisk przemysłu był tak silny, że O. P. A. było podobne do gracza, który by próbował odbić kilkanaście piłek naraz. Od chwili zakończenia wojny krzywa cen szła ciągle w górę. W ten sposób przemysł usiłował zapobiec uszczupleniu swoich dochodów, wynikającemu ze znacznego wzrostu płac robotniczych w czasie wojny, i obniżał realną wartość płac robotniczych. Następstwem tego była walka związków robotniczych o utrzymanie stopy życiowej robotnika i fala strajków, na ogół wygrywanych. Robotnicy podwyższali swoje zarobki, ale przemysł nie dawał za wygraną i ceny rosły dalej. O te strajki publiczność winiła administrację, która stawała się kozłem ofiarnym.

5) W Ameryce zrodziła się pozostawiająca wiele do życzenia opinia, że Rosja jest trudnym partnerem i że ustępstwa Roosevelta na jej rzecz nie przyniosły pożądanego skutku. Program republikanów, w którym nie było miejsca na rozbieżności typu Wallace—Byrnes, wydawał się bardziej konsekwentny. Trzeba wspomnieć, że republikanie z wielką radością przyjęli wystąpienie Wallace'a przeciwko Byrnesowi. W jednym z pism ukazał się rysunek przedstawiający słonia siedzącego przed portretem Wallace'a i grającego na mandolinie piosenkę: „Muszę kochać tego chłopca". Stosunek do polityki zagranicznej był jednym z ważnych elementów w ostatnich wyborach.

6) Osoba prezydenta Trumana, mocno niepopularnego w Ameryce. Osobowość przedstawicieli partyj odgrywa w Ameryce dużą rolę, Truman jest prezydentem z ramienia demokratów i niechętny stosunek do jego osoby ze strony człowieka ulicy przyczynił demokratom wiele szkody.

ZWIĄZKI ROBOTNICZE

Istnieją w Stanach Zjednoczonych dwie potężne organizacje o typie związku związków zawodowych.

A. F. L. — American Federation of Labour przez długi czas sama prowadziła walkę w obronie interesów pracowniczych, grupując wielką ilość związków. Część związków, niezadowolona ze zbyt mało stanowczej polityki kierownictwa, wystąpiła z A. F. L., co dało początek potężniejszej dzisiaj organizacji — a mianowicie C. I. O. (Congress of Industrial Organisations).

Obie te organizacje, a w szczególności C. I. O., są ogromną potęgą w uprzemysłowionym kraju i w historii ostatnich lat Stanów Zjednoczonych należy im się wybitne miejsce. Oczywiście organizacje te są bête noire wielkiego przemysłu, ale siły ich nie da się już złamać. Okres, gdy wielkie fabryki uciekały z Północy na Południe, bo tam udawało się siłą i obietnicami trzymać robotników z dala od unij, należy już do przeszłości.

Organizacje te mają na celu obronę zawodowych interesów. Ściślejsze zagadnienia polityczne wchodzą w grę tylko jako:

1) Taktyka, 2) poglądy polityczne ich poszczególnych członków.

Taktyka zmierza do uzyskania jak najszerszego poparcia w opinii publicznej. Moment obecny, wobec wzrostu sił republikańskich, jest szczególnie delikatny.

A. F. L. od dłuższego już czasu deklaruje swoją zdecydowanie antyrosyjską postawę i przez usta swego prezydenta Greena nawołuje do ostrego kursu w polityce zagranicznej.

Według obliczeń demokratycznego pisma „The New Republic" C. I. O. ma w swoich szeregach około 20% komunistów. Od pewnego czasu trwały w łonie związków należących do C. I. O. zażarte spory pomiędzy komunistami i antykomunistami, przy czym prezydent Murray dyplomatycznie utrzymywał równowagę pomiędzy frakcjami. Na ostatnim zjeździe C. I. O. w Atlantic City przeszła uchwała odżegnująca C. I. O. dość stanowczo od posądzeń o komunizm. C. I. O. jest ośrodkiem postępowego skrzydła demokratów. Szczególnie ważną instytucją jest P. A. C. C. I. O. — Political Action Committee C. I. O. Wallace jest członkiem zbliżonym politycznie do tych kół.

Niewątpliwie związki robotnicze stoją w obliczu trudnych rozgrywek. Wielki przemysł, pieniący się z nienawiści do wszelkich pomysłów w rodzaju New Dealu, będzie się starał wziąć odwet za doznane porażki. Strajk jako broń związków robotniczych jest niezmiernie silnym i skutecznym środkiem, jednak niebezpiecznym, gdyż przeciętny odbiorca usług i towarów, nagle ich pozbawiony, daje się łatwo przekonać, że związki pozwalają sobie za wiele. Ostatni strajk górników węglowych Lewisa dostarczył przykładów, jak trudno jest lawirować pomiędzy Scyllą i Charybdą.

PARĘ SŁÓW O GOSPODARCE

Stany Zjednoczone są w tej chwili zawalone pieniędzmi. Zarobki w czasie wojny były wysokie, a brak było wielu towarów: aut, aparatów radiowych, lodowni elektrycznych, pralni elektrycznych itp. Publiczność jest zgłodniała towarów i jest nabywcą chciwym, łapiącym wszystko, co się na rynku pokaże. Spekulacja autami (a szanująca się rodzina kupuje auta tak często jak ubrania) dosięga szczytów. Sprzedaż przedświąteczna bije przedwojenne rekordy. Nic dziwnego, że przemysł tak zażarcie walczył o zniesienie kontroli cen. Teraz, albo nigdy.

Ceny od początku 1946 roku wzro-

NA GWIAZDKĘ

KSIĄŻECZKI OBRAZKOWE

W ELOBARWNE DLA DZIECI

Nieposłuszna żabka zł 50,—
Przygody Janka zł 50,—
Sobie-Panka zł 50,—
Skrzydlaty świat zł 50,—
Skarżypyta bez kopyta zł 50,—
Przygody roztrzepanej Ewki zł 50,—
Bunt w podwórzu zł 50,—

BAJKI i OPOWIADANIA

Ślicznotka i zaczarowany niedźwiedź zł 120,—
Wielkie przygody małych zwierzątek zł 140,—

ANDERSEN — BAJKI

z 8 ilustracjami 6 kolor. offsetowymi oraz licznymi ilustracjami w tekście w kartonowej oprawie zł 500,—

POWIEŚCI

John Knittel — El-Hakim zł 520,—
Jan Dobraczyński — Szata Godowa
M. Rodziewicz — Straszny Dziadunio zł 270,—
M. Rodziewicz — Lato leśnych ludzi zł 270,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

KSIĘGARNIA ZDZISŁAW GUSTOWSKI

Wielka 10 Poznań Sw. Marcin 34

KOMISJA CENTRALNA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W POLSCE

ogłasza

I. KONKURS NA UTWORY LITERACKIE, nadające się do wykonania indywidualnego lub zbiorowego przez artystyczne zespoły amatorskie, zorganizowane przy świetlicach zakładów pracy, klubach fabrycznych i Domach Kultury Związków Zawodowych.

Pożądane, by utwory odzwierciadlały tendencje i dążenia klasy pracującej. Forma dowolna, w szczególności jednak chodzi o:

1. wiersze,
2. utwory dramatyczne,
3. kompozycje o charakterze regionalnym,
4. utwory literackie, nadające się do inscenizacji, recytacji indywidualnej i zbiorowej,
5. wiersze, nadające się do opracowań muzycznych itd.

Warunki konkursu.

Za najlepsze i zakwalifikowane utwory wyznacza się:

1. dwie pierwsze nagrody po zł 30 tysięcy,
2. dwie drugie nagrody po zł 20 tysięcy,
3. dwie trzecie nagrody po zł. 10 tysięcy,
4. za wyróżnione utwory sześć nagród po zł 5 tysięcy oraz dwanaście nagród po zł 3 tysiące.

II. KONKURS NA UTWORY MUZYCZNE, nadające się do wykonania indywidualnego lub zbiorowego, instrumentalnego i wokalnego przez artystyczne zespoły amatorskie, zorganizowane przy świetlicach zakładów pracy, klubach fabrycznych i Domach Kultury Zw. Zawodowych. Forma i rodzaj utworów — dowolne. Pożądane, by teksty literackie odzwierciadlały tendencje i dążenia klasy pracującej.

W szczególności chodzi o:

1. utwory chóralne do wykonania a capella lub z akompaniamentem zespołu instrumentalnego na chóry żeńskie, męskie i mieszane, dwugłosowe, trzygłosowe lub czterogłosowe, a w szczególności trzygłosowe mieszane (sopran, alt i głos męski),
2. łatwe utwory instrumentalne, mające zastosowanie dla zespołów świetlicowych,
3. wokalne i instrumentalne opracowania utworów ludowych z zachowaniem charakteru regionalnego,
4. muzyczne opracowania utworów, nadających się do wykonania scenicznego,
5. pieśni do wykonania unisonowego z akompaniamentem fortepianu lub zespołu instrumentalnego,
6. pieśni unisonowe do wykonania a capella,
7. pieśni solowe z akompaniamentem fortepianu lub zespołu instrumentalnego (np. kwartet lub kwintet smyczkowy).

Warunki konkursu:

1. trzy pierwsze nagrody po zł 25 tysięcy,
2. trzy drugie nagrody po zł 15 tysięcy,
3. trzy trzecie nagrody po zł 10 tysięcy,
4. za wyróżnione utwory sześć nagród po zł 5 tysięcy i sześć nagród po zł 3 tysiące.

Prace na konkurs literacki i muzyczny należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 1-go lutego 1947 r. do Komisji Centralnej Związków Zawodowych w Polsce — Warszawa, Al. Przyjaciół 9 — Komitet Główny Pierwszego Ogólnopolskiego Konkursu Zespołów Ochotniczych.

Prace konkursowe winny być nadsyłane w zalakowanych kopertach, przy czym wewnątrz winna znajdować się druga zalakowana koperta z właściwym nazwiskiem i adresem autora.

Wyniki konkursów zostaną opublikowane w dniu 1-go marca 1947 r.

Komitet Główny

ały bardzo znacznie i 1 dolar ze stycznia 1946 wart jest teraz około 65 centów. 350 wielkich towarzystw przemysłowych wykazało w trzecim kwartale br. dochody o 70% wyższe niż w trzecim kwartale roku 1945. Najwyższy wzrost dochodu wykazały: przemysł cementowy i szklany: 52.2%; przemysł chemiczny i farmaceutyczny: 49.2%; usługi: 46%; przemysł spożywczy 43.9%; agencje handlowe, wyroby papierowe i manufaktura ponad 100%; stal, mimo strajków, 42.7%.

Badania przeprowadzone przez Federal Reserve Board i Bureau of Agricultural Economics w początku tego roku wykazały, że 60% bieżących oszczędności w Stanach Zjednoczonych było w posiadaniu 10% oszczędzających, natomiast połowa oszczędzających miała razem tylko 3% ogólnej sumy oszczędności. Łatwo stąd wyciągnąć pouczający wniosek, że olbrzymia większość odbiorców towarów żyje z bieżących zarobków i że ta rozciągliwa guma cen nie może być rozciągana w nieskończoność. Z chwilą, gdy towary staną się za drogie, klient przestanie je kupować, woląc np. jeździć starym samochodem, nosić stare ubranie, czy też odmawiając żonie podarunku z elektrycznej pralni, która sama pierze, płucze, wyżyma i suszy.

Ceny więc prawodopodobnie spadną, a w tym wypadku wyznawcy „samoregulacji" ekonomicznej mieliby wątpliwą pociechę. Jest to niebezpieczna, stroma skała, z której łatwo runąć w przepaść nagłego kryzysu.

Amerykańskie posunięcia gospodarcze są bacznie śledzone w Wielkiej Brytanii. Zniesienie kontroli cen w Stanach wtedy, gdy reszta świata głoduje, zabicie U.N.R.R.A i sprzeciwienie się przez Stany utworzeniu Międzynarodowego Funduszu Żywności budzą niepokój znacznej części labourzystów. Podkreśla się przy tym:

1) Że z sumy 3,750.000.000 dolarów pożyczki Wielka Brytania pobrała dotychczas 600.000.000 dolarów, podczas gdy niepobrana reszta straciła, wskutek wzrostu cen w Stanach, znaczną część siły nabywczej, gdy chodzi o nabycie amerykańskich produktów.

2) Że Stany zmierzają do depresji i wiązanie gospodarki i polityki W. Brytanii z gospodarką i polityką Stanów może wciągnąć W. Brytanię w duże kłopoty, gdyż w Stanach brak ludzi, którzy by rozumieli, do jakich niebezpieczeństw prowadzi taka polityka gospodarcza, jaką uprawiały Stany po pierwszej wojnie.

3) Że z chwilą depresji i spadku cen w Stanach angielski import do Stanów będzie uniemożliwony, natomiast byznes amerykański będzie wypierał Anglików z rynków zagranicznych. Obawy wydają się zatem aż nadto uzasadnione.

COLUMBIANS, INC.

Sensacją na pewien czas stała się organizacja Columbians, inc., którą założyło grono młodych i obiecujących ludzi w mieście Atlanta, w stanie Georgia. Jak wiadomo, istnieje i ma stare tradycje w Stanach Ku-Klux-Klan, który hołduje zasadom czystości rasy i czystości „amerykanizmu", starając się chronić Amerykę przed złymi wpływami Murzynów, Żydów i katolików. Młodzi ludzie z organizacji Columbians uważają Ku-Klux-Klan za instytucję starą, niedołężną i bezzębną. Ceniąc czyn, śmiałość i męskość, wzywają do natychmiastowej akcji, a swój program określają otwarcie jednym słowem. „Nienawiść" i proponują szybkie, bezapelacyjne rozprawienie się z Murzynami i Żydami, katolików pozostawiając na razie na deser.

Ponieważ urządzali w Atlanta burdy, stanęli przed sądem, przy czym i w czasie rozprawy nie obyło się bez awantury. Kiedy młody ich przywódca Burke, o płonących nienawiścią oczach i zaciśniętych ustach, zarzucił jednemu z prawników, że nie jest „czysto białym człowiekiem" i ma domieszkę krwi murzyńskiej, prawnik ów jednym sierpowym zwalił Burkego z nóg. „Zapłacisz jeszcze za to" — powiedział wstając Burke.

Analogie pomiędzy zebraniami tej grupy i piwiarnią monachijską, w której pewien zdemobilizowany kapral zbierał swoich zwolenników po pierwszej wojnie, są zbyt widoczne, aby prasa nie podniosła wielkiej wrzawy. Jednak dziennikarze liberalni, którzy specjalnie udali się do Atlanta, zapewniają, że historia jest rozdęta i nie ma powodu do hałasu z okazji bredni paru degeneratów. Oby mieli rację.

Miasto Atlanta jest w Polsce popularne, gdyż tam to kochała i cierpiała bohaterka powieści „Przeminęło z wiatrem" Margareth Mitchell, powieści, która zdobyła sobie u nas zdumiewającą popularność. Powieść ta jest już w Stanach zapomniana, gdyż każdy miesiąc przynosi około paru tuzinów podobnych utworów. Natomiast obywatele Atlanta uważają tę książkę za coś w rodzaju dzieła ich narodowej literatury i tamtejsze dzienniki żywo interesowały się artykułem polskiego poety o amerykańskich autorach w Polsce, w którym znalazły wzmiankę o sukcesach „Przeminęło z wiatrem".

Miasto Atlanta dobrze pamięta Wojnę — a jak wiadomo była tylko jedna Wojna — Civil War 1861—1865 roku. Wiernie też przechowuje południowe tradycje. W Atlanta mieszka Wielki Smok Ku-Klux-Klanu, który w życiu codziennym jest skromnym lekarzem. Zastanawiające, że szefami tego „zakonu" są najczęściej weterynarze, dentyści albo lekarze. Jeżeli ktoś z czytelników jest ujemnego zdania o K.K.K., uprzejmie proszę, aby nie występował z propozycją wytępienia wszystkich weterynarzy, dentystów i lekarzy, gdyż w artykule tym nie miałem zamiaru prowadzić tego rodzaju propagandy.

Jan M. Nowak

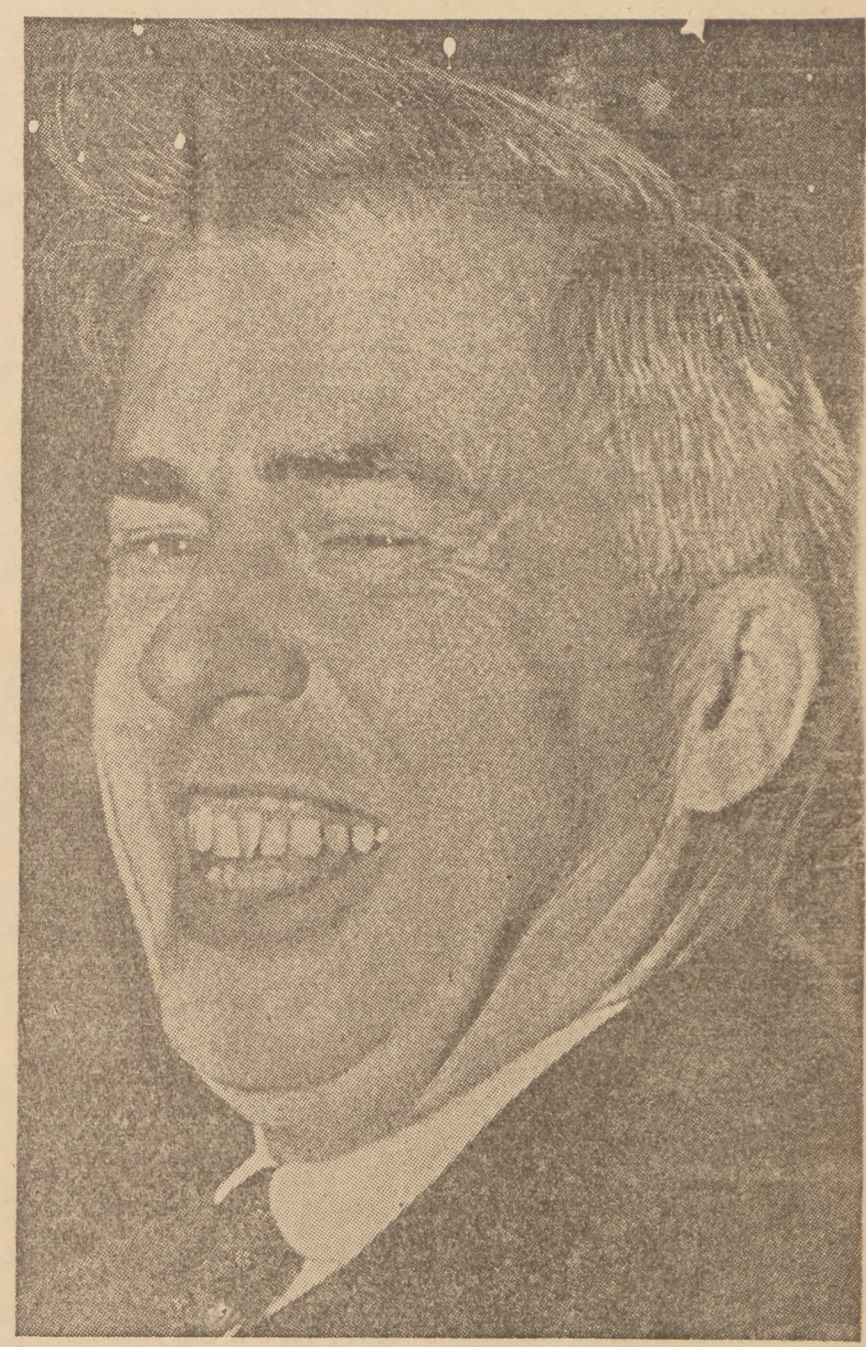

Henry Wallace

HENRYK VOGLER

OCALONY Z OTCHŁANI

Fragment wspomnień

Zimą 1943—44 dotarliśmy do dna. Nie znaczy to, aby krąg doświadczeń tej wojny, przeznaczonych dla naszego gatunku i naszej rasy, miał się zamknąć przed nowymi próbami. O nie, nie bądźmy skromni. Ale nowość polegała odtąd na uintensywnianiu i poszerzaniu już znanego cierpienia: rosło ono już tylko ilościowo, jakość pozostawała tego samego rzędu. W systematyce męczeństwa osiągnęliśmy ostatni stopień wtajemniczenia.

Było nam wtedy dobrze. Leżąc nocą na pryczy w najciemniejszym kącie baraku nr 2 obrastałem zwolna grubą warstwą brudu. Dawało to pewną dozę ciepła i zadowolenia. W kąt ten spędzano takie jak ja ciury obozowe, ogryzione już niemal całkowicie z woli życia przez zły los, przez warunki, przez tych współtowarzyszy, których wola życia była silniejsza niż nasza. Gdyż pożeraliśmy się nawzajem jak ośmiornice na dnie oceanów, jak dzikie bestie w pierwotnej dżungli; zwyciężał ten, kto miał mocniejsze kły i pazury, pokonany dostawał miejsce w najciemniejszym kącie baraku nr 2; stamtąd droga prowadziła już tylko do głębokiego, obszernego rowu w lesie.

Powiedziałem przed chwilą, że my, ludzie z kąta baraku nr 2, byliśmy „ogryzieni z woli życia". Zdaje się, że wyrażenie to jest trochę nieścisłe i nie należy go rozumieć fałszywie. Właśnie to jedyne, co w nas jeszcze naprawdę zostało, to była chyba ślepa, zwierzęca wola życia. Wyobrażam ją sobie przenośnie i trochę naiwnie niby jakiś rdzeń o mocnej i stałej konsystencji, dokoła którego narastają — jak mięso, tłuszcz i skóra narasta na kości — mięciutkie pokłady zainteresowań, namiętności, marzeń. Jeżeli powiedziałem „byliśmy ogryzieni z woli życia", rozumiałem przez to ogryzienie owych pokładów, które zeżerano w nas stopniowo przez owe lata niemieckie, aż pozostał sam wylizany do czysta rdzeń: naga, surowa, barbarzyńska wola życia.

Widzę siebie jeszcze teraz — choć już trochę niewyraźnie i jakby z pewnym uczuciem zdziwienia i nieufności — gdy wraz z innymi towarzyszami kąta wysuwam się stamtąd po rannej pobudce o godzinie 5-tej nieumyty, ze stopami owiniętymi w strzępy onucek, umocnione sznurkiem, w łachmanach odsłaniających z obojętną pogardą najwstydliwsze miejsca nagiego ciała, a raczej szkieletu tego ciała. To wrażenie „szkieletowatości" (nie umiem tego inaczej określić) owego odcinka życia i czasu jest dla mnie jeszcze dzisiaj tak dojmujące i naczelne, że gdy przymykając oczy widzę owe codzienne genezis dnia roboczego, równocześnie także słyszę je... Słyszę metaliczny grzechot jak trącanie o siebie kości nieboszczyków, gdy na dźwięk dzwonu obozowego śpieszą do Ostatecznego Apelu. Lecz poczucie realizmu — które staram się zachować, choć przychodzi mi to dosyć trudno — przywraca mnie do równowagi. Słyszę grzechot w dalszym ciągu, ale wiem już, co on oznacza: To dźwięczą uderzające o siebie w pośpiechu menażki, naczynia na zupę, największy skarb naszej obozowej egzystencji, który tulimy pieszczotliwie do piersi jak stary weteran swój karabin. Menażka jest naszą bronią, przy pomocy której walczymy z determinacją, po bohatersku o nasze życie: o zupę.

Lecz do sprawy zupy może jeszcze powrócę. Na razie jest świt. Czas chleba. Podchodzimy ustawieni kolejno jeden za drugim. Z gałkami ocznymi wyłażącymi z orbit, z otwartymi ustami i z przyschniętą w kącikach warg śliną śledzimy z napiętą do ostateczności uwagą każdy ruch wydającego. Nie odklejamy źrenic od pokrajanego na kawałki wspaniałego chleba. Ileż inteligencji, ile sprytu, ile dzielności trzeba, aby uchwycić tę porcję, która wydaje się większa! Potknąć się niby, wypaść z szeregu, w ostatniej chwili uniknąć, wydawałoby się już nieuchronnego, środkowego kawałka i podsunąć się pod „piętkę". Bo „piętka" czyli „koniuszek" jest zwykle o jakie deko lub dwa większa, przynajmniej tak nam się wydaje, a zresztą więcej w niej skórki, skórka zaś bardziej syci. Ale nie jest to łatwa sprawa! Bo wpatrzony w „piętkę" jestem nie tylko ja, ale także następny za mną i ten następny za następnym i jeszcze za nim następny. Obliczamy w naszych błyskawicznie kojarzących mózgach kolejność przygotowanych porcyj na kilkunastu kandydatów naprzód, tak jak genialny szachista na kilkanaście ruchów naprzód oblicza posunięcie przeciwnika i swoją odpowiedź. I każdy manewr wroga śledzony jest bacznie, unicestwiany w zarodku, o ile miałby pozbawić łupu lub pokrzyżować plany i wyliczenia drugiego. Oto arena walki zmagających się o życie jamochłonów, wspaniałe pole do popisu dla wynalazczości, bystrości i energii! Przede mną w kolejce posuwa się rudy inżynier chemii (studia w Paryżu, dyplom w Pradze czeskiej). Dochodzi do stołu. Pochyla się uniżenie, przez rozdarte spodnie prześwieca mu goły tyłek, łasi się, skręca niemal w kółko, patrząc pokornym psim wzrokiem w rozdzielającego chleb, wargi jego coś szepcą, żebrze o „piętkę". Ten ma swoiste, obrzydliwe metody. Nienawidzę go.

Tak, to była zima 1943—44, znajdowaliśmy się na dnie. Ciężko było obronić się przed mrozem i śniegiem, który dosięgał przez wszystkie rozdarcia — a było ich wiele — odzieży. Lecz, na szczęście, droga z obozu na teren huty trwała niedługo, baraki nasze mieściły się już wtedy w obrębie zabudowań fabrycznych. Pracowałem podówczas na oddziale mechanicznym. Była to nowoczesna hala, na której znajdowały się poustawiane celowo i systematycznie maszyny: tokarnie, szlifierki, wiertarki, frezarki, nie wiem, jak się one wszystkie nazywały, nie obchodziło mnie to. Obchodziło mnie jedno: wióry, które spływały, odrywały się, odskakiwały od lśniących kawałów stali otrzymujących tutaj, w trybach tych maszyn, swój ostatni, śmiercionośny kształt. Owe kawały stali cięte nożem, który zrywał z nich wierzchnią skorupę, wirowały w błyskawicznych obrotach dokoła swej osi, przykuwając mój zmęczony wzrok. Tak jak magnetycznie, niewolniczo, pokornie śledziłem o świcie porcje chleba — tak teraz, poddany magicznemu obrzędowi obowiązku, śledziłem wióry, które wysuwając się spod noży zasypywały posadzkę hali. Robota grupy, do której należałem, polegała na porządkowaniu i uprzątaniu tej hali (każdy z grupy miał wydzielony i powierzony sobie poszczególny jej odcinek), na utrzymywaniu w ciągłym stanie nienagannej czystości, na zbieraniu wiór, które co pewien czas spiętrzały się pomiędzy maszynami, załadowywaniu ich na wózek, wywożeniu poza obręb hali na tzw. „rampę", skąd następnie, co parę dni układane na wagony, zabierane były na stalownię w błędne koło dalszych przeróbek. Wióry były różne: czerwone, złote, srebrne, błękitne, fioletowe, długie, cienkie, skręcające się w obłędnej plątaninie, krótkie, grube, ciężkie, ostre jak brzytwa, tnące boleśnie i raniące do krwi, gorące i wypalające dziury w ciele lub tłuste od oliwy i smarów, wydobywane wraz z błotem z kanałów. Zgarnialiśmy je ciężkimi szuflami lub nadziewaliśmy na długie żelazne haki i trzeba było wiele biegłości, aby te wijące się, kolorowe pasma, splątane w gęstę i szeleszczące wiązki, nabić na taki hak i umieścić bez większej reszty w niewielkim wózku. Z tak wypełnionym wózkiem przebiegaliśmy halę jak nowocześni kulisi, ciągnący za sobą lub pchający przed siebie swą rikszę. Potem roztwieraliśmy sapiąc z wysiłku ciężkie wrota i wyjeżdżaliśmy na zewnątrz. Dęło ostrym, lodowatym wiatrem, sypało gęstym śniegiem; zima była tęga, kuliliśmy się w strzępach naszych ubrań, aby zmniejszyć powierzchnię ciała wystawionego na mróz, brodziliśmy szmacianymi nogami w zaspach lub — w dniach chwilowych odwilży — w błocie i mozolnie wyciągaliśmy swe wózki na rampę. Tam z uczuciem ulgi przewracaliśmy je, z wnętrza wypełzało natychmiast rojowisko ubitych już w gęstą masę wiór, które wygarnialiśmy szuflą, wyszarpywali hakami i ładowaliśmy na przygotowany wagon-platformę. Robota szła szybko, był to jedyny sposób rozgrzania się. Po czym, gotowi, zatrzymywaliśmy się na dłuższą chwilę i wsparci na łopacie spoglądaliśmy dokoła. Przed nami i poniżej nas (rampa znajdowała się na pewnej wysokości), poza szeroko rozciągniętymi odrutowanymi zabudowaniami fabrycznymi — leżał daleki, wolny świat. Ciągnęły się ośnieżone ściany lasów, z kominów pojedynczych domostw dymił obiad przygotowywany dla jeszcze nie uwięzionych ludzi, powietrze było czyste i niemal pachnące. Nikt nas tu nie pilnował. Można by... Ale na hali urosły już pewno znowu kupy wiór i śmiecia, szef tego nie znosił. Zjeżdżaliśmy szybko w dół.

Gorzej było, gdy w pełni zimy wagony po towar nadjeżdżać poczęły coraz częściej, już teraz w odstępach kilkudniowych. Nie było wtedy czasu nawet na to, aby pójść się wyiskać i kąsani do szaleństwa przez ogromne wszy, nie mogąc choćby na parę minut zaznać tego uczucia błogości i ukojenia, jakie daje zrzucenie koszuli lub spuszczenie spodni — musieliśmy całe dwunastogodzinne dni robocze spędzać na rampie, za-

ładowując wagon przygotowanymi z czasów poprzednich zapasami. Bywały bowiem i takie okresy, gdy wagon nie nadchodził tygodniami, wtedy na rampie narastały ogromne zwały wiór, piętrzyły się jedne na drugich, zalewały wszystkie dojścia i ścieżki, nie było gdzie zrzucać przywiezionych. Gdy z kolei wagony poczynały się zjawiać, trzeba było wśród tych masywów wyrębywać drogę jak w potwornie rozrosłym lesie, aby, doszedłszy nią do brzegu rampy stykającego się z wagonem, móc rozpocząć zwalać nań w pośpiechu drgające kawały skołtunionej stali. Pod ciosami szufli i haków znikały one szybko i wystarczyły dwa, trzy wagony pod rząd, aby rampa była znowu czysta. W pełni zimy, o której mówię, wagony nadjeżdżać poczęły jeden za drugim i nieoczekiwanie stanęliśmy przed widmem deflacji. Bieżący kontyngent wiór z hali, dostarczanych prosto spod maszyn i jeszcze ciepłych — nie mógł już wystarczać na zapełnienie transportu. Trzeba było sięgnąć do zapasów. W lasku otaczającym rampę leżały nagromadzone jeszcze z lat obfitości pokłady starych szlachetnych wiór, splątane już i zrośnięte z korzeniami i ziemią. Rozpoczynała się dramatyczna walka. Przedzieraliśmy się przez gęstwiny ciętego we wstęgi kruszcu jak pierwsi kolonizatorzy poprzez podzwrotnikową dżunglę, aby dotarłszy do najstarszych geologicznie warstwic wyłupywać stamtąd co cenniejsze okazy. Po dwanaście godzin z rzędu, dzień w dzień, rwaliśmy ku sobie stalowe pęki, które szczepione z sobą, uwikłane w swoich własnych wnętrznościach stawiały zacięty opór; ciągnęliśmy je ile tchu w wychudłych piersiach poprzez lasek, pomiędzy korzeniami, w śniegu i w lodzie aż na samą rampę, a stamtąd na wagon. Nie było w nich już nic z królewskiej kolorowej świeżości dumnych, sztywnych zwojów, migotliwych i iskrzących się spirali, które przywoziliśmy prosto z hali. Te tutaj, wydobywane spod skorupy lodowej, spod gliniastej gleby, z głębi lasu, z dna — były zwiędłe, skurczone, pordzewiałe, ale wskutek tego tym bardziej oporne. Ostry, styczniowy wicher chrzęścił pomiędzy nimi. Zadymka śnieżna biła w oczy. Nagie dłonie, fioletowe z zimna, nieczułe już na ukłucia i cięcia, na komendę opanowanego furią pracy Mosreinera, naszego niemieckiego szefa — ciągnęły splątane wstęgi nie dającego się ujarzmić, zżartego rdzą żelaziwa. Gdy szarpaliśmy nimi rytmicznie i beznadziejnie, było nam tak, jak gdybyśmy szarpali własne trzewia zapiekłe i oślizgłe. Lecz bolesne drganie naszych wnętrzności, choć zsynchronizowane z ruchem ramion rozdzierających skupiska wiór na części, miało swoje własne źródło. Był nim głód, który osłabiał, paraliżował, zeżerał nasz mózg jak rdza zeżerała wióra, z którymi walczyliśmy. Ciągnęliśmy coraz słabiej, ślizgaliśmy się na oblodzonej rampie, padaliśmy, aby podnieść się pod uderzeniem pięści Mosreinera. W południe było pół godziny przerwy na zupę. Ach, zupa! To zupełnie osobny rozdział. Nie mogę o tym teraz wspominać, czuję jeszcze darcie stwardniałych, obrzmiałych kończyn i suchość spękanych warg, język mam twardy i pragnący. Może potrafię jeszcze kiedyś napisać i o zupie.

Dno nasze miało jeszcze inne aspekty. Do nich należało — żydostwo. W ten odcinek dna mógł splunąć każdy. Jakże cieszyli się polscy robotnicy widząc między sobą naszą zbydlęconą grupkę. Spojrzenie na naszą zwierzęcość ratowało ich człowieczeństwo. Byli lepsi przynajmniej od nas. Toteż wydanie rozkazu, uderzenie w twarz lub kopnięcie nogą nie było u nich wynikiem nienawiści czy gniewu do nas. Kto wie nawet, czy nie było raczej objawem sympatii, jaką żywi się do psa nawet wtedy, gdy się go chłosta, a którą daje się odczuwać przede wszystkim z tego powodu, że chłostane stworzenie jest tylko psem, co pozwala z pewną dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że ten, który chłosta, jest człowiekiem. Bili czasem mocno, to prawda, ale czasem także ktoś z nich dał kawałek chleba, och, czyż nie było warto być bitym? Czciliśmy Polaków, byli dla nas istotami potężnymi, przynosili z sobą własne kromki chleba z marmoladą, a czasem także z masłem i kiełbasą, niekiedy nawet nie dojadali do końca otrzymanej zupy. Jakże podziwialiśmy ich wtedy, jakże zachwycająco niepojęci dla nas byli w tym swoim lekceważeniu dla drogocennego pokarmu. Z nerwowym drżeniem, z biciem serca, udając obojętność, okrążaliśmy podstępnie, jak Indianie na ścieżce wojennej, polskiego robotnika odsuwającego wspaniałym gestem miskę z niedopitym obiadem. Czekaliśmy wytężając wzrok i przełykając ślinę. Czasem robotnik kiwnięciem palca przywoływał któregoś z nas. Potężny, szeroki, dobrotliwy jak Zeus, odlewał resztę swej zupy do nadstawionej uniżenie menażki. Wybrany łasił się pokornie, odchodził zgięty w pół, był szczęśliwy.

Po przerwie obiadowej znowu na rampę. Gdy zaczynało zmierzchać, z powrotem na halę. Odrobić zaległości. Uprzątnąć leżące wióry, oczyścić maszyny, wymieść podłogę. Czasami zdarzało mi się zatrzymać chwilę w ustronnym kącie, pod jednym z ogromnych filarów wspierających sklepienie, oprzeć podbródek na miotle i zagapić bezmyślnie na obracające się w maszynie lufy dział. Wówczas budził mnie często junak Kamiński mocnym uderzeniem w pysk. Kamiński był przodownikiem grupy junaków pracujących na tej samej hali i nie miał z nami nic wspólnego, co więcej, nie miał nawet prawa (śmiesznego tego słowa używam dziś po raz pierwszy od wielu lat i zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo jest ono nie na miejscu — w otchłani), nie miał więc nawet prawa zajmować się nami. Lecz jakąż rozkoszą jest mieć pod sobą coś, co tak bardzo wydaje się podobne do człowieka, a jednak nim nie jest, giąć nim dowoli, przewracać, deptać a potem podnosić i znowu przewracać, uderzać i rozkrwawiać, rozkazywać mu i zabijać go, wiedzieć, że wszystkie te czynności są bezpieczne i bezkarne i że człowiek (lub to, co człowieka tak bardzo przypomina) słucha! Junak Kamiński pożądał tej jedynej, prawdziwej rozkoszy. I dlatego z własnej pilności, nie mając ku temu prerogatyw — zajmował się Żydami. O, rozkazał oczyścić maszynę, która czyszczona już była dzisiaj dwa razy. Nie śmiem mu zwrócić uwagi, bo uderzy. A bił silnie, zwiniętą dłonią od dołu w szczękę. Więc czyszczę. Każdą śrubkę po kolei szmatą, nurzając palce w mazi i w gęstym oleju, kolanami, które wyłażą z klepsko połatanych spodni, wycierając asfalt posadzki z powbijanymi weń resztkami wiór. Równocześnie zerkam spode łba nieznacznie w bok. Jest. Stoi z tyłu ogromny, pański, od czasu do czasu lekkim kopnięciem w zadek przyśpiesza moje ruchy, gdy zwalniam. Będę tak pełzał do czasu kiedy Kamiński nie spostrzeże innego Żydka z podbródkiem na miotle. W poczuciu swej misji, w mesjanistycznym i apostolskim zapale rusza wtedy kolejno w jego stronę. Korzystam z tego i porywam wózek. Wyjazd na rampę jest wtedy ocaleniem.

Kamiński nie był jedynym z tych Polaków, którzy z przyjemnością obserwowali nasze pełzanie na dnie i lekkimi uderzeniami kijka strącali z powrotem w błoto tych, którzy próbowali czepiać się oślizgłej ściany i drapać w górę. Pamiętam Małka na stalowni, który ze zdumiewającą intuicją wyczuwał od razu żydowskiego inteligenta i rozkrwawiał go ze szczególną lubością. Pamiętam Piosika, który umiał jednym uderzeniem żelaznej brechy rozłupać czaszkę na pół. Pamiętam owego rosłego delegata robotniczego na mechanicznym, gdy pełen świętego zapału, z fanatycznym ogniem pierwszych chrześcijan w źrenicach, z rozczapierzonym wąsem, biegał w czasie przerwy obiadowej po hali, nie pozwalając nam zaczerpnąć z kotłów zupy przeznaczonej dla polskich robotników a nie wybranej przez nich do reszty i wskutek tego skazanej na powrót do kuchni zakładowej i wylanie świniom. Była to dla niego codzienna wyprawa krzyżowa, której pobożny cel uświęcał środki i gdy tak uganiał od kotła do kotła, odpędzając nas ogromną chochlą uniesioną w górę, przypominał natchnione postacie średniowiecznych proroków walczących z szatanem. Pamiętam jeszcze wielu innych i widzę ich ogromne, ale zwarte i ciasne koło, które otacza nas umierających na dnie i z zainteresowaniem miłośników sportu na trybunie spogląda w dół na nasze śmiertelne zapasy.

I oto tu właśnie, w tej ostatecznej otchłani, gdzie leżeliśmy już spokojnie ugnieceni i ubici — rozpoczyna się moja historia. Zresztą dzisiaj dopiero uświadamiam sobie, że zasługuje ona na nazwę — historii. Wówczas widziałem tylko fragmenty, choć czułem instynktownie narastanie ich znaczenia. Wówczas rejestrowałem jeszcze na pół mechanicznie, z automatyzmem człowieka dna — fakty. Dzisiaj odnajduję i łączę ze sobą ich zatarty jeszcze wtedy sens.

A oto ta historia:

W początkach lutego 1944 roku, w czasie wykonywania codziennych robót na hali — w polu mojego widzenia począł się ukazywać nieznany mi dotąd młody człowiek. Był to średniego wzrostu blondynek, o gładko przyczesanych, nieco rzadkich włosach, o bladej twarzy i wyblakłych błękitnych oczach, mocno przygarbiony, szczupły, niemal ascetyczny. Zjawiał się niespodziewanie o różnych porach dnia roboczego, zatrzymywał się przy którejś z maszyn leżących na odcinku hali, podlegającym mojej obsłudze — i wpatrywał się we mnie pilnie. Gdy z daleka ukazywała się wyniosła postać esesowca, pilnującego z kamienną twarzą i zaciśniętymi szczękami tempa produkcji, młodzieniec znikał, aby po chwili wynurzyć się z innej strony i zająć z powrotem swój posterunek obserwacyjny. Rzecz prosta przybierałem wtedy od razu właściwą w podobnym wypadku i obliczoną na doraźny efekt postawę bojową: grymas jak najbardziej żałosny i wzbudzający współczucie, kilka głębokich i odpowiednio głośnych westchnień, pozycję chwiejącego się na nogach i załamującego się z osłabienia męczennika; nie przedstawiało to zresztą żadnych trudności. Cel tego wszystkiego był zrozumiały. Chodziło o ośmielenie przypatrującego się, którym nieraz był ktoś litościwy, trzymający pod połą ukrytą jakąś paczuszkę, kawałek chleba lub resztę swego obiadu i nie wiedzący jak to doręczyć; kręciło się bowiem stale po hali sporo Niemców. Nasza pantomina dodawała mu zdecydowania. Podrzucał zawiniątko i szybko znikał. W sztuce tej do mistrzostwa doszedł wspomniany już rudy inżynier z Pragi, który zbierał najwięcej takich paczek. Nienawidziłem go za to początkowo, ale w zimie 1943—44 już i ja także osiągałem wcale poważne wyniki.

Lecz tym razem w grze z nieznajomym blondynkiem wszystkie środki zawodziły. Mimo najpiękniejszych i najprecyzyjniej obmyślanych gestów i poruszeń — chłopiec nie reagował, ograniczając się tylko do spokojnej kontemplacji. Nie przynosił ze sobą nic. Kieszenie jego były puste. Toteż wkrótce przestałem się nim interesować. Skoro odpadł jako ewentualny dostarczyciel nadprogramowych kromek chleba — nie mogło już w nim być nic ciekawego. Zatapiałem się z powrotem w swoje martwe życie wewnętrzne jak w ciepłe błoto, pracowicie wygarniając miotłą papierki i śmiecie i łowiąc na hali zwoje wiór.

Niespodziewany zwrot i zapoczątkowany nim nowy okres historii zaszedł dopiero później, w czasie jednej z przerw obiadowych. Wydawano wtedy naszą zupę i po otrzymaniu swojego niepełnego litra każdy zajmował miejsce, żłopiąc chciwie gorące żarcie i zerkając równocześnie w stronę kotła, czy nie zostanie trochę „repety". Połykałem niedogotowaną kapustę ogromnymi kęsami bardzo szybko, aby jeszcze zdążyć doskoczyć po dolewkę i musiałem wyglądać strasznie, gdyż w tej chwili dobiegło mnie pytanie:

— Czy jest pan bardzo głodny?

Oderwałem wzrok od kotła. Obok mnie stał przygarbiony, blady chłopiec i wpatrywał się we mnie natarczywym, żądnym wiedzy spojrzeniem. Tak, w spojrzeniu tym nie było obłędu ani zwierzęcości, tej, jaka właściwa może być tylko człowiekowi, ani tępoty, ani złośliwości, ani żądzy krwi i mordu, ani nawet współczucia! Było tylko czyste, bezinteresowne pragnienie poznania, głęboka i prawdziwie ludzka żądza wiedzy. I to słowo „pan", dźwięk nie kierowany w moją stronę od tak dawna, że już prawie niezrozumiały! Na moment odsłonił się przede mną fragment jakiegoś innego wymiaru i innej rzeczywistości, lecz natychmiast zagasł. W to miejsce powróciły normalne reakcje: „Pewno chce coś dać. Została mu może jego zupa". W jednej chwili przybrałem „postawę bojową" i odpowiedziałem obłudnie, choć tym niemniej zupełnie szczerze:

— Bardzo.

Zupy nie dostałem. Ani nic innego do jedzenia. Lecz za to z dna spojrzałem wtedy w górę i ujrzałem małe światełko, ku któremu drapać się odtąd począłem instynktownie i na ślepo, jak słonecznik wyciągający się ku słońcu. Stało się to w wyniku tej pierwszej rozmowy, jaką wówczas miałem z owym młodzieńcem, rozmowy krótko trwającej (gdyż musiałem ją wkrótce przerwać, aby węszyć za żarciem; wolne chwile należało odpowiednio wykorzystać), ale wystarczającej dla obudzenia pierwszych niepokojów. Młody człowiek pytał szybko, żarliwie, z namiętną, natarczywą ciekawością:

— A skąd pan pochodzi? A gdzie pan mieszkał? A co pan robił przed wojną?

Zdaje się, że wyczerpująco na powyższe — i inne podobne — pytania odpowiedziałem mu dopiero w ciągu następnych rozmów. I jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej poczęły zamazywać się wtedy zwolna i znikać druty obozu, ściany i czarny kąt baraku nr 2, rzeczywistość kotła z zupą i wiór — a wyłaniać z mgły fikcyjny, nierealny świat, jak świat zaginionej Atlantydy: wieża kościoła ze złotą koroną iskrzącą się w słońcu, renesansowy zamek królewski nad rzeką, ogrody miejskie i sądzawka z tryskającą w górę fontanną, wokół której żeglowały dumnie srebrne łabędzie jak okręciki z papieru, dziedziniec mrocznej biblioteki o gotyckich łukach i sklepieniach, skąd wracało się codziennie z tomami książek pod pachą, recytując drżącym głosem ulubione poezje o egzotycznych kaskadach, gdzie Aar wody błękitnymi spada, lub o swojskim dworku, który stał nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju. Potem budziłem się, widziałem przed sobą ascetyczną twarz blondyna z liliowymi żyłami na skroni, który słuchał mnie z roziskrzonym chciwie wzrokiem. Poprzez tę twarz wracałem zwolna do rzeczywistości, gong wzywał do pracy, maszyny poczynały huczeć swym głębokim basowym graniem, spod noży płynęły znowu kolorowe wstęgi ostrych, cienkich wiór lub — zależnie od układu noża — sypał się ich inny gatunek: grube, gęste ziarna.

Po kilku takich rozmowach Janek Sikorski — było to nazwisko mojego tajemniczego blondyna — wystąpił z nieoczekiwaną, zuchwałą po prostu — na nasze warunki — propozycją. Ni mniej ni więcej tylko, abym mu udzielał regularnych lekcyj. Abym go uczył. Literatury. Przede wszystkim literatury. Ale także i innych przedmiotów humanistycznych: trochę historii powszechnej i ojczystej, trochę historii sztuki. Wtedy to zacząłem zgłębiać zagadkę tego chłopca. Nie była ona skomplikowana. Janek, około 20-letni młodzieniec, ukończył kilka klas powszechnych i szkołę mechaniczną przy naszej fabryce, po czym pracował jako samodzielny tokarz. Lecz pożerała go żądza wiedzy, ambitne pragnienie zdobycia szerszego wykształcenia. Zgłosił się na wakujące stanowisko sekretarza we wspomnianej szkole mechanicznej i otrzymał je. Teraz był już czymś w rodzaju urzędnika, miał więcej czasu do rozmyślań i nauki. Lecz skąd wziąć podręczniki, gdzie szukać preceptorów? Stalowa Wola znajdowała się na bocznym torze życia umysłowego, ukryta głęboko w lasach i piaskach sandomierskich kuła tępo swą stalową broń; zresztą była wojna i nawet te nikłe ogniska nauki, które tu przedtem płonęły, zagasły; a w końcu byli Niemcy i stwierdzenie to wystarczy, aby zrozumieć, o ile mógł się kształcić chłopiec, który miał na imię: Jan, a na nazwisko: Sikorski. I tak z ową może nieco egzaltowaną tęsknotą piersiowo chorej, trochę późno fizycznie dojrzewającej młodości, tęsknotą do innego, lepszego świata i do mądrości zerwanej z drzewa wiadomości złego i dobrego — rósł chłopiec w zamkniętym, nie rozwijającym się środowisku fabrycznym, czytając ocalałe z ruin egzemplarze „Trzech muszkieterów" i powieści Mostowicza, układając długie poematy a także opowiadania prozą.

W ten nieruchomy i martwy świat pierwszy ferment wniosło dopiero pojawienie się Żydów. Ten nowy czynnik stał się niewiadomą w zadaniach matematycznych, które Janek począł teraz o własnych siłach rozwiązywać, dostarczył pierwszych zasadniczych wykładów z dziedziny patologii, pozwolił na praktyczne studia z zakresu humanizmu. Lecz oprócz tego miał on jeszcze inne, konkretne skutki. W tej, wybranej na ślepo z transportu śmierci do Bełżca, najdziwniejszej i najbardziej chaotycznej mieszaninie typów o najsprzeczniejszych charakterach, indywidualnościach, inteligencjach, nie mówiąc już o wieku i pochodzeniu klasowym — Janek szukał mędrców i nauczycieli, których fabryczny proletariat polski nie mógł mu dostarczyć. Stąd jego wędrówki po hali i przenikliwe spojrzenia inkwizytora — łaknącego nie krwi ani wiary, lecz wiedzy — spojrzenia, którymi śledził spod maszyn żydowskie oczy i twarze. Gdyż dowiadywałem się później, że nie tylko mnie wciągnął w swoje sieci, które zastawiał z upartą konsekwencją (choć ze mną złączyły go — podobnie jak mnie z nim — szczególnie silne i głębokie węzły, o czym jeszcze postaram się opowiedzieć), ale spośród naszego przypadkowego zbiorowiska wyszukał i innych, z których potrafił wyłowić to, co mu było potrzebne do zdobywania wiedzy o życiu. Zagrożony zimnymi spojrzeniami esesowców i możliwością donosu gorliwych przodowników miał jednak więźniów, którzy w jednostajnym śpiewie maszyn uczyli go matematyki, fizyki, przyrody, przerabiał niemal pełny program gimnazjalny, był metodyczny w swoim szaleństwie.

Rozpoczął się dziwny okres w mojej obozowej egzystencji. Codziennie w południe, gdy gong zawieszał na trzy kwadranse jednostajny obłęd zmechanizowanej pracy, gdy moi napiętnowani towarzysze półprzytomni z głodu rozpełzali się po rozległych zabudowaniach fabrycznych w pogoni za zupą — ja, po zaczerpnięciu swojej przepisanej porcji lokowałem się z Jankiem w wygodnym kącie na hali między dwoma słupami, aby rozmawiać o człowieku i jego dziejach, o literaturze, o pięknie, o sztuce i o Polsce. Chodziliśmy wtedy po starym rynku i wąskich uliczkach pod rękę z kom-

Spółdzielnia Wydawnicza
„KSIĄŻKA"
AKTUALIA
ILUSTROWANY
KALENDARZ NA ROK 1947
„Poradnik Rolnika"
zł. 100.-
PLAN TRZYLETNI
Tekst i wielobarwne tablice
zł. 60.-
ORDYNACJA
WYBORCZA
z komentarzami
zł. 100.-
ORDYNACJA 295
WYBORCZA
bez komentarzy
zł. 20.-
„KSIĄŻKA"

Spółdzielnia Wydawnicza
„KSIĄŻKA"
WYDAWNICTWA MŁODZIEŻOWE
J. ALDRIDGE
ORZEŁ MORSKI
zł. 900.-
H. GÓRSKA
CHŁOPCY Z ULIC MIASTA
zł. 70.-
NAD CZARNĄ WODĄ
K. GRAHAME
O CZYM
SZUMIĄ WIERZBY
zł. 960.-
H. LOFTING
PRZYGODY DR DOLLITLE
zł. 250.-
Z. ŻURAKOWSKA
ROMAN 294
I DZIEWIETNASTU
zł. 110.-
„KSIĄŻKA"

panią żaków i beanów, ze szlachcicem, który zaplątany w dziwaczne awantury z własną żoną i z diabłem skończył tragicznie na księżycu. W Czarnolesie siedząc jako goście pod cieniem lipy i odpoczywając sobie, podziwialiśmy Orszulkę i wzruszaliśmy się jej śmiercią. Świszczał nad nami na pańszczyźnianych polach bat ekonomski i w skwarne dni żniw zawodziliśmy żałośnie razem z Pietruchą. I przepływaliśmy Hellespont z kulawym lordem, który szyderczo pluł w twarz swojemu społeczeństwu i chmurny, dumny, samotny ginął razem z nami codziennie w walce o wolność. Z otyłym kochankiem hrabin i księżniczek, fałszywym arystokratą, niewypłacalnym dłużnikiem sławy i ambicji studiowaliśmy mechanizm społeczeństwa, które w sto lat później, ogłosiwszy bankructwo swoich ideałów, miało nas i siebie zamknąć dożywotnio za drutami, tak jak sto lat przedtem po drugiej stronie kanału la Manche zamknęło śmiesznego filozofa w kamaszkach za niezapłacone koszty procesu o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Jakże daleko od nas -- a jednak jak równocześnie blisko — były wtedy nowoczesne maszyny, z których po wielu kolejnych przeobrażeniach wychodziła nowoczesna śmierć. Jak niepojęte — a jednak równocześnie jak dobrze zrozumiałe — były nowoczesne groby, które położone tuż za bramami fabryki kryły kilkaset ciał naszych poprzedników, a w dalszym przedłużeniu, jeszcze otwarte, czekały aż przyjdzie kolej na nas, ich następców.

Za lekcje otrzymywałem zapłatę. Od czasu do czasu przynosił mi Janek kromkę lub dwie kromki chleba, nieraz nawet okraszonego serem lub masłem, często pozostawiał mi swoją zupę fabryczną, gdy z niej nie korzystał. Przyznaję, początkowo był to główny motyw, który skłonił mnie do przyjęcia Jankowej propozycji i wdania się w to nieco ryzykowne przedsięwzięcie. Dygotałem cały, przełykałem suchą ślinę na myśl o tych dodatkach żywnościowych. I w pierwszych dniach nierzadko bywałem zawiedziony, gdy waloryzując nowe świadczenia oczekiwałem obfitych paczek, a otrzymywałem jedynie skromne, odmierzone porcyjki i to nie co dzień. Lecz w miarę upływu czasu kromki i zupa traciły swój sens, nadchodziły chwile, kiedy odczuwać zacząłem wstyd przy ich przyjmowaniu. Czyż to nie ja raczej stawałem się dłużnikiem Janka, czy nie ja winienem go był wynagradzać za to wszystko, co się teraz we mnie powoli, dzięki niemu, dokonywało? Dzięki niemu powracałem oto do dawno, zdawało się, pogrzebanego — jak ruiny przysypanego wygasłą lawą Herculaneum i Pompei — świata młodości, entuzjazmu, walki i bohaterstwa, w którym stawiać zacząłem na nowo drżące jeszcze i nieporadne kroki jak rekonwalescent, gdy po przebytej, wielomiesięcznej, ciężkiej chorobie, prowadzony jeszcze pod rękę, wychodzi po raz pierwszy na słońce. Rozprostowując się ujrzałem i zrozumiałem że leżę na gąbczastym dnie, poczułem skisły fetor brudu i podłości, które zabijały skuteczniej niż kula pistoletu, nabierałem dobroczynnego, błogosławionego wstrętu do siebie, do koszmaru niewoli, do oprawców. Tak rozpoczęła się moja droga z otchłani na powierzchnię.

Zapamiętywaliśmy się obaj z Jankiem w tych dziwnych lekcjach, które żałosne i śmieszne w swej dorywczości, ułamkowości i w braku choćby z grubsza zakreślonego planu — przestawały być mniej lub więcej regularnym kursem takiego czy innego działu nauki, ale nabierały głębszego znaczenia: Miały w sobie posmak konspiracji, stawały się bojowym hasłem przeciw nienawistnej pospolitości spraw czystej biologii, a nawet zawierały do pewnego stopnia zuchwałość buntu, jeśli zważyć, że w samym środku piekielnego kotła rozżarzonego do temperatury wrzenia ciśnieniem nienawiści — potrafiły najserdeczniej związać z sobą Polaka z Żydem, aryjczyka z niearyjczykiem; pojęć tych używam z całą świadomością ich wątpliwej ścisłości.

Nastały ciepłe dni marcowe. Gdy wyjeżdżaliśmy na rampę, świeży czysty wiatr przynosił dalekie echa kanonady, mówiono że Rosjanie dochodzą pod Lublin. Tempo produkcji słabło, coraz częściej brakowało surowca. Dawało to i naszej grupie od wiór — tuż pod okiem surowych majstrów i przodowników — chwile wytchnienia. Pogawędki z Jankiem stawały się dłuższe i bardziej nieskrępowane. Janek — który jako sekretarz czy zastępca sekretarza w szkole miał sporo wolnego czasu i pewną swobodę ruchów — zachodził często w różnych porach dnia, pod nieobecność Mosreinera, na rampę. Chowaliśmy się wówczas obaj do pobliskiej budki skleconej z desek, umówiony gwizd moich współtowarzyszy zajętych na rampie ostrzegał przed nadejściem któregoś z przełożonych. W tym to czasie rozmowy nasze przybierać poczęły nieco odmienny charakter. Zbliżała się wiosna, zwały śniegu na rampie tajały, odsłaniając rude żebra zwalonych tam zimą wiór, ciepła wilgoć wdzierała się do butów i do serc, na rzęsach osiadały mokre płatki śniegu jak łzy. Zamknięty ze mną w budce Janek zwierzał mi się ze swych miłosnych udręczeń, pokazywał fotografie leciwych dam w kapeluszach z szerokimi rondami jak na dagerotypach z epoki braci Lumière. Ufny w moje magiczne kontakty z literaturą szukał tam — za mym pośrednictwem — poufnych inspiracyj i natchnień, które by jego spacerom z damą w deszczowy wiosenny wieczór i jego trochę pustelniczej erotyce nadały metafizycznego znaczenia. On — zabłąkane w epokę mistycznej germańskiej wojny dziecko XVIII-wiecznego naiwnego ale zdrowego racjonalizmu, wierzącego w prawidłowość rytmiki dziejących się przemian i w możliwość metodologicznego ich zbadania, jak grający w ruletę wierzy w możliwość znalezienia systemu niezawodnej wygranej i niekiedy nawet znajduje go, tak przynajmniej sądzi — on, tedy, błagał mnie ni mniej ni więcej tylko — o receptę na miłość. Byłem już wówczas tak zaawansowany w mojej drodze wyjściowej z otchłani, że potrafiłem zdobywać się na ironiczny dystans w stosunku do tego ekshibicjonizmu niedonoszonego liryzmu, umiałem nazwać po imieniu metafizykę tam, gdzie trafiałem na jej ślady. Przygotowywałem więc receptę, w której zawarty był wywar mądrości Mefistofelesa, pana de Seingalt, Kubusia-fatalisty i innych mistrzów, o których mówiły księgi; potem opracowywaliśmy wspólnie kodeks miłosnej strategii dostosowany do wymagań nowoczesnej wojny ruchomej i błyskawicznej, w końcu śmialiśmy się obaj długo, serdecznie. Ten mój śmiech w piątym roku rozpętanego barbarzyństwa, wobec otwartych grobów żydowskich, w które — jak tego oczekiwaliśmy każdego dnia i każdej godziny obozowej — wpaść miały nasze ciała niby owoc strząśnięty z drzewa życia — ten śmiech stawał się moim oczyszczeniem, ocaleniem, zemstą.

Nieraz śmialiśmy się jeszcze, gdy głuche granie artylerii dochodzące bez przerwy z daleka przybierało na sile i zdawało się zbliżać. Wtedy śmiech zamierał nam na wargach, przerywaliśmy rozmowę i odwracając głowy nasłuchiwaliśmy. Kiedyś, w takiej chwili, Janek wybiegł przed budkę, patrzył zamglonym wzrokiem na wschód, po czym nagle odwracając się ku mnie powiedział:

— Ach, — zbliżają się... Czy umie pan po rosyjsku?

Odpowiedziałem twierdząco.

— Niech mnie pan nauczy... Ja pana proszę! — błagał z właściwą sobie egzaltacją. — Chciałbym poznać tę mowę, ten kraj, tych ludzi, którzy tu przyniosą nam wolność. — Potem przysuwał się blisko do mnie, ogień błyszczał w jego źrenicach. — Pan mnie wtedy będzie prowadził, pomoże mi pan porozumieć się z nimi, pan tam był przecież. Socjalizm! Ileż treści mieści się w tym słowie. Tak bardzo chciałbym ją poznać. Niech mi pan coś o tym powie.

Nie zamierzam notować tu tego wydarzenia jako dowodu ideowych przekonań Janka lub specjalnej skali jego zainteresowań. Janek chciał o tym wiedzieć tak jak chciał wiedzieć i umieć wszystko. Pragnął być także, na przykład, aktorem i — bywało — stawał przede mną w patetycznych pozach, wykonywał natchnione i, prawdę mówiąc, śmieszne gesty, deklamował coś drewnianym głosem, patrząc potem na mnie z niepokojem i uwagą, oczekując odpowiedzi na pytanie: „czy mam talent?" Pragnął, abym wykładał mu prawidła dykcji i kunsztu mimicznego, ale pragnął również, abym nauczył go sztuki zachowywania się w towarzystwie i podobania się miłym panienkom na tańcującej herbatce, nadto najważniejszych problemów psychoanalizy, zasady podnoszenia się na reku i teorii materializmu historycznego. Zdumiewała mnie ta — niezwykła u syna prostego kowala ze Stalowej Woli, dziecka prawdziwie robotniczej, ciężko przebijającej się przez życie rodziny — skłonność do abstrakcyjnego myślenia. Można było wyciągać wiele daleko idących wniosków kojarząc te upodobania z ascetycznym wyglądem młodzieńca, z jego chorobliwą, panieńsko delikatną i białą skórą twarzy i dłoni, zapadłą suchotniczo piersią. Daleki jednak jestem od tego. Wystrzegam się symboliki i niewczesnego syntetyzowania. Doświadczenia nauczyły mnie ostrożności. W tej chwili ważne jest dla mnie jedynie stwierdzenie, że wtedy, idąc za każdorazową propozycją Janka bez względu na jej zakres i stając się nauczycielem najdziwaczniejszych upodobań, improwizując nieraz całe szkoły pedagogicznych systemów — odchodziłem coraz dalej od dna, sierść opadała ze mnie, pysk tracił swój ostry, żarłoczny wykrój, kły tępiały, dbałem już o powierzchowność, łatając każdą najmniejszą dziurę w spodniach, czyściłem co rano zęby, nie podnosiłem więcej rozdeptanych niedopałków z ziemi, marzyłem o kobietach w jedwabnej bieliźnie, czasem nawet ośmielałem się już wierzyć, że kto wie, być może przeżyję obóz i wojnę, może uniknę Ostatecznej Likwidacji, ba, nawet zacząłem skrycie układać plan walki o to życie i o wolność.

Zima minęła ostatecznie, koniec kwietnia i maj przyniósł wspaniałą słoneczną pogodę, lasy okoliczne nasycały się głęboką zielenią, pachniały mocno i urzekająco; szły słuchy, że silne oddziały partyzantów krążą w pobliżu, nocami rozlegały się serie z erkaemów i cekaemów i głośne detonacje. W stolarni znajdującej się na naszej hali zbijano coraz szybciej i coraz więcej drewnianych skrzynek i kuferków przeznaczonych na pomieszczenie prywatnego mienia pakujących się nerwowo Niemców. Produkcja spadała coraz bardziej, wiele maszyn stało. Za to wióra na rampie nabierały w słońcu nowych tęczowych kolorów; układaliśmy je teraz na wagonie starannie, mieszając barwy, zestawiając jakości, sypiąc w środek drobny śrut, a brzegi opasując zwiniętymi w kłąb wiązkami. Wagon rósł w górę na wysokość piętra, wzbudzając podziw swą architekturą. Ukończywszy, opieraliśmy się dysząc na hakach, przymykaliśmy oczy, podnosiliśmy w górę głowy, wystawialiśmy lękliwie twarze pod działanie słońca; przez sekundę zdawało się, że jesteśmy na plaży, szumi morze, skóra nasza ciemnieje i opala się na brąz. Budziły nas gwałtowne, niezrozumiałe pokrzykiwania bezzębnego Mosreinera, który zjawiał się jak spod ziemi wywijając rękoma i nawołując do pracy. Rączym kłusem zbiegaliśmy z próżnymi wózkami po pochyłości w dół i wjeżdżali na halę. Tu sen o słońcu, o morzu, o wolności rozwiewał się ostatecznie. Junak Kamiński rozpoczynał skwapliwie swe nadobowiązkowe manewry z Żydami, ganiał schwytanych pilnie i metodycznie, rozjuszony i upojony psim skamlaniem o łaskę wpędzał ćwiczonych pod najbardziej zapomniane szafy i skrzynie, rozkazując wydobywać skrawki papieru, które leżały tam chyba jeszcze od czasów niepodległości. Polacy podnosili głowy znad maszyn, patrzyli na te igraszki, klepali się z zadowoleniem po udach: ha, pyszna to była zabawa. Ich przodownicy i majstrowie udawali, że nie widzą, odwracali głowy i tylko uśmiechali się pod wąsem z łagodną wyrozumiałością, — eh, figlarz z tego Kamińskiego.

Lecz ja umiałem już wówczas ich wszystkich rozsądzić i ocenić. Nauczyłem się już nienawidzieć zdrową, na Niemcach wypróbowaną nienawiścią Kamińskiego i Małka, Piosika i delegata fabrycznego i tych wszystkich uśmiechających się na widok deptanego człowieka. Ale równocześnie odnajdywałem zapomnianą wiarę w Polskę, w Polskę ludzi bezdomnych, którym zawsze udzieli schronienia, tak jak oni bezdomny, robotniczy syn, doktor Judym, w Polskę pielgrzyma z placu d'Alma, nawołującego wszystkich uciśnionych do wspólnej walki o wolność ludów. Wiarę tę przyniósł mi z powrotem Sikorski i z każdym nowym dniem czułem coraz bardziej wzbierającą wdzięczność ku temu delikatnemu chłopcu, który znajdował jeszcze tyle naiwnego taktu i subtelności, że swoje kromki chleba przynosił dla mnie zapakowane w różnokolorowe bibułki i nie wręczał mi ich nigdy do rąk, lecz umieszczał w jakimś z góry upatrzonym miejscu, a potem wstydliwie, odwracając wzrok, nieznacznym ruchem głowy wskazywał: „tam".

— Dziękuję panu... i w tych dwóch słowach zawarte było moje podziękowanie nie tylko za chleb, ale i za odzyskaną wiarę w człowieka, za wiosnę i przyjaźń w obozie śmierci, za wyjście z otchłani w świat bohaterstwa i legendy.

Ale Janek obruszał się stale, odganiając od siebie podziękowania jak natrętne muchy:

— Niech pan nie dziękuje. Nie ma za co. Wstyd mi. Suchy kawałek chleba. Niech mi pan wierzy — tu głos mu się załamywał, oczy spuszczał w dół — chciałbym panu najchętniej wszystko najlepsze... I o wiele więcej... Ale nie mam... nie mamy... U nas bieda, małe siostry... Jemy to samo co pan... co panu przynoszę. Jeśli jest czasem w domu masło, to i panu... to i dla pana...

— Kiedy ja nie za to, panie Janku... nie tylko za to... — i w niedołężnych słowach próbowałem mu wyjaśnić wszystko. — Pan wie... ja... my... jesteśmy Żydami. Najgorsi, zapomniani, przeklęci. I teraz pan, tak zupełnie po prostu, tak szczerze, po bratersku... Tak jak gdybym nie był Żydem...

— Ależ ja właśnie dlatego, że pan jest Żydem... Bo ja... bo ja nie chciałbym, aby pan myślał, że my wszyscy... my wszyscy jesteśmy tacy jak Kamiński... I zresztą, pan jest Polakiem. Może i lepszym niż ja i my wszyscy tutaj... Pan wie —

Uśmiechał się smutno:

— Kto o tym decyduje? Kto będzie decydował?

Wtedy Janek wyprostował się, wargi mu zadrgały, oczy zapłonęły, po raz pierwszy ujrzałem w jego rysach twardy wyraz męskiego zdecydowania:

— Kto? Pan... I ja... I my... My, najlepsi spośród was i nas, my — ludzie! Zwierzęta wyginą, wierz mi pan. A jeżeli trzeba będzie, to sami będziemy je tępić! I wytępimy!

Nadspodziewanie szybko nadeszło w owym roku 1944 — lato. Niezwykle wczesne upały psuły nie tylko ustalony rytuał organicznego porządku, ale także narzucony siłą mechanizm obozowego i fabrycznego ładu. Gdzieś u spodu maszyneria poczęła się zacinać, śruby rozluźniać, pojawiał się rozkład. W obozie wściekłe ukąszenia pluskiew wyganiały nocą z łóżek, wychodzono z baraków, patrzano tępo w pogodne niebo przecinane raz po raz smugami reflektorów, wdychiwano zapach lasów otaczających obóz, słuchano ciężko, bezmyślnie regularnych kroków Werkschutzów maszerujących tam i z powrotem przed drutami. Na fabryce coraz więcej maszyn zwalniało stopniowo swoje obroty, aby w końcu zatrzymać się ostatecznie i zamilknąć. Po kątach gromadzili się coraz częściej i coraz liczniej robotnicy, pochylali ku sobie głowy, szeptali poufnie i tajemniczo rozpryskując się spiesznie na widok nadchodzącego wolno esesowca, który wciąż jeszcze z kamiennym spojrzeniem i zaciśniętymi szczękami pilnował produkcji. Z początkiem czerwca alianci lądowali w Normandii, Armia Czerwona rozpoczęła kolejną swoją ofensywę i zbliżała się do Lwowa. Siadywaliśmy najbezczelniej w słońcu na rampie, czekając na wagony, które już nie nadchodziły i słuchaliśmy z rozkoszą i niepokojem zbliżającego się głuchego dudnienia ciężkiej artylerii.

Wtedy to zacząłem omawiać z Jankiem projekt mojej ucieczki. Janek wyjaśniał i rysował plan miasta, oznaczając dom swój, w którym miał mnie ukryć i najkrótszą drogę do niego. Zastanawialiśmy się nad tym, czy mam uciekać w ciągu dnia z miejsca pracy, czy nocą z obozu. Wątpliwości narastały. Czy czekać na rozwój ofensywy, czy już?... Czy Niemcy będą ewakuowali, czy zniszczą? Że Żydów tak czy owak wystrzelają przedtem bez reszty — to uważaliśmy za pewne, były w tym kierunku precedensy. Wahaliśmy się. Szalone lato uderzało zuchwale do głowy, czerwcowym i lipcowym niebem płynęły z głuchym graniem samoloty bojowe, odległe tylko jakby na wyciągnięcie ramion, nocami słyszało się regularne wybuchy i obserwowało czerwone pożary; była to wolność i Polska, która w huku i dymie nadchodziła od Wschodu. Widział ją Janek z okna swego małego pokoju i ja ją widziałem równocześnie z nim, gdy porzuciwszy ciemny kąt baraku nr 2 — zakradłem się pod druty.

Dobiegam do końca historii, choć sprawy teraz dopiero poczynają gmatwać się i wikłać, daleko im jeszcze do ostatecznego rozwiązania. Różne wypadki pokrzyżowały nasze plany i gdy pod koniec lipca Stalowa Wola znalazła się na linii frontu i przetoczyły się przez nią radzieckie i polskie czołgi — tylko niewielu z nas dojrzałych już było do wolności. Resztę czekały jeszcze dalsze doświadczenia, nowe próby, nowe otchłanie, nowe śmierci. Lecz nie należą już one do niniejszej historii, która jest historią ocalenia.

Henryk Vogler.

JERZY LOVELL

PRZEMIENIENIE

Przejść, odejść, pożegnać

chwilę odbitą we wodzie,

moje dziś, nasze wczoraj, wasze codzień.

Oto u oczu wiele niemoich łez.

Żeby być światłem powszechnym i melodią,

żeby się schylić i cudzy mrok do ust podjąć —

Zapomniałem siebie

i już nawet cienia swego nie pamiętam.

JÓZEF SIERADZKI

Romania Libera

W KRAJU SŁOŃCA

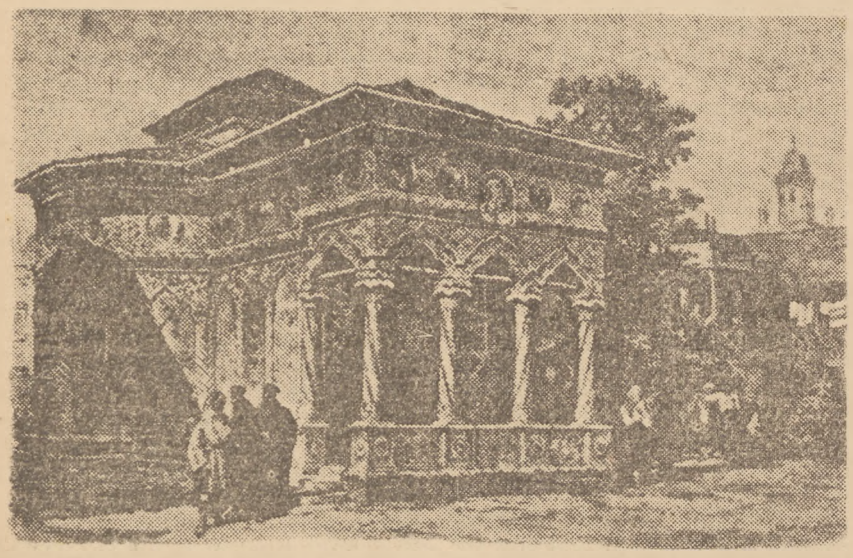

Z budownictwa starego Bukaresztu

Do Bukaresztu pojechaliśmy na wybory. Po powrocie do kraju ten i ów znajomy, z rodzaju tych, co nie wychylają głowy z politycznego partykularza krakowskiego — mrużąc dwuznacznie oko, pyta:

— A jak było rzeczywiście w Rumunii?

— Niby z czym?

— No, z wyborami!

Otóż było w porządku. P. Edwards z Kanady, podobnie jak ja jeniec obozu, chociaż nie z Belsen-Bergen, lecz z jakiegoś Stalagu w Serbii — nabrał dla mnie trochę serdeczności z racji braterstwa obozowego — nie mógł znaleźć uchybień w obwodach wyborczych, które zwiedzaliśmy w dniu głosowania.

W Grivicy, gdzie przed trzynastu laty ziemia spłynęła krwią strajkujących robotników, ostrzeliwanych przez żandarmów Maniu i pakowanych do więzień przez Siguranzę — teraz stały długie kolejki głosujących, wzdłuż wysokiego muru hali fabrycznej z napisem: „Cześć bohaterom 1933 roku" i drugim: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!"

— Your impressions? — pytam mego Kanadyjczyka o wrażenia, gdy opuszczaliśmy lokal komisji, jeden z kilku w kompleksie warsztatów Grivicy.

— O key — odpowiedział p. Edwards.

Inna rzecz, co napisał w korespondencji do swego „Daily Telegraph".

W RUMUNII — ALE NIE „RUMUŃSKIE"

Każdy głosujący otrzymał kartkę wyborczą z nazwiskami kandydatów wszystkich list i symbolami obranymi dla każdej z nich. Wyborca wyciskał pieczątkę „Votat" na tej części biuletynu, która odpowiadała jego politycznej orientacji. Czynności tej dokonywał w kabinie.

Amerykanin z „New York Herald Tribune" był rozczarowany. Gdzie tu znaleźć jakąś story, sensację w rodzaju warszawskich „czerwonych nocy" jego pomysłowego kolegi.

W Bukareszcie był porządek i spokój. Bardziej pouczające niż wizja lokalna w obwodach wyborczych były rozmowy na Placu Uniwersyteckim, na olbrzymim mityngu żołnierzy dwa dni przed głosowaniem.

Vintila Mariu jest robotnikiem w „Malaxa", fabryce wagonów kolejowych. Był w konspiracji, jest komunistą.

— Na kogo pan będzie głosował? — pytam go za pośrednictwem tłumacza.

— Na Gheorghiu-Deja.

Grigore Ion pochodzi ze wsi, jest tramwajarzem w S. T. B. (komunikacja miejska). Bezpartyjny.

— Głosuję na „słońce".

Tak samo Serban Ianka, robotnica w przędzalni „Filatura Romanesca" i Wawrzyniec Baryłka, plutonowy, adiutant z orkiestry królewskiego pułku konnej gwardii. Rodak, na którego trafiłem przypadkiem, pochodzi z Monasterzysk i jest w armii rumuńskiej od 1917 roku.

Tak samo Mariu Lenoxu, maszynista przy turbinach, i Gheorghe Ion, wąsaty syn wsi w robotniczej bluzie i mechanik Dumitru Vasile. Orientują się w partiach, interesują się życiem politycznym, są uświadomieni.

Toteż, gdy po głosowaniu, późnym wieczorem, przedstawiciel radiostacji „Romania Libera" zaproponował delegacjom korespondentów zagranicznych wypowiedź na falach eteru o wrażeniach z pobytu w Rumunii i wyborach, mogłem to z przekonaniem powiedzieć do mikrofonu.

Po mnie mówił Teniu Stoianow z Sofii, potem Czech z „Prava Lidu", Murzyn z USA i p. Montagu z „Daily Worker" (zdobył sobie sławę nienasyconym apetytem i marynarką do golfa z skórzanymi łatami na łokciach, w której przychodził na wszystkie przyjęcia).

Podpisaliśmy też wspólne oświadczenie ułożone przez Emila Buré z „L'Ordre" na zebraniu w „Pałacu miliarderów".

CHŁOP SIĘ DOŚPIEWAŁ

Historyk Nicolae Iorga zaczyna dzieje Rumunii od praczasów. Scytowie, Sarmaci, Gallowie, Grecy, Illyrowie, Trakowie, Dakowie, („Dacia felix", król Decebalus w stolicy Sarmisegetuzie), Rzymianie (tu, na wygnaniu, usychał Owidiusz z tęsknoty za Rzymem), Gotowie, Hunowie, Gepidowie, Słowianie ruscy, Awarowie, Madziarzy, Bułgarzy, Serbowie, Kumani, Pieczyngowie, Sasi, Tatarzy („czarny szlak"), Wołosi z Bałkanu i Siedmiogrodu, Turcy, Polacy, Kozacy, znów Grecy z Konstantynopola, rojowisko ludów, skrzyżowanie krwi, języków, kultur, kościołów, kalendarzy, na obszarze jeszcze bardziej dostępnym i otwartym niż Polska.

Rumunia była terenem, na którym ścierały się dwie cywilizacje: bizantyjska i rzymska. Na wpływy Konstantynopola wskazują linie architektury bazylik i monastyrów, pierwiastki starocerkiewne w języku, elementy bułgarskie i serbskie. „Z Rzymu pochodzimy i pełno jest w naszej mowie łacińskich wyrazów" — mówi Grzegorz Ureche z XVII wieku, a późniejszy nieco odeń Miron Costin napisał: „Rumun to jest Romanus".

Tymczasem „Rumun" oznaczał przez długie wieki — chłopa. Wieki te znane z pisanych źródeł od połowy XIII stulecia na Wołoszczyźnie, od połowy XIV stulecia w Mołdawii, upływały pod panowaniem książąt, wśród których był jeden Dobry, jeden Wielki i jeden Waleczny, ale nie brakło Jana Groźnego, Jana Despoty i Aarona Tyrana, a nazwiska Lupu, Cantemir, Basarab, Ghica i Kantakuzen nie zapisały się nadto łagodnie w kronikach.

Czeski chłop uratował po bitwie pod Białą Górą naród i przetrzymał akcję germanizacyjną Habsburgów, której uległa arystokracja i znaczna część szlachty. O chłopach rumuńskich można również powiedzieć, że utrzymali charakter swego narodu. Uciskani przez hospodarów, wojewodów i bojarów, a potem przez fanariotów ze Stambułu, jęczeli w niewoli do czasów Aleksandra Cuzy. Gdy szlachta w Siedmiogrodzie uległa madziaryzacji, w słowie „Rumun" kryła się treść socjalna, ale i narodowa. Iobagi, biedni, niewolnicy, stanowili lud, który słowem munca nazywał i pracę i mękę.

Społeczne dzieje ludu Mołdawii, Multan i Transylwanii nie zostały jeszcze napisane, a obrazy historyczne, nawet znakomitego Jorgi, roją się od książąt i magnatów ziemskich. (Ostatecznie przyszli w roku klęski Habsburgów pod Sadową Hohenzollernowie z linii Sigmaringen, do dziś zasiadający na tronie rumuńskim). Chłop zrywał się od czasu do czasu do buntu, często zaś zbiegał.

Głos buntu był bardzo donośny, skoro brzmi nie tylko w poezji ludowej, dumkach czyli doinach i wierszach pisarzy rewolucyjnych. Nawet ziemianin z pochodzenia Mihail Eminescu (Eminowicz), konserwatysta z politycznych przekonań i pesymista z filozoficznych poglądów, był wrażliwy na krzywdę społeczną.

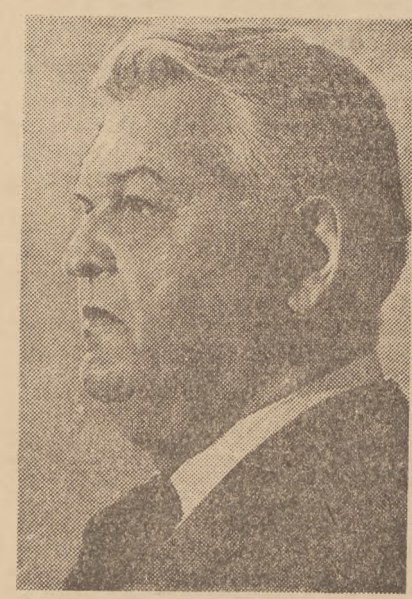

Mihail Sadoveanu

Jeszcze w 1905 roku, blisko pół wieku po reformach ks. Cuzy, przypadały w Rumunii na chłopskie gospodarstwo przeciętnie 3 hektary,

Maria Rosetti

gdy nieco ponad 4000 ziemian skupiało w swych rękach 48% uprawnej ziemi. W 1941 roku 467 871 rodzin chłopskich miało po 1 hektarze, 757 646 rodzin powyżej 1—5 ha, a niespełna 10 000 rodzin, miało razem ponad 2 000 000 ha. Wyrażając zaś stan podziału własności ziemskiej w liczbach względnych: 73,6% zatrudnionych w rolnictwie rozporządzało 33,3% uprawnej ziemi, gdy wielcy właściciele, stanowiący 0,4% gospodarujących na roli, mieli 19,3%.

Wobec tych liczb mówić o znaczeniu dekretu o reformie rolnej, z 22 marca 1945 roku, jako „konieczności narodowej, ekonomicznej i społecznej dla chłopów naszych", jest rzeczą zupełnie zbędną. W naszych oczach odbyła się modernizacja społeczno-gospodarczych podstaw, bezkrwawa rewolucja w kilku państwach Europy, przebudowa, na którą trzeba by było dziesiątków lat, niejednego wstrząsu i wielu ofiar w ludziach.

Skok naprzód w ustroju rolnym jest dla Rumunii, i nie tylko dla niej, zwycięstwem nad zacofaniem i opóźnieniem. W 1930 roku było w Rumunii 43% analfabetów. Dziś jest na 6 805 226 kobiet od 7 lat — 3 708 849 niepiśmiennych (55%), na 6 407 243 mężczyzn — 1 973 432 niepiśmiennych (30,5%). Cyfry mówią o doniosłości podjętej reformy oświaty w nowej Rumunii.

TABLEAU ECONOMIQUE

Rewolucyjne przemiany nie od razu odczuwa się jako ulgę. Rewolucję angielską z połowy XVII wieku, której Anglia zawdzięcza swój świetny rozwój gospodarczy, odczuwali współcześni jako dotkliwy cios i upadek dobrobytu. Podobnie było z mieszczańską rewolucją we Francji w 1789 roku. Podobnie jest z Rumunią w okresie reformy — i po wojnie. Rumunia była do sierpnia 1944 roku satelitą Trzeciej Rzeszy i choć patrioci zdołali ją w ostatniej chwili wymanewrować z obozu klęski, musi ponosić następstwa współdziałania z „osią". Przypłaciła je utratą 600 000 żołnierzy. Straty materialne, wynikłe wskutek wojny, szacuje się na 145 miliardów lei przedwojennych. Sami niemieccy „sprzymierzeńcy" wyciągnęli z gospodarstwa narodowego Rumunii 110 miliardów lei, tj. równowartość budżetu 12 lat, i ogołocili kraj z żywności.

Na domiar w ciągu dwu kolejnych lat spadła nań klęska posuchy. W Oltenii, Muntenii, nizinnych częściach Mołdawii między Jassami a Dorohoi, ziemia była latem spękana od żaru, który spalił plon. Głodujący wędrują dziś do sytych rejonów po kukurydzę i ziarno.

Romania mare — „wielka Rumunia" — minęła jak zły sen. Rumuni oddali Besarabię i część Bukowiny, dostali Cluj, Satumare, Bistricę. Madziarzy przegrali drugą wojnę i Siedmiogród, którego wieś jest rumuńska a miasta w znacznej mierze węgierskie i niemieckie.

Obecnie liczy Rumunia 16,5 milionów ludności. Jej największym dobrem jest ziemia, a główną dziedziną gospodarstwa rolnictwo. Na 9,5 milionów pracujących zawodowo, w gospodarstwach rolnych pracuje 7,5 milionów, w leśnictwie 900 000. Wartość zbioru w roku 1937 przekraczała 60 miliardów lei.

Obszar ropodajny liczy wedle szacunków 2 miliony hektarów. Część użytkowana wynosi 500 tysięcy ha. Produkcja wynosiła w roku 1936 — 8,7 milionów ton nafty, wartości ponad 5 miliardów lei. Nadto jest gaz ziemny. Zapasy metanu przewyższają podobno 500 miliardów m³, co przy rocznej produkcji 450 milionów m³ starczyć może na tysiąc lat.

Jest sól, trochę węgla, srebra, nawet złoto (w 1936 roku produkcja wyniosła 4500 kg). Z przemysłów: włókiennictwo i manufaktura (220 tys. zatrudnionych), metalurgia (117 tys.), przemysł spożywczy i chemiczny (87 tys.), drzewny, papierniczy. Są wielkie cukrownie. W Feldioara, choć burak nie obrodził w tym roku, na stacji hałdy buraków, łańcuchy węglarek zapełnione z wierzchem bulwami. Nad cukrownią w Bod nocą łuna świateł jak od pożaru. Ale w wytwornym Athenée Palace podają cafe turc z melassą.

Za to wina — białe, różowe, czerwone, wytrawne, słodkie — sam koncentrat słoneczny.

— Tylko profan może przejść obok tego obojętnie — opiniuje amator płynnego słońca.

Sądząc z gorliwości, z jaką nabywali wina i ładowali je do ciężkich, napęczniałych w drodze do kraju waliz, profanów było wśród korespondentów mało.

Celnicy na wszystkich granicach są bardzo uprzejmi.

OBRAZ POLITYCZNY

— Mamy tłustą ziemię i benzynę i mieliśmy Mikołaja Jorgę — mówił do nas gościnny gospodarz, dr Petru Groza. Stanisław Wędkiewicz nazywa Jorgę poligrafem. Ambitny dziejopis podjął dzieło skreślenia historii kultury Rumunów od najdawniejszych czasów do najnowszych. Pozostawił tysiące pozycji bibliograficznych. Ma sławę świetnego bizantynisty. Był literatem, krytykiem, publicystą, organizatorem narodowej kultury. Stał się symbolem rumuńskiej humanistyki. Mól książkowy i szperacz archiwalny, nie zamykał się tylko w gabinecie. Gorący patriota, był aktywnym politykiem i umiarkowanym wprawdzie, lecz społecznym bojownikiem. W pamiętnikach „O viata de om" (Życie człowieka) odsłaniał oportunizm dynastii i zdzierał maskę obłudy z liberałów. Ujawniał targi i intrygi, zwalczał korupcję i cudzoziemczyznę.

Zginął zamordowany przez legionistów, rumuńską odmianę siepaczy Hitlera.

Dziś odeszli w przeszłość liberali, którzy onego czasu odsunęli konserwatystów. Ostatni potomek dynastii Bratianu, Ioana, Vintili spadkobierca Duca i Angelescu stał się służalcem Clodiusa, jednego z pretorianów führera.

Wybory z 19 listopada starły resztki wszechmocnych i nie tak dawno jeszcze wpływowych liberałów. Przywódca siedmiogrodzkiej partii narodowej Juliu Maniu i chłopskiego stronnictwa tzw. caranistów — Michalache połączyli się w roku 1926, tworząc jedno stronnictwo narodowo-chłopskie. Michalache skompromitował się współpracą z Niemcami, Maniu pozostaje na placu z 32 mandatami w nowym parlamencie.

Na pierwszym planie są dziś partie bloku. Robotnik z „Malaxa" wymieni je bez zająknienia: narodowi liberali (Gheorghe Tatarescu), socjal-demokraci (Lothar Radaceanu), Plugari (Petru Groza), komuniści (Gheorghiu-Dej, narodowi ludowcy (Ocetea), narodowi chłopi (Anton Aleksandrescu), nadto Madziarzy pozostający w bloku demokratycznym. Wobec nich jest „socjalista"-rozłamowiec Titel Petrescu śmieszną figurą, a stary Maniu — przeżytkiem. Na wiecu zwycięstwa ćwierć miliona ludzi (egzaltowani Rumuni

Klasztor woronecki. Ściany cerkwi są bogato zdobione

twierdzili, że pół miliona) skandowało: Pe-tru-Gro-za, Gheor-ghiu-Dej, A-na-Pau-ker. Ogarnięci tłumem na Placu Narodu, omal nie zostaliśmy zgnieceni w naszym samochodzie.

— Z nami idzie duchowieństwo.

Młody król zrobił zwrot w stronę demokratów.

— Żyjemy z królem dobrze. Przez sześć miesięcy rządziłem wprawdzie sam, ale rozdźwięki z tronem były tylko złudnym pozorem — mówił mi dr Groza.

Przy głównym stole w ambasadzie radzieckiej, na przyjęciu wydanym w 29-tą rocznicę Październikowej Rewolucji, siedział król Michał wraz z Grozą i patriarchą Nikodemem. „Król, rząd, kościół, armia, naród" idą razem. Czołowy pisarz Mihail Sadoveanu, założyciel, wespół z Jorgą, pisma literackiego „Semaratorul" („Siewca"), wszedł do parlamentu z listy zblokowanych stronnictw. Obok Mirona Constantinescu, dyrektora „Scanteia" („Iskry"), członka politycznego biura Komunistycznej Partii Rumunii, Vasile Luca, Emila Bodnarasa i Mirona Constantinescu, kandydował l'abbé Gala Galaction, profesor uniwersytetu i pisarz, i Maria Rosetti, przewodnicząca demokratycznej federacji kobiet Rumunii, pochodząca z jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin w kraju.

Rumunia przestała być „cytadelą Europy od strony Azji", jeszcze jednym „bastionem Zachodu". Po rewolucji z dnia 23 sierpnia 1944 roku woli miejsce w gronie wolnych narodów i współpracę z państwami słowiańskimi.

Współpracę tę uprawia szczerze i bez zastrzeżeń. Rumuni są rozumni i mają poczucie rzeczywistości. Mają je również Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy i Bułgarzy, celują w nim Czesi a także Słowacy. Nawet pobici Węgrzy szukają miejsca w nowym układzie. Ludy chcą pokoju, i na Bałkanach — poza Grecją — panuje spokój. Czechosłowacja jest oazą, ale i znękana Rumunia przebyła pomyślnie najtrudniejszy odcinek drogi.

Tylko rozum zbawi człowieka.

POŻEGNALNA ORACJA

„Powiem Wam szczerze, że jedno nas u was zastanawia. Jesteśmy przekonani, że uwaga poświęcona zagadnieniu Niemiec jest u was wciąż zbyt mała.

Polityczny układ Europy po wojnie jest co do jednego niewątpliwy: niemieckie dążenie na wschód znalazło swój kres. Granica na Bałtyku, Odrze i Nysie jest linią życia nie tylko dla Polski. Jest ona okopem wszystkich narodów środkowej i wschodniej Europy. Praga i Belgrad wsłuchują się w kroki żołnierzy, utrzymujących straż nad Odrą i w Łużycach nad Nysą, z niemniejszą uwagą niż Warszawa.

Ta spiżowa granica pokoju w Europie, bezpieczeństwo jej ludów stanowi przedmiot największego zainteresowania również dla Rumunii. W granicach tego obszaru nie może być miejsca dla „piątej kolumny" w żadnej formie, chociażby pozornie najbardziej niewinnej.

Po zwycięstwie żywiołów ludowych u was i u nas — nic nas nie dzieli, a wiele spraw łączy, choć nie mamy wspólnej granicy. Odwzajemniamy Wasze życzenia ścisłej z nami wymiany gospodarczej. Nadeszła już pora dla podjęcia stosunków kulturalnych, które mają dawne, niekłamane tradycje".

Oklaski są sprawą kurtuazji. Długie rozmowy w grupach i poważne oświadczenia najwybitniejszych przedstawicieli publicystyki i prasy rumuńskiej, podejmowanych przez naszego chargé d'affaires p. Stefana Wengerowa, świadczyły, że powyższa apostrofa do Rumunów, wypowiedziana przez publicystę a nie dyplomatę, nie minie bez echa.

Rozmowy z Rumunami w pięknej sali międzynarodowego hotelu i porozumienie — nie nastręczały nam żadnych trudności. Ich dziadowie słuchali Mickiewicza, a „Pieśń o Rumunii", — „Cantarea Romaniee", traktat biblijny prozą, powstała pod przemożnym wływem autora „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa" i Francuza Lammennais. C. A. Rosetti popierał powstańców Zygmunta Miłkowskiego. Teodor Tomasz Jeż, Michał Czajkowski, Orzeszkowa i cały prawie Sienkiewicz czytywani byli w Rumunii w dobrych przekładach. O Bemie („bohater nad bohaterami") żyje pieśń ludowa z 1848 roku.

Prace o Rumunii Stanisława Wędkiewicza, Stanisława Łukasika, Emila Biedrzyckiego, przekłady dokonane przez Włodzimierza Lewika, Tadeusza Hollendra i Emila Zegadłowicza warto podjąć.

Tym razem zbliżenie wyjdzie światu prawdziwie na pożytek.

Józef Sieradzki

Wywiad z arcybiskupem warszawskim

(Krakowska noc. Pruszyńskiemu, strudzonemu wywiadem z Prezydentem Bierutem, i licznymi wywiadami o tym wywiadzie ze znajomymi i nieznajomymi, ukazuje się we śnie szczupła, wysoka postać, w staromodnej, dziewiętnastowiecznej sutannie z mantylką. Na piersi krzyż biskupi, ale prosty, bez ozdób i kamieni. Pruszyński zwleka się z łoża, ziewa — przypomniał mu się ostatni artykuł Kisielewskiego — zwraca się z atencją do niespodziewanego gościa:

PRUSZYŃSKI: Wasza Wielebność?...

CIEŃ: Pan mnie nie poznaje... Pan Pruszyński, prawda? Znam pana ze słyszenia... Mówił mi o panu niedawno Margrabia...

PRUSZYŃSKI: Jaki margrabia?

CIEŃ: Jakiż może być margrabia dla Pana i dla mnie... Wielopolski. Aleksander Wielopolski... Spokoju mu pan nie daje... Jeszcze mnie pan nie poznaje?... Wszak i o mnie pan pisał. Feliński. Szczęsny Feliński. Arcybiskup warszawski...

PRUSZYŃSKI *(orientuje się, że ma z duchem do czynienia, ale że sprawa się ma w Krakowie, uważa to za rzecz zwyczajną):* Bardzo... bardzo dobrze... Wasza Wielebność była przy śmierci Juliusza Słowackiego, wszak prawda? Pasterzowała w Warszawie w latach 1861—1863... Zesłanie... Dosyć szpetnie, nie przymawiając, wyłamała Wasza Wielebność Margrabiemu... No trudno. Tak zawsze w Polsce. Czym mogę służyć dzisiaj Waszej Wielebności?

CIEŃ, KTÓRY JEST ARCYBISKUPEM FELIŃSKIM: O, właśnie. Dochodzą mnie echa dalekie, niewyraźne, nie wiem, jak to jest. Słyszałem, że pan się tym też interesuje. Chciałem wiedzieć, jak to jest dzisiaj z katolicyzmem w Polsce? Bardzo proste pytanie, prawda?

PRUSZYŃSKI *(z namysłem):* W Polsce, proszę Waszej Wielebności, nie ma pytań prostych. Tu wszystko jest zawiłe. Bardzo trudna odpowiedź. Od czego by tu zacząć? Wasza Wielebność jest pewno skrępowana godziną duchów: czasu mało? Mówić dużo? Więc to jest tak *(namyśla się).* Wskutek wielu wydarzeń zawiłych, wojennych, trudnych do streszczenia, doszli dzisiaj do władzy w Polsce socjaliści...

ARCYBISKUP FELIŃSKI *(zakrywa twarz ręką):* Ach...

PRUSZYŃSKI: A także i przyjaciele tych socjalistów... Za czasów Waszej Wielebności nazywano by ich... hm... komunardami... ci z komuny paryskiej, 1870...

ARCYBISKUP FELIŃSKI *(kryje ponownie twarz w dłoniach):* Ach!

PRUSZYŃSKI *(jak to Pruszyński):* Toteż, rozumie Wasza Wielebność, sytuacja Kościoła stała się w Polsce nieco delikatna...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Delikatna! Mów pan, mów, nie oszczędzaj! Czy pamiętam Komunę Paryską? Wszak to oni rozstrzelali połowę księży Paryża i nieszczęsnego arcybiskupa Darbois. Drżę o los mego następcy na archikatedrze warszawskiej... Czemu pan przeczy głową?

PRUSZYŃSKI: Hm... Jak to Waszej Wielebności powiedzieć... To bardzo trudne i inne niżeśmy się spodziewali...

ARCYBISKUP FELIŃSKI *(w dalszej emocji):* Mój Boże! A co się stało z Polską? Z ziemiami, z dworami? Ze szlachtą?

PRUSZYŃSKI *(bardzo smętny):* Nie ma ani jednego dworu dziś w Polsce, Wasza Wielebność. Ziemie rozdane chłopom...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Spełniły się zapowiedzi galicyjskiej rabacji! Rok 1846! Pamiętam! Musiała krwią dziedziców spłynąć Polska? Wyobrażam sobie te rzezie, tę humańszczyznę nową, to istne spełnienie się Nieboskiej Komedyi, o której pisał Hrabia Zygmunt...

PRUSZYŃSKI: Hm... tak. Tak też wcale nie było... Pewno, że nie było to naj... tego... Ale mogę upewnić Waszą Wielebność, że nikogo piłą nie przerżnięto, nikogo nie zakłuto kosami czy cepami, ba, nie zastrzelono, nie ubito...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Nie może być!

PRUSZYŃSKI *(filozoficznie):* Okazuje się, że w Polsce wszystko może być, Wasza Wielebność, i jeszcze pewno niejedno ujrzymy... Ale proszę... Może jeszcze o los Kościoła są jakie zapytania? Lub ojczyzny?

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Ach! Moja nieszczęsna Polska! Czyż już nigdy w Warszawie nie będzie wojska polskiego?

PRUSZYŃSKI: Ależ jest, jest, i w Warszawie, i aż w Szczecinie, i we Wrocławiu. Ba! Gdzie dzisiaj wojska polskiego nie ma... albo nie było...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Nic nie rozumiem, mój drogi panie. Wiem tylko, że Margrabia się ucieszy, gdy mu powiem, że Wrocław jest polski. Ten zaklęty konserwatysta wciąż na mnie burczy... Ach, mój Boże, mój Boże... Powiedz mi pan co jeszcze! Więc w Polsce socyaliści i komunardzi u władzy... Biedny ten Kościół, biedny... Musiano mordować biskupów...

PRUSZYŃSKI: To także nie takie proste... Biskupów i księży mordowali tu Niemcy, którzy zagarnęli Polskę. Arcybiskupi i biskupi byli po więzieniach...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Nareszcie coś rozumiem! W Niemczech był, widać, nowy Bismarck...

PRUSZYŃSKI *(potakuje).*

ARCYBISKUP FELIŃSKI: I nowy Kulturkampf!

PRUSZYŃSKI *(potakuje):* Nazwany europejską krucjatą.

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Panie! Niemcy zawsze wszystko jakoś nazwą. Ale po doświadczeniach, jakie miała z nimi Francja za Bismarcka i Napoleona III, Rzym zaś za Piusa IX, upewniam pana, że nikt im nie uwierzy. Ach, więc to tak było? Powoli zaczynam rozumieć wasze położenie polityczne. Przypomina to znane mi wydarzenia. Za moich czasów żył też ktoś, co żelazną ręką ujął Niemcy, gnębił Kościół katolicki w imię kultury, zamykał biskupów. Pamiętam, arcybiskup gnieźnieński, Ledóchowski, też był w więzieniu... A ten wasz arcybiskup zamknięty w więzieniu to był pewno znowu gnieźnieński?

PRUSZYŃSKI: Nie... płocki...

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Płocki? A cóż się działo wtedy z gnieźnieńskim? Jego nie zamknęli?

PRUSZYŃSKI: Nie mogli, Wasza Wielebność.

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Czemuż to nie mogli...

PRUSZYŃSKI *(bardzo zakłopotany):* Ha... bo... jakby to grzecznie Waszej Wielebności powiedzieć?... wcześniej wyjechał.

ARCYBISKUP FELIŃSKI *(zasępiony):* Znowu nie bardzo rozumiem. Przecież pasterz nie opuszcza swej owczarni, a cóż dopiero arcypasterz, prymas Regni Poloniae... A jakżeż było z tym uwięzionym arcybiskupem? Za moich czasów Pius IX przysłał uwięzionemu przez Niemców arcybiskupowi gnieźnieńskiemu kapelusz kardynalski... Kardynałem uczynił więźnia... Piękna tradycja... Pewno ją wznowił obecny papież?

PRUSZYŃSKI *(bardzo zakłopotany):* Nnnnie...

ARCYBISKUP FELIŃSKI *(tonem zasępiono-rozczarowanym):* Nnnnie? Hm. Hm. Hm. A jakżeż wasze stosunki z Watykanem?

PRUSZYŃSKI *(ponuro):* Zerwane.

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Bardzo przykro, bardzo przykro! A Watykanu z Niemcami?

PRUSZYŃSKI: Jak najlepsze.

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Nie rozumiem! Znowu nie rozumiem! Nawet Margrabia, choć kanclerska głowa, nic by nie pojął z tego! No dobrze! To wy chyba musieliście coś przeskrobać? Pewno zamykacie, jak w bezbożnej Trzeciej Republice Francuskiej, szkoły katolickie?

PRUSZYŃSKI: Gdzie tam! Otwieramy!

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Musieliście kościoły pozamykać! Albo poburzyć!

PRUSZYŃSKI: Gdzie tam! Odbudowujemy zburzone przez niemiecką krucjatę!

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Pewno ksiądz nie może pokazać się na ulicy w sutannie! Despekta mu czynią, jak w Portugalii za moich czasów, czytałem, czynili... Książki katolickie się niszczy, pism religijnych nie ma.

PRUSZYŃSKI *(zdenerwowany podaje* ARCYBISKUPOWI *gruby plik wydawnictw katolickich wychodzących dziś w Polsce. Dłuższe milczenie.* ARCYBISKUP *przegląda).*

ARCYBISKUP FELIŃSKI: Proszę, proszę... No, no... Za moich czasów... Ten wiersz wcale piękny... A kto to ten pan Gołubiew?... Oj, ale tamto pisemko to ja bym zamknął... Jako arcybiskup warszawski. Potem będą pisać o Ciemnogrodzie... A bezbożniczych pism jakich nie ma?

PRUSZYŃSKI: Antyklerykalne są, bezbożniczych, że tam powiem, nie ma!

ARCYBISKUP: Proszę, proszę... To jakżeż z tym jest właściwie? Ale pewno biskupstwa jakieś nie obsadzone?

PRUSZYŃSKI: Niestety są.

ARCYBISKUP *(tryumfując):* No widzi pan, widzi pan, rozumiemy teraz, o co Ojciec Święty się gniewa! Roma semper! Jakże to? Wiernych pozostawiacie bez biskupów, stolice osierocone, owce bez...

PRUSZYŃSKI: Kiedy, proszę Waszej Wielebności, rzecz w tym, że to nie rząd, ale Rzym nie obsadza owych opuszczonych stolic biskupich...

ARCYBISKUP: Co, Rzym? Nie rozumiem. Nic nie rozumiem.

PRUSZYŃSKI *(rozkładając ręce):* Jeśli Wasza Wielebność nie rozumie, to jakże ja, chudziak świecki, mogę odgadnąć niezbadane intencje Ojca Świętego?... Ale... co Waszej Wielebności? Czy Wasza Wielebność zaniemogła?... *(wstaje i wachluje* ARCYBISKUPA *najnowszym wydaniem poezyj Gałczyńskiego. Działa to momentalnie).*

ARCYBISKUP: Pewno, żem mógł zaniemóc... Nieco za wiele wiadomości na raz. Biskupów zamykano do więzień wiodąc krucjatę, w Polsce rządzą blankiści, proudhoniści i saintsimoniści, a kościoły się buduje, Rosjanie są w Berlinie, a wojsko polskie we Wrocławiu, rząd zerwał z Watykanem i otwiera szkoły katolickie, ziemię zabrali chłopi bez wyrżnięcia dziedziców, a biskupstwa na domiar są nie obsadzone nie dlatego, że rząd nie pozwala, ale że Rzym nie obsadza. Capiat qui capere posset! Tłumacz mi to pan raz jeszcze!

PRUSZYŃSKI *wykonuje rozpaczliwy ruch i zamierza coś mówić, ale w tej chwili właśnie zegary krakowskie poczynają wybijać godzinę, słychać hejnał, przez okno zaczyna zaglądać brzask. W owym brzasku postać* ARCYBISKUPA *poczyna blednąć, aż rozpływa się się zupełnie. Godzina duchów skończona.*

PRUSZYŃSKI *(oddycha z ulgą):* Ha, dobrze, że koniec, wybawiło mnie to z nowych kłopotów. Co mu odpowiedzieć nieborakowi? Apage satanas! Łatwiej odbywać wywiady z żywymi niż z umarłymi. Niech mu inni tłumaczą politykę papieską! Lepiej mi wracać za ocean, niż przebywać te oceany złej woli! *(Ziewa i zasypia).*

podsłuchał *I. M.*

Notatki poznańskie

„Życie Literackie"

Przestało wychodzić „Życie Literackie".

Nie wdaję się tutaj w ocenę działalności tego pisma, jego poziomu i kierunku literackiego. Nie do mnie należy orzekanie, czy było potrzebne. Nie jedyne to pismo, które przestało wychodzić. Pism w ogóle, jak na nasze obecne możliwości, jest za dużo. Wielokrotnie sprawozdawcy ganili nadprodukcję czasopiśmienną, niecelową gospodarkę finansową, niezdrowe ambicje regionalne, rozpraszanie sił pisarskich i uwagi czytelników. Inna rzecz, że nie łatwo powiedzieć, które z pism powinno się utrzymać, a któremu trzeba z lekka pomóc do likwidacji.

Gdyby tymi sprawami rządziły klasyczne prawa popytu i podaży, czyli wolnej konkurencji, to co innego. Na taką jednak zasadę trudno się zgodzić w obecnej chwili, bo z pewnością jakiś przedwojenny „czerwoniak" pobiłby „Twórczość", a wznowiony „Tajny Detektyw" wyeliminowałby „Odrodzenie" razem z „Myślą Współczesną". Każde pismo, nawet opozycyjne, korzysta dzisiaj z państwowej subwencji w postaci przydziału papieru, maszyny drukarskiej, światła i siły, czyli że periodyki mogą jako tako prosperować jedynie dlatego, że zasilane są anonimową pracą setek tysięcy niedostatecznie wynagradzanych pracowników różnych branż. Mimo tej półjawnej subwencji państwowej i anonimowej „subwencji" mas pracowniczych przynoszą deficyt najpoważniejsze tygodniki i miesięczniki, których fachowości i wysokiego poziomu literackiego nikt nie podaje w wątpliwość, nawet prasa londyńska. Te szczególne warunki życia literacko-kulturalnego sprawiają, że nie opieramy bytu czasopism na ścisłej kalkulacji handlowej i że nie tak łatwo odpowiedzieć, czy większy sens ma wydawanie „Odry" czy „Życia Literackiego"?, „Kameny" czy „Przekroju"?, „Pokolenia" czy „Kocyndra"? Nie ma dziś bowiem imprez wydawniczych czysto prywatnych i czysto komercyjnych — każde bowiem wydawnictwo korzysta pośrednio z pracy kalkulowanej na jakimś tam szczeblu produkcyjnym po cenach sztywnych lub półsztywnych, czyli poniżej wysiłku ludzkiego — korzysta z pracy zbiorowości i dlatego do jego działalności wolno przykładać miarę społeczną.

W czasie, kiedy „Życie Literackie" wychodziło, zdarzało mi się dość często słyszeć poza Poznaniem pytanie: „Po co wychodzi?"; a teraz kiedy przestało się ukazywać, nagabują mnie ludzie w Warszawie, Krakowie i Łodzi: „Dlaczego nie wychodzi?" Żałował poznańskiego dwutygodnika przede mną nawet człowiek, który regularnie go zjeżdżał w przeglądzie prasy. Tego człowieka przynajmniej rozumiem: stracił pewniaka, na którego mógł zawsze liczyć, jak na amen w pacierzu! Innych żałujących nie rozumiem. Trzeba jasno wiedzieć, czego się chce. Nie jest zdrowym objawem fakt, że jedna agenda państwowa udziela subwencji na pismo, a inne w zakresie swych możliwości, najczęściej przez śrubowanie cen, niedbałość lub złą wolę, utrudniają jego wydawanie. Czy nie prościej byłoby w takim wypadku w ogóle nie dawać pieniędzy?

„Życie Literackie", jak wiele innych pism prowincjonalnych, było oparte na niezdrowych zasadach wydawniczych. Mam na myśli fakt, że otrzymane od państwa zasiłki na popieranie literatury szły w całości, i jeszcze ich nie starczało, na popieranie państwowych zakładów drukarskich, państwowych papierni i kolportażu. Pisarze z tego wielce oryginalnego „popierania literatury" niewiele mieli. Wydaje mi się, że skoro państwo zostało jedynym mecenasem, to kosztów tego mecenatu nie wypada przerzucać na pisarzy ani też czynić z tego mecenatu źródeł dochodu różnych przedsiębiorstw państwowych. Powstaje w ten sposób dwuznaczna sytuacja: chudzi literaci bawią się w filantropów kulturalnych, a zostające pod zarządem państwowym drukarnie i papiernie grają wobec literatury rolę przysłowiowych pijawek kapitalistycznych. W ciągu ostatniego roku podwyższono parokrotnie cenę papieru; wzrósł także koszt druku i kolportażu, podczas gdy honoraria autorskie w czasopismach pozostały te same, a wydawnictwa książek nawet je obniżyły.

Zjazd literatów w Łodzi uświadomił nam, że Związek nie umiał dla poprawy bytu i społecznej pozycji pisarza wyzyskać wszystkich możliwości, jakie zmiana ustroju państwowego dała do ręki pracownikom kulturalnym. Nikt z obecnych na tym zjeździe nie zapomni prostych słów przedstawiciela PPS: świat pracy poprze pisarzy we wszystkich ich słusznych żądaniach. Mamy nadzieję, że nie skończy się na oświadczeniu i że do niepowrotnej przeszłości będą należeć czasy, kiedy suto subsydiowany „Pion" lub nieźle wspomagana ze skarbu państwa

„Droga" opłacały papier i druk (oprócz pensji redaktorskich) — autorom zaś kapano coś niecoś z łaski, a jeśli się upominali, zrywanc z nimi stosunki. Nie wiem, co opłacał „Tygodnik Ilustrowany"; wiem tylko, że ogłaszał co jakiś czas upadłość, pismo zmieniało właściciela, a pisarze zostawali ze swymi pretensjami na koszu. W drodze wyjątku zaproponował mi raz jakiś następca p. Czarskiego 30% należności, a kiedy odmówiłem przyjęcia, zaczął podwyższać i doszedł nawet do 60% pod warunkiem dalszej współpracy! Nie zgodziłem się. „To będą inni" — odpowiedział brutalnie. I rzeczywiście znaleźli się inni współpracownicy na dalsze pół roku! Były to wręcz kolonialne metody wyzysku pisarzy.

Kiedy „Życie Literackie" wychodziło, trudno je było w Poznaniu dostać. Znikało, rozchwytywano je, szło na Polskę! Po paru miesiącach „powodzenie" się wyjaśniło: do redakcji zaczęły wracać nie rozpieczętowane paczki z nakładem. Po reklamacji zawiadomiono redakcję, że podobne niedopatrzenie się nie powtórzy i paczki wracały już — rozpieczętowane. Kiedy zawieszono wydawnictwo, pojawiło się ono nagle w dużych ilościach w poznańskich sklepach kolonialnych i spożywczych. Niedawno zapakowano mi wiktuały w nierozcięty arkusz „Życia" z wiadomością, że nagrodę literacką miasta Poznania dostał w br. Wojciech Bąk, a plastyczną Wacław Taranczewski.

Okazuje się, że „społeczna" wartość pisma dość często zależy od jakości papieru. Trzeba zaś bezstronnie przyznać, że „Życie Literackie" miało papier bardziej użytkowy i handlowy niż „Odrodzenie" lub „Kuźnica". Nie można nie zauważyć złośliwości przypadku, że nie z powodów ideowych, lecz jedynie dzięki swym czysto materialnym walorom „Życie Literackie" ma obecnie pewne szanse zbłądzenia pod strzechę wielkopolską.

Wacław Kubacki

JULIAN PRZYBOŚ

O TWÓRCZE IDEE W PLASTYCE

Jest tylko jeden sposób tworzenia własnej, narodowej sztuki: podjęcie najbardziej postępowych, tj. artystycznie najpłodniejszych idei swojego czasu i samodzielne ich urzeczywistnianie i rozwijanie. W sztuce, jak w życiu, nie ma odwrotu, a pozorne nawroty, jeśli ich przyczyną nie jest osłabienie woli twórczej (a więc jeśli nie są epigonizmem, a więc nie — twórczością) — są jedynie sprawdzaniem przez współczesność jej własnych, współczesnych dążeń, przymierzaniem tych dążeń do dawnych przykładów doskonałości. Kto sądzi, że wystarczy się cofnąć np. do Courbeta, a powstanie nowy realizm malarski, albo kto radzi szukać wzorów nowego stylu w literaturze u Balzaka czy nawet Diderota — jeśli nie sądzi tak z przekory, ulega aberacji. Tylko twórcze, a więc nowe idee mogą owocować dziełami oryginalnymi.

Lecz które idee artystyczne są płodne, do których należy przyszłość? Czy, skoro malarstwo polskie idzie (jak każde wartościowe malarstwo w Europie) za malarstwem francuskim — nie lepiej, w imię samodzielności, oderwać się od tego wzoru? Zwłaszcza, że na zachodzie — nic nowego, Picasso to rozkładowiec, a sztuka abstrakcyjna się skończyła? ...Czy nie lepiej więc wrócić do dawnej sztuki, „zrozumiałej" dla każdego?...

Od ćwierćwieku, tj. od czasu jak oglądam obrazy i słucham głosu naszych krytyków, powtarza się beztroską, oklepaną piosenkę, że sztuka nowoczesna się skończyła, że to passeizm, że więc trzeba... ale właśnie, nie wiadomo, co trzeba. Piosenka to miła dla uszu i oczu leniwych: skoro, jak słychać, skończył się ten niezrozumiały wysiłek twórczy obcych — można nareszcie odetchnąć, nie niepokoić się ich dziełami, można nic nie robić!... Poczciwsi radzą zwrot do tzw. sztuki rodzimej, mniej poczciwi bełkocą o czymkolwiek. Tacy, co dzisiaj kpią ze sztuki abstrakcyjnej, mówiąc, że jest objawem rozkładu, chwalą impresjonistów, lecz owi, dla których impresjoniści nie są już realistami, impresjonistów pomawiają o rozkład — wzywając do nie wiadomo jakiego realizmu.

Trzeba jeszcze raz powiedzieć i raz na zawsze wbić w pamięć tych, którzy myślą o rozwoju malarstwa: kto propaguje realizm, głosząc, że impresjonizm nie był realizmem — jest zacofańcem. Podział kierunków w dzisiejszym malarstwie na realizm i nie realizm — jest przestarzały i nikt poważny nie dzieli tak malarstwa na Zachodzie. Podział jest inny: na malarstwo przedmiotowe i abstrakcyjne, bezprzedmiotowe. Troska o realizm to zeszłowieczny kłopot — i sens jego był zgoła inny w malarstwie niż w literaturze. Wygnanie z obrazów — akademickich kobył i „tematów", wylot w plener — to był realistyczny sens rewolucji impresjonistów. A dzisiejsi, pożal się Boże, „realiści" — radzi by wrócić do tego, co rewolucja impresjonistyczna wyrzuciła na śmietnik plastyki...

W Polsce przekwita i wydaje jeszcze piękne owoce malarstwo Eibischów i Cybisów, malarstwo kolorystów wykształconych na francuskim impresjonizmie. Poziom tego malarstwa jest — po francuskim — najlepszy w Europie. Ale obrazy naszych kolorystów coraz częściej upadabniają się do siebie, powtarzają się zestawienia barwne, schematyzują, „kapizm" robi się akademicki. Jedynie ci nieliczni koloryści, którzy przeszli w swojej twórczości problematykę sztuki nowatorskiej, ciągle się rozwijają i tworzą dzieła wynalazcze. Przede wszystkim — właściwie tylko on jeden — Zbigniew Pronaszko. Ale Pronaszko, równie wielki malarz, jak rzeźbiarz, przeszedł formizm, przeżył, przetworzył kubizm i ciągle jest żywym nowatorem, odkrywcą nowych form i nowych harmonij barwnych.

O życiu sztuki świadczy różnorodność kierunków; źle, gdy w sprawach artystycznych wszyscy się godzą na jedno. Źle więc, że obok kolorystów nie wypłynął po wojnie na powierzchnię życia artystycznego i nie opanował wystaw tak przed wojną silny i twórczy polski modernizm. Twierdzę bowiem, że nasi nowatorzy doszli w malarstwie i rzeźbie do samodzielnych i twórczych rozwiązań, wyprzedzając myśl plastyczną Zachodu.

Myślę o tej linii modernizmu polskiego, która wiedzie od Szczuki, wynalazcy fotomontażu, przez grupę „Bloku" i „Paesens" do Władysława Strzemińskiego, twórcy unizmu.

Kto patrzy na dzisiejsze malarstwo jako na teren harców indywidualnych temperamentów — ten niczego nie pojmuje i może się cieszyć w błogiej nieświadomości i nadziei, że Picasso, to już stary człowiek, umrze i będzie spokój... Nowoczesna myśl plastyczna rozwija się ponad Picassem — i odrzucając dewiację surrealistyczną — konsekwentnie, niemalże „modo geometrico" dąży ku nowemu stylowi. Entuzjaści nowej sztuki twierdzą nawet, że styl ten będzie tak absolutnie nowy i tak obcy całemu rozwojowi plastyki europejskiej od czasu renesansu, że można mówić o przełomie epokowym, o końcu starego i narodzinach nowego świata plastyki. Pragnę zwrócić uwagę na grupę Strzemińskiego, która — jak sądzą niektórzy — na drodze tworzenia tego nowego stylu posunęła się najdalej. (Jak się rwie u nas nawet świeża tradycja kulturalna! Młodzi z grupy Jaremianki i Kantora, nadzwyczaj utalentowani i odważni, ci, którzy wystąpili niedawno przeciwstawiając się nowemu akademizmowi kolorystów — nawiązują niekiedy do pokubistycznych eklektyków francuskich, jakby nie istniała rodzima myśl awangardowa w plastyce).

Przed wojną rozmawiałem w Paryżu z malarzami z grupy „Abstraction-création". Idee i reprodukcje obrazów Strzemińskiego budziły silne zainteresowanie, i tylko ciężki osobisty los artysty sprawił, że nie mógł on, jak to było pragnieniem tej grupy plastyków francuskich, przesłać swoich prac na wystawę, którą chciano mu urządzić nad Sekwaną. Ci najkonsekwentniejsi nowatorzy doszli drogą analizy i praktyki twórczej do tego krańca malarstwa bezprzedmiotowego, który jest w ogóle początkiem: do pustego kwadratu. Strzemiński przezwyciężył ten martwy punkt — i z idei malarstwa abstrakcyjnego przeszedł do myśli o malarstwie najpełniej uspołecznionym, do sztuki dla mas, do jedynie możliwej dzisiaj sztuki dla mas.

Idee swoje rozwijał w książkach („Kompozycja przestrzeni", „Unizm w malarstwie", „O sztuce współczesnej") i w artykułach ogłaszanych w piśmie: „Forma". Można by je streścić tak: kończy się plastyka epoki rękodzieła, w której „obraz wyodrębniony z wszelkiej funkcji stanowił jedyny teren działalności artystycznej..., w której pojęcie sztuki łączyło się z pojęciem luksusu i braku funkcji produkcyjnej". W istocie „obraz, ręcznie malowany", zawieszony na ścianie — razi nasze by tak rzec „całościowe" poczucie piękna. Wydaje się zbędną ozdobą, rozbijającą powierzchnię ściany, gdy — cała przestrzeń mieszkalna winna być uformowana plastycznie! Malarstwo, tak jak to było w dawnych epokach, winno być związane z całością przestrzeni w architekturze. Obraz stalugowy ma sens tylko jako wynalazek formy (a zazwyczaj obrazy bywają tylko kombinacją osiągniętych i znanych wynalazków formy). „Wynalazek formy" — to tyle co — dawniej — stworzenie nowego stylu. Ma on drogą maszynową wejść w kształty wszystkich przedmiotów, otaczających człowieka, forma ma stać się czynnikiem organizacji życia codziennego (ustalając np. w architekturze rytm ruchów i pauzy: spoczynek człowieka). Celem twórczości artystycznej — nie jest bynajmniej wyrażenie indywidualności twórcy. „Rzeczywistą twórczością i wynalazkiem w sztuce jest zdobywanie **nowych** elementów zawartości zwrokowej, nowych metod wiązania formy". Te nowe metody wiązania formy winny być w równej mierze dziełem potężnego i twórczego oka, co matematycznego obliczenia; winny być obiektywnie sprawdzalne.

Rysuje się wizja nowej, uniwersalnej sztuki; takiej twórczości, która by wniknęła w najdrobniejsze przedmioty codziennego użytku. Malarstwo, rzeźba i architektura wiążą się w jedno, sztuka abstrakcyjna staje się motorem powszechnego „uplastycznienia" mas, znika wreszcie rozdział między sztuką-ozdobą, sztuką-luksusem, a tzw. „sztuką użytkową" i produkcją. Rodzi się sztuka powszechna, godna epoki maszynowej, epoki precyzji i obiektywnych sprawdzianów formy... Oto idee i marzenia Strzemińskiego.

*

Władysław Strzemiński nie miał możności zabrania głosu po wojnie i nie wiem, czy jego idee uległy ewolucji, ale mam przed sobą kilka jego rysunków, i nie mogę od nich oderwać oczu. Wydaje mi się, że są to rzeczy istotnie nowe i piękne.

Można różnie pojmować rysunek, kompozycję linij określających przedmiot. Po prostu — zadanie rysownika brzmi np. tak: — Narysuj morze! Strzemiński narysował pełne morze. Nie mogę sobie wyobrazić,

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI Morze (1939)

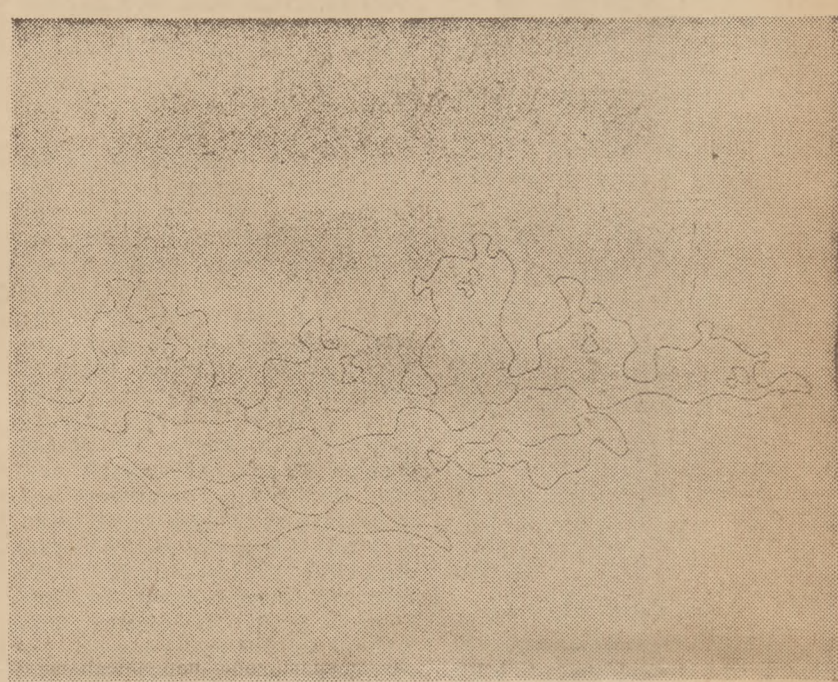

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI Ruiny (1941)

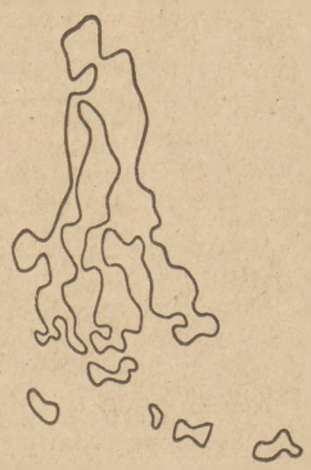

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI Z cyklu: Deportacje (1940)

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI Z cyklu: Deportacje (1940)

żeby linią można dać pełniejszą syntezę morza, niż dał on. Wiem, jaki zarzut uczynią mu „wrażeniowcy": że rysunek jest oschły; oni za żywość uważają ślad ręki. Rysunek Strzemińskiego jest obiektywny, jest w równej mierze dziełem potężnego i subtelnego oka, co rachunku. Jest zaiste rysunkowym „równaniem morza" (tak jak istnieje w geometrii równanie hyperboli czy tzw. równanie serca).

W czasie okupacji stworzył Strzemiński cykl kompozycyj figuralnych pt. „Deportacje". Nazywa je rysunkami realistycznymi i są nimi w tym sensie, że formą swoją dają obraz bardziej określający okropny los ludzi pędzonych, stłamszonych, wdeptywanych jak śmiecie w błoto dróg, niż wiele scen okropności narysowanych naturalistycznie.

Julian Przyboś

POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE

Kraków, ul. Basztowa 23, telefon 559-10. P. K. O. IV-745

Skład Główny: Kraków, ul. św. Jana 3, T. Gieszczykiewicz. Warszawa, ul. Krucza 46, M. Idzikowski.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Dla użytku świetlic wiejskich i robotniczych, młodzieży szkolnej i amatorskich zespołów chóralnych.

Chór a capella

POLSKA LITERATURA CHÓRALNA pod red. St. Wiechowicza.

Chór żeński lub dziecięcy na 3 głosy:

	zł.
Rutkowski B. 3 piosenki	50.—
Szeligowski T. 5 Pieśni z Lubelszczyzny	50.—
Wiechowicz S. 5 Pieśni ludowych ze Śląska	70.—
Wroński W. 5 Pieśni ludowych z Lubelszczyzny	60.—
Obuchowicz H. 7 Pieśni ludowych	50.—
Chór mieszany na 3 głosy:	
Szeligowski T. 5 Pieśni ludowych z Lubelszczyzny	40.—
Rudziński W. 7 Pieśni ludowych	50.—
Wiechowicz S. 5 Pieśni ludowych ze Śląska	70.—
Chór mieszany na 4 głosy:	
Nowowiejski F. „Słowiczku mój"	
Sikorski K. „Czemużeście mnie	
Sikorski K. „Góralu od Żywca"	50.—
Kondracki M. Kołysanka	
Mayzner T. Dysc	
Poradowski S. „Dyli, dyli"	50.—
Maklakiewicz J. Pieśń o polskim morzu	
Raczkowski W. A kiedy mi przyjdzie	50.—
„Oj, uśnij"	
Szeligowski T. Pod okapem śniegu	50.—
Pieśń o Wniebowzięciu	
Pieśni weselne ludowe z Lubelszczyzny	50.—
Maciejewski R. Pieśni kurpiowskie — part.	150.—
głosy à	20.—
Wiechowicz S. Mruczkowe bajki (wariacje) partytura	150.—
głosy à	10.—

W poprzednim 50 (107) numerze „Odrodzenia" z dnia 15 grudnia 1946 r.: **Anna Świrszczyńska:** Poważna klęska społeczna. — **Leonard Podhorski-Okołów:** Dwa wiersze. — **Paweł Konrad:** Powieść o duszy rewolucjonisty. — **Roman Bratny:** Rozstanie. — **Artur Sandauer:** Snobizm i propaganda zagraniczna. — **Stanisław Nienałtowski:** Pierwsza ekspropriacja w Warszawie. — **Franciszek Gil:** Zaduszki na Oksywiu. — **Janina Pregerówna:** Muza smutku i zemsty. — **Marian Podkowiński:** 88 i Niemcy. — **Wacław Kubacki:** List z Poznania. — **Józef Słotwiński:** Powitanie Ossolineum. — **Anna Pogonowska:** Wierszyk. Zdobywanie. — **Tadeusz Peiper:** Jerzego Zawieyskiego „Rozdroże miłości". — **Wacław Kubacki:** Przydziały. — **Tydzień Bibliograficzny.** — **Stanisław Peters:** „Debellatio" czy occupatio bellica" w G. G. — **Krystyna Kuliczkowska:** Powieść o bursztynowej panience. — **Jerzy Kram:** Sprawozdanie z dziwnej przygody w Ravensbrück. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — **Bogusław Kuczyński:** Notatki angielskie. — **jaszcz:** Mistrz Roda. — **Konstanty Grzybowski:** Jak to wytłumaczyć głodnemu wyborcy? — **jaszcz:** Przegląd prasy. — Głosy o „Murach Jerycha". — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia" (**Stefan Barbacki, Józef Andrzej Frasik, Edward Taylor**). — **Tadeusz Dobrowolski:** Wystawa grafiki, akwarel i rysunków artystów Związku Radzieckiego. — **jaszcz:** Oburzające porównanie. — Nowe nagrody Województwa Krakowskiego. — **jaszcz:** Od rozsądku do nierozsądku. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **Artur M. Swinarski:** Na peryferiach teatru. — Korespondencja? (**Wacław Kubacki, Korektorzy „Odrodzenia", Jerzy E. Miller**). — 9 ilustracji. — 12 stron.

MARIAN PROMIŃSKI

TWARZE PRZED LUSTREM

POWIEŚĆ

Str. 368 Zł. 450.-

OFICYNA WYDAWNICZA
KATOWICE, UL. MŁYŃSKA 2

Do nabycia we wszystkich księgarniach

298

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Podróż po Polsce

Gruntowanie obrazu

Stoję na rozmokłej, polskiej drodze; droga ta jest tłusta — ciemne, żyzne błoto. Wiem dzisiaj, że ziem podobnej tłustości jest mało, i że ziemie mniej bujne rodzą dziesięciokrotnie większe plony. O tej właśnie wsi i tych okolicach pisałem równo dziesięć lat temu i teraz, z tej właśnie drogi, z której widać daleko wokół, pragnę dostrzec ogrom dokonanych tu, na wsi, na tej wsi, zmian.

Jest piękny dzień jesienny i będą lecieć żurawie, albo dzikie gęsi, bardzo wysoko nad nami, z gubiącym się w niebie klangorem. Bierze ziąb i tylko resztki pożółkłych liści, jak strzępy pociętego kulami sztandaru, łopocą na starodrzewiu alei. Pozornie jest tu tak, jak było. W dali, o dwanaście kilometrów stąd, bieleją mury obronnego klasztorku. Stawiano go tu przed wiekami, kiedy wokoło szumiały puszcze, po których od dawna nie ma śladu. Stawiali go mnisi, przybyli z daleka, z Włoch, z Burgundii, z Prowansji, może z tego samego pustkowia Monte Cassino, którego ciemny masyw miał po latach świadczyć polskiej tułaczej męce. Nie byłem teraz w owym klasztorze, ale widać z daleka, i wiem o tym, że kryją jego podarte dachy nową, czerwoną dachówką i że tę dachówkę kazał bić konserwator, na wzór owej dawnej, rozkruszonej słotami, wiekami i wojną, i stwierdził, że jest to dachówka sycylijskiego typu. Gdzie Rzym gdzie Krym. — O klasztorze w wieku XVIII różne krążyły wieści i jestem pewien, że więcej tam wychylono szklenic niż przepisano ksiąg, a także, że lepiej sycono miody, niż iluminowano inkunabuły. Ale wiem i to także, że oto przed stuleciami przyszli tu bosi czy na poły obuci, szaleńcy boży, myślą jakąś opętani, zaszyli się w te lasy nienaruszone, pobudowali swój erem, dokopali się wapnia i ciosu i poczęli stawiać klasztor na wzór tych, jakie stawiano w dalekiej ich ojczyźnie. Tutejsi, zaszyci w lasy ludzie, musieli wzruszać ramionami na owych obcych i dziwować się im wielce: ich strojowi, ich mowie i ich obyczajom, ich cudacznie wygolonym czuprynom z kręgiem tonsury na czaszce. Musieli się dziwić niezwykłym roślinom, które ci ludzie ze sobą przynieśli, którymi obsiali grunt wydarty puszczy i które potem, gdy wzeszły, jedli.

Potem do owych obcych zaczęli przystawać swoi, tutejsi, tym samym świętym szałem owładnięci, władcy i możni poczęli ich obdzielać, i ów ludzki ul pszczelny nabierał mocy. Ten klasztor nigdy w moc wielką nie obrósł. Pozostał na zawsze jedną z najpokorniejszych i najcichszych faktoryj, jakie wielki zakon średniowiecza rozsypał po świecie szerokim, jakimi znaczył nie tylko obszar swego zasięgu, ale jeszcze i krańce swojej cywilizacji. Potem pojawiły się inne czynniki kultury i postępu: szkoły, biblioteki, pisma, uczelnie. Przed wojną pod sklepionymi salami klasztoru mieścił się, między innymi, sierociniec, szkoła rzemiosł i szkoła ogrodnicza, i wszystko to było oczywiście już bardzo skromniutkie i powiatowe, ale w Polsce to właśnie skromniutkie i powiatowe i prowincjonalne powinno być najważniejsze. Ale coś jeszcze przecie pozostało. Pozostały ciosowe kapitele romańskie, pociotki tych, które zna Prowansja, Italia i Langwedocja, mocne i proste — jak prosta była wiara owych ludzi, chropawe — jak spracowane ręce. Pozostał barokowy zarys kościelnej attyki, znowu bardzo czysty i nie nadto wybujały, i ogromnie wrosły w ten krajobraz polski, jakby z niego po prostu poczęty. Pozostał dziedzińczyk, wirydarzyk zwarty i foremny, znowu piękny tylko tą proporcją, jaką budownictwo Zachodu przejęło wprost z białych i różowych proporcyj Akropolu. W paru izbach pozostały stropy modrzewiowe, ciężkie, już bardzo polskie, cięte z modrzewi, z których dochowało się kilka tylko w przyklasztornym zalesiu, z datami wyrytymi na nich: 1557, 1610, 1642, 1703.

Przed wojną znalazły się tu czujne ręce młodego konserwatora, który umiał się z księżulkami dogadać, wspólny język znaleźć, i wówczas poodsłaniano zamurowania, poodkruszano przymurówki, nic nie uroniono z wielowiekowych nawarstwień. Po dwóch latach pracy i zachodu odsłoniło się piękno, całe piękno, gorszymi latami przykurzone, wrócone teraz słońcu. Piękna była ta wspólna miłość starego przeora-prostaczka i młodego konserwatora-intelektualisty.

Przeor nie wrócił z Dachau. Konserwatora wykończył Majdanek. Obaj zmarli w tym samym, 1943 roku, na który planowali obchód jakiejś wielkiej rocznicy tego wspólnego swego umiłowania. Czy umierając, mogli obaj myśleć jeszcze o tym, co ich łączyło?

Kiedy z drogi zawrócę na zachód, kiedy jest bardzo słoneczny, jak dzisiaj, dzień i kiedy przymrozek ścina, jak dzisiaj, mgły i wyostrza wzrok, widzę jeszcze inny pomnik przeszłości. Są to wieże, pięć olbrzymich wież, jednego z największych obronnych zamków średniowiecznej Polski. Jest to jakieś polskie Carcassonne, które mogło się rozpaść dziesięć razy, ale jeszcze w rozłomach swoich zachowało moc. W swym ogromie, w swej kamiennej potędze jest zjawiskiem tak niespodzianym i niepolskim, że ludzie w autobusie mijający ten zamek wychylają się z okien zdumieni. W szerokim promieniu zamczyska urywa się nawet las i wyrastają płowe falizny, wyłysiałe zupełnie, mchem czy rzadką trawą porosłe i naraz ten fragment polskiego krajobrazu wydaje się jakby wydarty jakiejś sierrze hiszpańskiej; ma w sobie surowość z Estremadury i niemal czekamy, czy zza węgła, przy którym pasą się białe kozy, nie wyjedzie chuda postać rycerza z La Manczy. Ale stąd tego wszystkiego nie widać, bo to wszystko jest jeszcze dalekie, i tylko wiemy, że tak jest, i że te baszty na widnokręgu z bliska będą takie właśnie a nie inne.

Nie lubiłem tego zamku. Pomimo swej ruiny wydawał się zawsze obcy i nieludzki, pełen pychy. U jego stóp znajdowało się miasteczko nędzne i wybiedzone, o domkach połamanych i skupionych wkoło siebie jak owce, kiedy im w deszcz jest zimno. Nie wiem, czemu miałem zawsze wrażenie, jakby ten pyszny szkielet nad nimi wyrósł z nich właśnie, poodbierał przestrzenność ich izbom, ogródki ich domom, strzelistość ich dachom, i sam za to wystrzelił w górę kamiennymi czołami, aż z wysiłku zmarł. Może to była i prawda. Zamek stanął nie na krańcach Polski, gdzie zamków brakło, lecz nieopodal jej środka, i właściwie nie zawaliły go wojny, ale własna nieużyteczność. Nie osłaniał tu nikogo, nie chronił przed nikim. W późniejszym czasie rozbite oczodoły jego strzelnic patrzyły niemo na przechody wojsk w kolorowych, potem coraz bardziej szarych mundurach, aż wreszcie niskie pola wokół rozdygotały się motorami czołgów. To wszystko jest prawdą, i prawdą jest to, że mury te stały się dziś tak nagie i puste, że już nikt nie odtworzy ich wnętrza, ich przeszłości, ich życia. Ale jest przecież jakaś nieużyta, ale wielka wielkość tej krawędzi murów wyrosłych na grani wzgórza, tych baszt kamiennych, które pośmiertnie panują nad okolicą i chmury szczytami rozganiają.

W bok od drogi, ode wsi, tak samo złotymi brzozami okolona, wije się polna drożyna pod las. Las nie jest duży, ale graniczy zaraz z innym, większym lasem, a tamten inny większy las wchodzi już w skład kompleksów, połaci, leśnictw, nadleśnictw, stanowi, jak to ludzie tutaj mówią, puszczę. Puszcza pnie się w górę, posiada załomy i jary; puszcza była ośrodkiem pogaństwa do wieku czternastego, do puszczy zbiegali chłopi, konfederaci, maruderzy, powstańcy, a potem znowu po parę razy powstańcy, powstańcy, powstańcy. W puszczy byłem tylko raz w życiu, bo drogi tam były niedobre i nie jestem myśliwym, ale pamiętam jakieś opuszczone, drewniane chaty bez okien, koliby jakby, jakieś domostwa czy szałasy do traperskich podobne, jakichś ludzi kudłatych, wilkiem patrzących, nazwanych smolarzami, i dzieci blade, uciekające od ludzi zza lasu, dzieci podobniejsze raczej do gnomów czy karzełków niż do dzieci. Puszcza cofała się, zamierała, przycichała, ale nigdy nie nikła i na dalszym lub bliższym horyzoncie tych stron zawsze, jak wulkan Fudżi nad Japonią, majaczyła puszcza. Mówiono o niej jeszcze, pamiętam, las, las, bez przydomka. Nie mówiono las mioduszewski czy stopnicki, ale po prostu las. Tak jak gdzie indziej, gdy się mówi góry.

Najpóźniej ze wszystkiego przybył tu dwór; pamiętam ten dwór z lat przed wojną i widziałem go teraz. Był to wyjątkowy dwór. Był późniejszy od klasztoru, zamku, puszczy. Zjawił się gdzieś na końcu osiemnastego czy na początku dziewiętnastego stulecia; stawiał go poseł na sejm czteroletni, który był trochę Hamlet i niezbyt pewny, bo, jak to sobie kiedyś komentował stary służący, za wiele książek przeczytał. Poseł był zwolennikiem reform, zwłaszcza mieszczańskiej i chłopskiej, ale obawiał się, że przez konstytucję Trzeciego Maja zadrze się z potęgami, które inne, potrzebne reformy wielkiego sejmu w niwecz obrócą. Poseł był zdania, że wiekowe zaniedbanie odrabia się wiekami i że to, co trzy pokolenia Sasów potrafiły przepić, przejeść, przekrzyczeć i przegadać, tego jedno pokolenie paroma uchwałami nie odwojuje. Pełen obaw podpisał akt konstytucji, pełen rosnących obaw odbył kampanię letnią 1792 roku, pozostawił diariusz spod Zieleniec i ciekawą relację o Dubience. Był równocześnie szambelanem Stanisława Augusta, który do Targowicy przystąpił, i adiutantem Jana Henryka Dąbrowskiego, który pod Targowicą służył. W tej służbie wytrzymał dziesięć miesięcy, ale nie wytrzymał dłużej, wziął abszyt i wówczas począł stawiać dom. Architekt królewski, współtwórca Łazienek i Królikarni, wyrysował był plany. Fundamenty poczęto kopać wtedy, gdy dojrzewał wybuch insurekcji kościuszkowskiej, w której znowu nasz szambelan, jeszcze mniej w powodzenie wierząc, był jednym z generałów ziemiańskich. Pod dach wyciągnięto dom w okresie grodzieńskiego sejmu. Data zeszła się, niemal co do dnia, z dniem imienin carycy, w którym abdykował ostatni Rex et Magnus Dux.

Od tego czasu dom wyszedł z owej rodziny, już bodaj wygasłej, poprzez ożenki zmieniał parokrotnie właściciela, ale, w odróżnieniu od zamku i klasztoru, zachował do końca, to znaczy do ostatnich lat, swój charakter. Nic tu nie trzeba było sztucznie rekonstruować. Żadnych tynków odbijać, żadnych stropów odsłaniać. Nie było to miejsce tym, czym są muzea, składem zabytków, ale samo było jednym wielkim zabytkiem wespół z lipami swego parku, wespół z rozmiękłą grudą alei, wespół z zapachem ksiąg w bibliotece i psów w pokoju „myśliwskim", ze sczerniałościami cegieł kominka, z pajęczynami zwisającymi z boku złotych portretowych ram. Rzecz dziwna: nie było tu wcale arcycennych zabytków. Nie było Bacciarellich, był jeden — wątpliwy — Lampi, trochę nienajlepszej porcelany koreckiej, ani jedna z książek nie była białym krukiem. Empire'y były bez brązowych okuć, domorosłe; wszystko tu było właśnie domorosłe. Gdyby to wszystko zebrać, załadować na ciężarówkę i zawieźć do jednego z zawodowych wywozicieli antyków, którzy w dalszym ciągu, jak dawniej, grabią nas z zabytków, nie uzyskano by za to wiele. Prawie nic. Co wie na przykład zagranica o pasie słuckim? Spróbujcie zapytać Bretmayera w Nowym Jorku, czy go obchodzi szkło polskie? Albo Kobyłka? Albo Kolbuszowa? Zaczyna mu coś mówić dopiero saskie Meissen, dopiero Alt Berlin, dopiero khorassany. Gdyby to wszystko zebrać w białych, szpitalnianych salach Muzeum Narodowego w Warszawie, ułożyć w gablotkach i poznaczyć, każdy z tych mebelków, każda filiżanka i książka straciłyby swą oprawę, swe światło, swe miejsce, a zatem i swe piękno, swój czar i — sens. Widziałem muzea niemieckie, francuskie, hiszpańskie, angielskie, widziałem wspaniałe muzea amerykańskie; kocham zabytki, lubię chodzić do muzeów, ale muszę powiedzieć, że — poza galeriami obrazów — odpowiadają mi tylko dwa muzea na świecie: musée Carnavalet w Paryżu, piękne muzeum rewolucji francuskiej, i Prado madryckie. (Kiedy to piszę, uświadamiam sobie, że Prado, jako galeria obrazów, podpada właśnie pod poprzednie określenie, a zatem pozostaje samotne musée Carnavalet). Tym gorzej. Mam olbrzymie współczucie dla wszystkich muzealników. Kochają oni swój fach i nagromadzone okazy, ale nie rozumieją, że piękny zabytek w muzeum, w gablotce, na tle białej ściany, to coś, jakby nagość ślicznej dziewczyny na stole szpitalnego operatorium. Wie się o tej nagości niby wszystko, ale nie odczuwa niczego. A wtedy, gdy w noc letnią szumią za oknem lipy i kląskają słowiki w rozkwitłych chmurach bzu, wtedy gdy rozsychają się stare mahonie a tłem sepetu jest wypłowiałe do cna obicie, wtedy, o wtedy, jakaś korecka filiżanka czy jakiś spodek z Baranówki, sztych niezgrabny i mosiężny lichtarz żydowski, berdyczowska cukiernica czy postrzępiona makatka stają się naraz żywe i piękne, i prawdziwe, i polskie, i naród widzi w tym jak w zmętniałym zwierciadle odbicie czegoś z własnej przeszłości. Możemy wznieść jeszcze setki muzeów, możemy zrekonstruować jeszcze dziesiątki klasztorów, przenieść stropy renesansowych kamienic do nowoczesnych will, ale jeśli raz gdzieś zniszczymy taki jeden zestaw, wiekami stworzony w drodze naturalnej, to go nigdy nie odbudujemy więcej. Tego nie dokona żaden Szyszko-Bohusz, żaden Lorentz.

Z tej drogi rozmokłej i wiejskiej, z której ogarnia się taki szmat kraju, odczuwam jeszcze zanik indywidualności polskiego krajobrazu. To, co jest tak bogate na Zachodzie, a także na Kaukazie czy Wschodzie, to, czego nie ma w Prusach, to, na co silono się przez parę uprzednich stuleci w Polsce, kiedy wszędzie tu sadzono lipy, o wnukach myśląc, stawiano kościoły, klasztory, cerkwie, pałace, zamki, dwory, dworki, zbory, kaplice przydrożne, indywidualizując, jak można było, wszelkie Zanęciny i Pognębiny, Srody i Kiernozie, nadając im piętno, charakter, urodę, smak. Wielkie strumienie wojen, wrogich armij, zmywały to wszystko, gasiły jak świece; wieże świątyń, dachy klasztorów, kolumny dworów, korony starych drzew. Ale cośmy sami robili, aby to, co zostało, wydobyć z błota niepamięci? Obronny zamek w Wiśniczu był jak za Austrii więzieniem, renesansowy zamek w Lublinie innym więzieniem. Święty Krzyż, z którego w innym kraju zrobiono by kielecki Monsalvat, polskie Cluny czy Monte Cassino, był jeszcze jednym więzieniem. Kiedy jaki starosta czy jaki sejmik rozumiał, że podniesienie tych rzeczy ze skrajnego upadku to podnoszenie cywilizacji owej ziemi? Prawda, były wyjątki.

Zaprenumerować

„ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji Kraków, Wielopole 1

Odrestaurowano szopenowską Żelazową Wolę wtedy oczywiście, kiedy z niej właściwie nic nie zostało), odkryto renesansowy Zamość, zauważono przepiękne Kielce. Okazało się, że Polska to nie tylko Wawel, kościół Mariacki, katedra świętego Jana, Łazienki, Wilanów, pałac Raczyńskich, ale że to także kościół w Miechowie i dwór w Igołomii, dwór w Pławowicach i kamienice Stradomia, zamczasta, sklepiona oficyna w Wiśniowej i gontowe kościółki Podhala, karczma w Iłży i niebieskie chaty Bronowic, poariański Czartak i setki, setki takich klejnotów drobnych, wprawionych w brokat polskiej ziemi. Poczynano rozumieć, że nie wystarczy także nagromadzenie zabytków w Warszawie czy Krakowie, że ważne jest pozostawienie, osadzenie ich w terenie, w tej glebie, z której wyrosły. I każda epoka kultury polskiej winna te rzeczy mnożyć, powiększać, a to, co otrzymała w spadku pokoleń, chronić. Polska mogła odejść od gotyckich zamków, barokowych kościołów i empirowych dworów, ale one wszystkie są drogami dziejowego pochodu Polski, one wszystkie do niej należą.

W krajach stokrotnie bogatszych w zasoby przeszłości, nie niszczonych wojnami, chronionych od burz, w Anglii i Szkocji, wykupuje się od czasu do czasu jakiś kąt krajobrazu angielskiego, aby go zachować w dawnym stanie. Piszę kąt krajobrazu, bo inaczej nie umiem tego określić. Takim kątem krajobrazu może być bowiem wszystko. Zarówno stary wiatrak, stara karczma, jak stary lamus, młyn dawno nieczynny, zadumany nad jakowąś berkshirowską Utratą. Ba! Pamiętam jeden cmentarz, wykupiony i utrzymywany przez tego rodzaju fundacje, znam łąkę i drogę, nad którymi one objęły protekcję. Byłoby jednak mylne sądzić, że los polskich dworów był jedynym wyjątkiem. Cały świat przechodzi w mniejszym lub większym natężeniu to samo przeżywanie się jednych kształtów a rodzenie się nowych. Na wsi angielskiej czy francuskiej widzi się dziesiątki, setki dworów, rezydencyj, pałaców w najzupełniejszym opuszczeniu. Wzniesiono je w okresach świetności gentry ziemiańskiej i arystokracji prowincjonalnej, usiano te kraje pałacami o nieskończonej ilości pokojów gościnnych; a potem życie poszło inną drogą, miejsce fortun ziemiańskich zajęły przemysłowe, handlowe; potem przyszedł socjalizm, wysokie płace robotników rolnych, niskie ceny rolnych produktów, ciąg do miast, niemiłosierna śruba podatkowa. Z 20 szylingów dochodu skarb państwa zabiera nieraz 12. Skąd wziąć sumy na utrzymanie tych dziedzictw, na sprzątanie czterdziestu, sześćdziesięciu pokoi, na utrzymanie pięćdziesięcioakrowego parku? Czasem próbowano zakładać wiejskie pensjonaty — tout comme chez nous przed 1939 — ale niestety miejscy goście rozglądali się za plażą, rzeką, morzem, górami, golfem, szybko mieli dość lokalnych rozrywek, nudzili się — jechali nad morze, w góry, do angielskich Zakopanych, Jastarń, Jelenich Gór, pensjonatów z dancingami, deptakiem, kawiarnią. Tym moim przyjaciołom, którzy trwają w świętym przekonaniu, że losy warstwy ziemiańskiej czy dworów wiejskich są gdzie indziej lepsze niż w Polsce, każdy przybysz z Zachodu odsłoni prawdę, że przeciwnie — są do siebie bliźniaczo podobne. Jest to okres likwidacyjny. Nie tylko Polska ugina się pod drożyzną i spekulacją, nie tylko w Polsce pobory urzędnicze są dotkliwie niskie, — te „nie tylko w Polsce" można by mnożyć i mnożyć. Czasem jest lepiej czy mniej źle niż w Polsce, czasami tak samo, czasami — i to częściej niż się zdaje — bywa gorzej. Nawet znacznie gorzej. Los angielskiej country szedł może innymi drogami, wszedł na nie znacznie wcześniej, ale drogi były podobne. Dziś pewien odsetek dworów — nieliczny bardzo — to pensjonaty i domy wypoczynkowe, najczęściej związków zawodowych, część to własność National Trusteeship, wykupiona i utrzymywana przez naród, część wreszcie niszczeje i czeka smętnie na taki lub inny koniec. Większość stoi dziś pustką.

Brama parkowa jest rozwalona; poprzez stary park poprzecinały się ścieżki, opuszczenie i zniszczenie jest zupełne. Może za rok, za dwa przyjdą tu jakieś miłosierne ręce. Może przyjdą dopiero za pokolenie. Może za wiek. Dwór i park leżały na stoku zbocza. Po drugiej jego stronie była ongi wieś. Mówię ongi, bo to było dawno, jeszcze w tamtym stuleciu, a od tego czasu wieś poczęła nowymi domami i nowymi pokoleniami piąć się na stok, pod swoją stronę stoku, potem sięgnęła szczytu wzgórza, a potem, potem, poczęła wysuwać swe macki — chaty błękitne, strzechaste — na drugą stronę drogi, w dół, ku starodrzewiowi parku. Szło to z początku ostrożnie i opornie. Kiedy pierwszy raz zajrzałem w te strony — było to w roku 1922 albo 1923 — pokazywano przy drodze, po jej „dworskiej", prawej stronie, szczątki spalonych chat. Te trzy pierwsze zagrody — które jeszcze przed 1914 rokiem przeskoczyły drogę, jak tyraliera przeskakuje rów — zmiecione zostały ogniem artylerii austriackiej w 1916. Punkt był widać strategiczny. Tyraliera chat postąpiła jak normalna tyraliera. Zatrzymała się w miejscu. Ale postąpiła też jak dobra tyraliera; nie cofnęła się. Kiedy przejeżdżałem tu w roku przewrotu majowego, już cztery nowe chaty, w miejsce dawnych dwóch, wydźwignęły się na garb i przeskoczyły na „dworską" stronę drogi. Wielki łan rzepaku, wzorowo obsiany, targały wąskie zagoniki jakichś kartofli, jęczmienia, czy warzyw. W parę lat potem chałup było już osiem, w tym dwie brzydkie, solidne, blachą kryte. Wieś, jak mleko z garnka, przelewała się przez wierzch garbu. Powoli, ale nieustannie, zbliżała się ku drzewom parku. Łan rzepakowy malał. Dzisiaj nie ma go wcale. Liczę z drogi piętnaście chat. Droga w tym miejscu jest ulicą. Małe dzieci przebiegające nią pewno nie pamiętają, że tu kiedyś był nie środek, ale pobrzeże wsi.

Jeśli spojrzeć w dół ku wsi, ku „starej" wsi, widzimy jeszcze jeden punkt: kościół. Kościół nie był nigdy zbyt ważkim punktem tej wsi, a raczej był nim bardzo dawno temu. Ja już tych czasów nie znałem. Kościół miał też ładną historię za sobą. Wzniesiono go w roku urodzin Kościuszki, a wzniesiono wskutek ślubu czy zakładu, czy też kary za grzechy mocno z owym wiekiem związane. Wielka pani, która go wzniosła, pisała listy do Diderota i Voltaire'a, przynajmniej wedle tradycji, przejeździła pół Europy, utrzymywała salon w Paryżu, pałac w Warszawie, była trzecią zarejestrowaną (przez historię, nie przez policję obyczajową) kochanką Stanisława Augusta i zapewne tylko przez przekorę kumała się z NSZetem konfederacji barskiej. Kiedy przyszło jej wystawić kościół, wybrała styl rokokowy. Trudno było zaiste przedstawić sobie coś mniej religijnego i coś mniej polskiego i nie umiem sobie wyobrazić tych okolicznych chłopów w ciemnych sukmanach i bab grubych, w zapaskach barwnych, w tej architekturze z morskiej pianki, puchu i złoceń. Paw na podwórku. Wojna, która zmiotła owe chaty zza drogi, zwaliła się ciemnym ciężarem pocisków w rokokowy kościółek. Wyobrażam sobie, jakim białym słupem tynku tryskał on pod niebo. Po wojnie odbudowano coś, co było wygodne, przestronne, solidne i przyziemne, coś, co bardzo podobało się proboszczowi i babom, a na co konserwator, za późno przybyły, wył z niezrozumiałego tu bólu. „Hale beł kościół jako trza". On teraz zanika.

Zanika, nie zanika, bo wojna oszczędziła te strony. Zanika, bo wieś z paru dziesiątek chat wyrosła do setki i więcej. Zanika, bo chaty straciły swe słomiane czapy, zmierzwione jak kołtun ze sztychów Chodowieckiego lub karykatur Kostrzewskiego, podniosły swe czoła, okryły je białą blachą. Ściany domów podniosły się także. Wielkość kościoła była stosunkiem jego proporcji do wielkości wsi. Kościół został ten sam. Drzewa wokoło niego wyrosły pewnie, ale drzewa rosną powoli, chaty zaś rosną prędko. Wieś rozrasta się szybko. Rozlała się wielką plamą.

Tak oto gruntuję sobie, po malarsku nieco, obraz tej Polski, którą oglądam po tylu latach. Kiedyś także jeździłem po Polsce. Czy wojna wstrzymała bieg przemian, zarysowujących się przedtem? Oto pytanie. Pisałem o ślubach jasnogórskich w Częstochowie, o Lwowie szumiącym burzą rozruchów bezrobotnych, o żółtych ludziach Łodzi, o zachodnioeuropejskim Poznańskiem, o wsi rzeszowskiej. Nie, nie mam wrażenia, żeby tamte nurty wyschły. Czasem spłynęły zaskórnie w ten kraj, czasem trysnęły wysoko. Wojna stanowiła dla nich tamę, która wody spiętrza, a nie kanał, który je odprowadza.

Ale, aby malować obraz, trzeba go najpierw gruntować. Trzeba nakładać na mokre płótno te farby, które stanowią tu dno, spód, które położyły się pierwsze, które przebijają poprzez inne. Przeszłość. Kiedyś był las sam. Kiedyś był klasztor i las. Potem przyszedł zamek, potem dwór, i wieś, wieś była wtedy małym strumykiem. Potem tamte zaczęły zamierać czy zanikać, a wieś poczęła róść, róść, róść. A potem przyszły nasze czasy.

Ksawery Pruszyński

FRANCISZEK GIL

NADMORSKIE PIECE

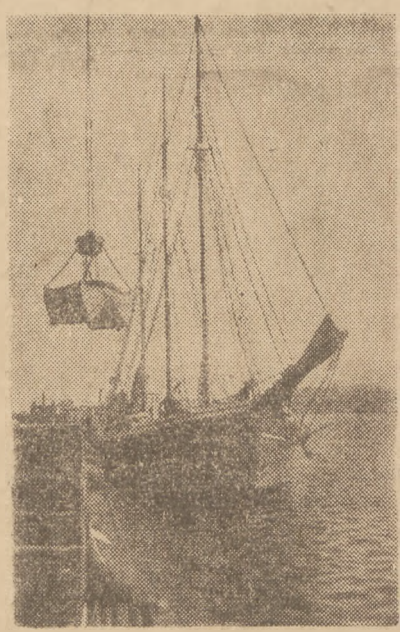

Szwedzki statek „Inga" ładuje węgiel przy nabrzeżu huty

Szczecin, w grudniu 1946 r.

„MIT EISERNEM SCHRITT..."

Na północ od Szczecina stoi nad Odrą szare, posępne wieżysko. Kiedy słońce pląsa po ogromnych wodach jeziora Dąbskiego, kiedy w jasne popołudnie wpija się w przedmorskie roztocza i zalewy rzeki, ciemne, grube szkło wysokich okien niemego zamczyska zamigoce także od czasu do czasu żywszym blaskiem. Gruba, okrągła wieża staje się w owe popołudnie lżejsza, kształtniej i zgrabniej wyrasta z koliska tarasu. Ale kiedy Odra zachodzi mgłą i w lepkiej pogodzie skrywa bogactwo swoich przedmorskich zalewów, kiedy wody jeziora Dąb gubią się w oparach, głębokim zwałem wstających znad ich szarej powierzchni, krzyżacki Zwingburg chciwie syci się ciężkimi mgłami nadmorskiej zimy. Kamienno-popielisty, cięższy i ciemniejszy od mgieł sterczy w miedziano złotym lesie wysokiego wzgórza i tylko biało-czerwony proporzec lekkim raz po raz zrywem znad jego szczytu pozdrawia ziemię leżącą ku wschodowi.

Światło ośmiu, wzdłuż tarasu biegnących okien wieży nie przedostaje się wprost do ciemnej, wysoko sklepionej hali. Spływa na półmrok górą, przez okrągły otwór w sklepieniu nad środkiem hali.

Osiem grubo ciosanych ciężkich kolumn przedsionka, przedzielonego wrotami z żelaznych germańskich dzid, wiedzie do hali. Ściany i sklepienie pną się w górę po trzech jeszcze stopniach w dół. Schodząc nimi na zasadniczy poziom wnętrza człowiek czuje, że maleje, że hala rośnie.

Nie na zachód rozciąga się widok z tarasu wieży. Na zachód leży następne wzgórze, a u stóp wieży i tego wzgórza — miedziana leśna kotlina w górę wznosząca, kiedy patrzeć w dół — zamczysko. Na południe w ramionach odrzańskich kanałów leżą górne i dolne wyspy okrętowe Szczecina z pochylonymi ku sobie ramionami dźwigów. Widok rozpościera się stąd daleko na wschód, na piękny kraj pomorski.

We wnętrzu wieży, wysoko nad ośmioma wypukłymi niszami okrągłej hali, nad jakimś germańskim ołtarzem, ustawionym na wprost drzwi wejściowych, biegnie brzegiem sklepienia wielki, kuty w kamieniu i łatwo jeszcze czytelny napis:

„Wir wollen mit eisernem Schritt zermalmen was der Herstellung der deutschen Nation und ihrer Herrlichkeit und Macht entgegensteht. Bismarck 23. VI. 1870".

O PAMIĘĆ UPOKORZENIA

Niedługo przed wojną Polska liczy blisko 35 milionów ludności, Niemcy dwa razy tyle. W tym samym czasie Niemcy produkują rocznie dwadzieścia milionów ton surówki żelaza, Polska niecały milion.

Ogromna większość polskich podchorążych szkoliła się w piechocie. Niejedną klęskę ponieśliśmy na zapylonych drogach września. Dwie pamiętamy: rozbicie wojenne i upokorzenie cywilizacyjne. Nic z tego czego przez rok uczono nas na ćwiczebnych polach, nie przydało się nam w walce. Dzień i noc szliśmy od Sanu przez całą Lubelszczyznę i objuczeni konnymi taborami nigdy nie mogliśmy zdążyć: chcieliśmy iść na Lublin, połączyć się z załogą miasta — w Lublinie byli już Niemcy; chcieliśmy przedostać się do Zamościa — po szosie, do której dotarliśmy nad wieczorem, patrolowały już niemieckie czołgi. Niewyspanych i majaczących, bez ustanku wyprzedzały nas niemieckie zagony pancerne. Pragnęliśmy już nie tej samej broni. Marzyliśmy o niedosiężnej w zawodach z niemiecką maszyną chwili, w której można by było choćby na moment przystanąć, mieć czas na odwrócenie się twarzą do wroga. W krótkich potyczkach w przysiekach zamojskiej ordynacji marzyliśmy o spoczynku dla naszych odparzonych nóg — o wielkiej bitwie w strzeleckich rowach.

Wrzesień 1939 nie był dla nas przegranym bojem: był cywilizacyjnym upokorzeniem.

Kto przejeżdżał obok zwalonych mostów żelaznych na Odrze i Rgilicy, kto widział kilkuset i kilkutysięcznotonowe wraki, tarasujące nasze baseny portowe, ten wie, że mostów tych nie podniesiemy nigdy pastuszą fujarką, że trupich barek zalegających dno Odry nie dźwigniemy bez pływających dźwigów.

W tym samym czasie, w którym wartość produkcji przemysłowej i górniczej w przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju wynosiła w Stanach Zjednoczonych 2570 przedwojennych złotych rocznie, tak samo przeliczona wartość produkcji naszej wynosiła zaledwie 190 złotych. Oto dlaczego na przeciętnego Amerykanina przypada kilkanaście razy więcej ubrań i środków użytku codziennego niż na przeciętnego mieszkańca naszego kraju.

Żelaza trzeba nam na wagony, żelaza trzeba nam na lokomotywy, trzeba nam walcówki na blachę okrętową i profile, stali na obrabiarki i scyzoryki, igły i suwnice w zburzonych halach fabrycznych. Przez 6 lat Niemcy nie przeprowadzali remontu w naszym przemyśle, nie dokonywali w nim wkładów amortyzacyjnych. Jechali jak na froncie: do granic wytrzymałości maszyn i konstrukcji. Tysiące psujących się maszyn utrudniają podnoszenie produkcji, czekają na nowe części. Bez żelaza nie będziemy mieli więcej pociągów, nie zelektryfikujemy wsi, nie zbudujemy zapór wodnych, nie odbudujemy decymetra sześciennego zniszczonych fabryk.

Żelazo jest kośćcem gospodarki każdego nowoczesnego narodu i tylko przez wzmożoną produkcję żelaza i stali możemy zmienić nasz wiecznie rolniczy żywot „na piechotę", nasze cywilizacyjne upokorzenie. Tylko wciąż nowe miliony ton surówki pozwolą nam zrównać swe gospodarstwo z gospodarstwem Zachodu.

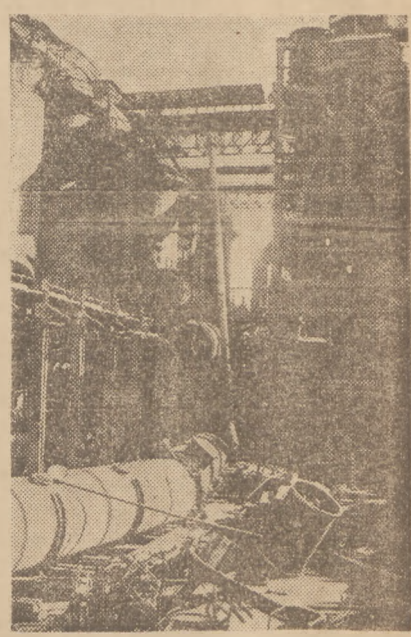

Podnoszenie i montaż części przewodów gazowych

POMORSKA RUDNICA

Trudno spodziewać się wielkich pieców o parę kroków od morza. Cukrownie buduje się w pobliżu gleb pszenno-buraczanych, fabryki konserw rybnych w portach rybackich, a wielkie piece stają w sąsiedztwie kopalni rudy i węgla, niedaleko koksowni.

Cóż powiedzielibyście o hucie żelaza, która zamiast w zagłębiu węglowym stanęłaby sobie nad morzem?

Był przed wojną projekt budowy takiej huty w Gdyni.

Nie jesteśmy bogaci w rudy żelaza. Z końcem listopada do portu gdańskiego wszedł szwedzki statek „Vrig". Był to pięćsetny statek z rudą w naszych portach po wojnie. Czyli od lipca minionego roku, od chwili wejścia pierwszego w ogóle okrętu do Gdyni-Gdańska po zakończeniu działań wojennych, prócz pociągów ze Związku Radzieckiego, dzień w dzień jeden statek przywoził nam rudę. Dzień w dzień dźwi-

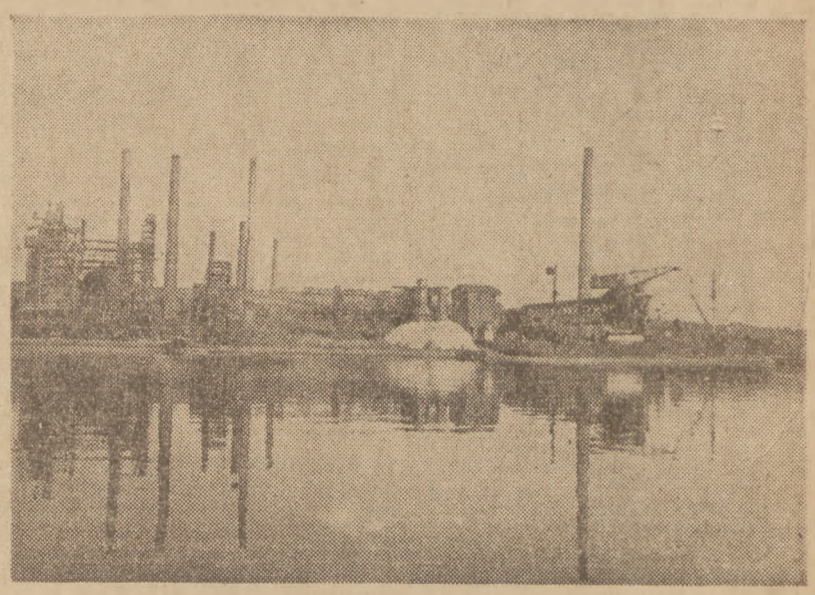

Zaodrzańska huta Stołczyn

gi portowych nadbrzeży przeładowują tysiące ton rudy na setki wagonów i dzień w dzień jadą pociągi z wybrzeża do hut. Część tych pociągów jedzie jako tranzyt dla Czechosłowacji, olbrzymia jednak większość skręca na bocznice śląskich zjednoczeń hutniczych. Piece nasze potrzebują miesięcznie dwieście tysięcy ton rudy, a z własnych kopalń możemy im dać na razie tylko czterdzieści dwie. Myśl o nadmorskiej hucie w Gdyni była myślą o zaoszczędzeniu części pociągów dzień w dzień wiozących rudę z nabrzeży na Śląsk, z powrotem — odlewniczą surówkę ze Śląska do portów. Budowa wielkich pieców nad morzem dawała blisko 1000 km oszczędności w transporcie rudy do jednej wielkiej huty i blisko 1000 km w transporcie surówki dla odlewni portów i Pomorza.

Taką nadmorską hutę odkrył półtora roku temu niedaleko wieży Bismarcka wysłannik Centralnego Zarządu Przemysłu Hutniczego inżynier Bogucki.

„ŻELAZNY" KLEJNOT ZAODRZA

Na krótko przed Szczecinem granica nasza z Niemcami odchyla się od lewego brzegu Odry i zostawiając po prawej stronie miasto i port, biegnie ku szczecińskiej zatoce. Szczecin leży na naszym jedynym skrawku ziemi na zachód od Odry i Nysy, w „egzotycznym" trójkącie, którego podstawę stanowi lądowa linia graniczna od Gryfina do Szczecińskiej Zatoki, a dwa boki: dłuższy — brzeg Odry i krótszy — zatoki. Na szosach tego „kraju" co parę kilometrów stają przed podróżnym żółte tablice wskazujące kierunki „do Berlina" i zapowiadające „Granicę Państwa".

Dziesięć kilometrów za Szczecinem Odra znów jest zwykłą, pustą rzeką, na krótko tylko ujmowaną po drodze w nabrzeża fabryk, niegłęboko wcinaną w krótkie, przemysłowe kanały.

W głębi kraju fabryki układają się wzdłuż wielkich magistral kolejowych, posyłających im swe bocznice. Większość fabryk Szczecina i okolicy leży nad szeroką i wygodną Odrą. Nabrzeża przemysłowe ciągną się jej lewym brzegiem prawie od Wałów Chrobrego, czyli od centrum miasta, daleko na północ. Wespół z rzeką „wyciągają" miasto ku północy w coraz nowe choć coraz węższe dzielnice i osiedla — Grabów, Brodów, Żelechowo, Golęcin, Stołczyn, w skupiska ludności żyjące z rozsianych tu fabryk i ich wodnych bocznic. Dziś owe parenaście uporządkowanych i przebudowanych dawnych nabrzeży przemysłowych stanowi nasz port. Do nich przybijają statki z repatriantami wychodzące z Lubeki, przy nich do czasu przejęcia centralnego portu przeładowujemy węgiel, sól potasową wyładowujemy konie. Tu mieści się kanał i stocznia Polskiej Żeglugi na Odrze. Przy jednym z daleko na północ wysuniętych nabrzeży stoi huta Stołczyn. Nad odbudową jej dzień w dzień pracuje pięciuset ludzi. Piece huty jeszcze nie płoną. Pierwszy zostanie zapalony w marcu przyszłego roku i da 180 ton odlewniczej surówki żelaza na dobę. Czyli 65 tysięcy ton rocznie.

ROZPALIĆ PIEC

Odbudować hutę — to znaczy po prostu: rozpalić piec. Raz rozpalony piec nie gaśnie nigdy, ale kiedy będziecie czytać, że „dymią piece hut śląskich", nie wierzcie w to. Od dawnej leśnej rudnicy, w której żelazo otrzymywano bezpośrednio z rudy w tzw. „ogniskach", dzieli huty śląskie kilka wieków technicznego postępu. Piece i ich „ogniska" są dziś szczelnie zamknięte. W ich temperaturze — tysiąca sześciuset stopni w pobliżu „gorącego dmuchu" „żelazo gotuje się jak zupa" — powiadają hutnicy. Dawne miechy, podsycające „ognisko" rudnicy zastąpiły ogromne dwustutonowe elektrycznością lub para pędzone dmuchawy z tłokami i wirnikami, z cylindrami niskiego i wysokiego ciśnienia. Piece nie dymią, bo gdyby dymiły, huta trwoniłaby kalorie potrzebne do wytopienia żelaza. Marnowałaby gaz, który przezorny inżynier osobnym przewodem odprowadza ze szczytu pieca do nagrzewnic, rzędem biegnących równolegle do pieców. Zmieszany z powietrzem gaz pali się na przemian w każdej z nich po dwie godziny, po czym kolejno przez godzinę ogrzewa się w nich powietrze wdmuchiwane następnie siłą mechanicznego miecha czyli dmuchawy do pieca. Zasypany koksem i rudą, zamknięty szczelnie piec nie będzie się palił bez owego nieustannego dmuchu, bez 45 000 metrów sześciennych powietrza na godzinę. A nieogrzane powietrze także kradłoby piecom kalorie. Wszystkie przewody, wszystkie mechanizmy pracują tu dla wzmożenia i najpełniejszego wyzyskania energii cieplnej — dla największego skrócenia czasu wytapiania żelaza z rudy.

Co trzy godziny pobiera się z pieca surówkę i przez całą dobę zasypuje się go na przemian warstwą rudy i warstwą koksu. Blisko 600 ton koksu, rudy i topników przechodzi w ciągu 24 godzin przez piec. 40 wagonów surowca trzeba w ciągu doby wyciągnąć na górę na szczyt pieca i wsypać do wnętrza. Co najmniej 40 wagonów koksu, rudy i topników musi dziennie wyładować huta na swych bocznicach i 180 ton surówki musi odstawić do odlewni.

Za trzy dopiero miesiące zapłonie pierwszy piec nadodrzańskiego Stołczyna. Ale już dziś pociągi zwożą na bocznice huty trzymiesięczny zapas surowca. Rosną wzdłuż torów hałdy koksu i złomu.

Raz rozpalony piec nie gaśnie nigdy. Trawiony nieustannym ogniem i nieustannie oblewany wodą żyje piętnaście, dwadzieścia lat i idzie na rozbiórkę. Kiedy przegląda się statystyczne zeszyty, kiedy przed oczyma stają popularne, „hutnicze", ryciny czytanek i gospodarczych geografii, wtedy wydaje się: — cóż to za sztuka rozpalić piec! Ale kiedy przypomni się, że pierwsze huty na naszych ziemiach, pierwsze „officinae ferrariae", składające się z dymarki, kuźnicy i młotów, poruszanych za pomocą kół wodnych, wyrabiały rocznie około 160 cetnarów żelaza kutego czyli dziesiątą część tego, co ma dać dziennie jeden piec Stołczyna, wtedy łatwiej pojąć, jaki olbrzymi postęp techniczny dokonał się w procesie fabrykacji żelaza i ile skomplikowanych zabiegów trzeba, żeby uruchomić i zapewnić nieprzerwaną pracę wielkiego pieca.

Wielka huta, to dziwne, wielkie miasto. Raz puszczona w ruch — na wszystkich swych piętrach ani na chwilę nie może się obejść bez ognia i wody. Spięty obręczami piec ubrany jest jeszcze cały w wodną koszulkę, wplatającą się weń żelaznymi przewodami i skrzynkami. Woda opływa przede wszystkim wiatrowe formy, przez które gorące powietrze wdmuchiwane jest do pieca. Punkty najwyższej temperatury pieca mieszczą się właśnie w pobliżu „gorącego dmuchu". Jeśli pompy staną, jeśli zawiedzie zapasowa, pozostaje na kilkanaście minut wodna wieża wysokiego ciśnienia. Jeśli w ciągu tych parunastu minut mechanik nie zdoła naprawić pomp, topią się przede wszystkim wbudowane w piec mosiężne formy wiatrowe; szkody idą w miliony. Owe formy starzeją się szybko nawet przy normalnej pracy pieców. Najczęściej podlegają wymianie. W ciągu jednego dnia pracy Odra oddaje hucie tyle wody, co powiatowemu miastu. Sam piec potrzebuje blisko 500 metrów sześciennych na godzinę.

JUTRO PRODUKCJA...

W marcu 1947 roku huta Stołczyn ma dać pierwsze 180 ton surówki. Trzeba pamiętać, że pracujący od wiosny nad odbudową huty zespół inżynierów i robotników ma do 1 marca doprowadzić owo wielkie zniszczone miasto bocznic, szybów, hal, pieców, maszynowych podziemi, wind i warsztatów do stanu, w którym raz w ruch puszczona dmuchawa nie staje nigdy, w którym nigdy nie stają pompy, w którym nie psują się wyciągi i nie stają maszyny kotłowni, dającej parową energię dmuchawom, w którym na moment nie ustaje dopływ energii elektrycznej, w którym nieustannie poddmuchiwany i chłodzony piec nieustannie płonie i nieustannie daje surówkę.

Trzeba zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności inżyniera raportującego w dyrekcji wielkiej państwowej huty, że jego piece, że jego pompy, że jego dmuchawy są gotowe do produkcji.

I trzeba pamiętać, że zespół inżynierów śląskich obejmuje hutę Stołczyn bez dmuchaw, bez pomp, bez kotłów, bez dopływu energii elektrycznej, bez lin wyciągowych i form wiatrowych, bez gwoździa i bez młotka.

Jest piękny dzień marcowy, wielkopiecowe przewody gazowe leżą na ziemi w trudnych do przebrnięcia zwałach złomu i żelastwa. Między piecami, z których jeden jest jeszcze ciepły, snują się tylko od czasu do czasu spóźnieni szabrownicy.

Franciszek Gil

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

Pod znakiem bajki

FANTASTYKA I REALIZM

Dzieci od najdawniejszych czasów były odbiorcami pierwocin twórczości ludowej: podań, legend, gadek i baśni. Już Platon zdaje sobie sprawę z pedagogicznej wartości bajki (tą potoczną nazwą będziemy oznaczać baśnie): „Dzieciom nasamprzód bajki opowiadamy" — pisze w „Rzeczypospolitej" (ks. III). — „Czyż więc tak bez wszystkiego pozwolimy na to, aby dzieci słuchały pierwszych lepszych opowieści zmyślonych przez pierwszych lepszych ludzi i wpajały w dusze wyobrażenia po największej części przeciwne owym, którymi według naszego przeświadczenia przejmować się później powinny, gdy dorosną? Więc nasamprzód na twórców baśni trzeba nam baczną zwrócić uwagę i o ile piękną podają rzecz, możemy się na nią zgodzić, w przeciwnym razie ją odrzucimy". W podobnym duchu pisze Arystoteles: „Na to, jakie powiastki i podania odpowiednie są dla dzieci, powinni zwrócić uwagę pedagogowie".

W ciągu następnych stuleci stosunek do bajek jako środka pedagogicznego ulegał zmianom; w jednych okresach przeceniano ich wpływ, w innych potępiano, twierdząc, że pobudzają one wyobraźnię w sposób niezdrowy i wszczepiają fałszywe pojęcia o życiu; niezależnie jednak od tych teorii, płynął podziemny nurt ludowej twórczości, która „nieoficjalną" drogą, w formie pedagogicznie niekontrolowanej przedostawała się do dziecka. Istotną zdobycz w tej dziedzinie przyniosły dopiero badania psychologiczne końca wieku XIX i pierwszych dziesiątków XX, które ustaliły ponad wszelką wątpliwość dodatni wpływ baśni fantastycznej w pewnym okresie rozwoju dziecka. Okres ten zamyka się między drugim a szóstym rokiem życia, gdy — jak pisze St. Szuman — „dziecko tworzy fantastyczne koncepcje antycypujące doświadczenie" i w ten sposób przygotowuje umysł do późniejszej obiektywizacji zjawisk. W latach następnych skłonność do antropomorfizacji i animizacji zjawisk przyrody i przedmiotów martwych ustępuje miejsca dociekliwej ciekawości, która pomaga do zdobycia wiedzy o rzeczach. Począwszy od dziewiątego roku życia psychika dziecka domaga się lektury zaspokajającej żądzę poznania świata, o treści odpowiadającej wymaganiom prawdopodobieństwa. Bajki wydają się wówczas dziecku niemądre, gdyż są niezgodne z jego wiedzą o rzeczywistości, wiedzą, którą krok za krokiem zdobywa. Powrót do bajki następuje u młodocianej jednostki dopiero później, gdy zdaje sobie ona sprawę z artystycznych walorów przesycenia rzeczywistości fantastyką.

Te wiadomości z zakresu psychologii wieku dziecięcego dopomagają do ustalenia podziału literatury dla młodego pokolenia na fantastyczną i realistyczną, czyli w elementach swych zbliżoną bardziej do bajki lub do prawdy i podział ten pokrywa się mniej więcej z granicami wieku: pierwsza przeznaczona będzie dla dzieci młodszych, druga — dla starszych. Zacieranie tych wyznaczonych wiekiem granic nie daje dobrych wyników pedagogicznych; realistyczne powiastki o nieuchronnym akcencie bezpośredniego pouczenia nie przemawiają do wyobraźni dzieci młodszych, zaś bajki ujęte „na serio" (bajki w ujęciu groteskowym mogą bawić) wydają się dzieciom starszym nudne i naiwne.

Zrozumienie podstawowych założeń pedagogicznych, na których opiera się prawo dziecka do bajki, przyczyniło się do jej trwałego zwycięstwa. Bajka zwyciężyła w okresie międzywojennym; bajka odegrała ważną rolę w okresie okupacji, gdy pewne firmy wydawnicze w obawie, by niemiecka propaganda nie wyzyskała głodu literatury u dziecka, wypuściły na rynek książki, wśród których największe znaczenie miały bajki, wszczepiające wiarę w piękno i dobro w momencie rozpętania niszczycielskiego zła; dzisiaj wreszcie wydawnictwa te ukazują się w pokaźnej ilości i — co najważniejsze — toczą się dyskusje już nie na temat, czy należy dawać dziecku bajkę, lecz jaka ta bajka powinna być.

Dyskusje owe nie są jedynym objawem ożywienia w dziedzinie literatury dla dzieci. Wydaje się, że dział ten przestanie być wkrótce terenem martwym. Nie chodzi tu oczywiście o liczbę nowych pozycji, zawartych w gwiazdkowych katalogach, gdyż pod względem ilościowym już w roku zeszłym mogliśmy się poszczycić pokaźnym dorobkiem, lecz o zainteresowanie tą dziedziną twórczości czynników miarodajnych, które posiadają wszelkie warunki, by niekontrolowaną produkcję skierować na właściwe tory. O zainteresowaniu tym świadczą zarówno zjazdy, poświęcone literaturze dla dzieci (pierwszy w listopadzie br. z ramienia „Czytelnika"; drugi, zorganizowany przez Z. N. P. mający się odbyć w początkach roku 1947), jak konkurs na powieść dla dzieci rozpisany przez „Naszą Księgarnię", jak wreszcie dyskusja o bajkach Grimma, która będzie nas interesowała najbardziej.

BAJKI NA WĄTKACH GRIMMOWSKICH

Wiesław Osterloff w swej próbie analizy jednej z bajek Grimma „Jaś i Małgosia" („Życie Szkoły", nr 7) — przeprowadza tezę, której poświęcił już wcześniej dłuższy artykuł w „Odrodzeniu" („Kryminalistyka i bajki Grimma", nr 19), że w bajkach Grimma zawarta jest kwintesencja światopoglądu germańskiego „tego samego za czasów margrabi Gerona co w erze krzyżactwa, za Fryderyka, Bismarcka czy za ponurych dni hitleryzmu", że okrucieństwo, sadyzm, żądza zysku, idea zemsty — to motywy, które powtarzają się w tych ludowych wątkach z upartą konsekwencją i „zbyt długo pozwalaliśmy polskiemu dziecku, by na takich wzorach kształtowało swoje poglądy społeczne i etyczne".

Rewizjonizm w stosunku do bajek Grimma, jako jednego z przejawów ducha germańskiego, jest objawem zdrowym i — jak u autora powyższej pracy — popartym niewątpliwie gruntownymi studiami. Należy się jednak wystrzegać pewnej jednostronności osądu i zatraty obiektywizmu, spowodowanych naturalnym odruchem niechęci narodowościowej. Wiadomą jest rzeczą, że wątki ludowe — choć w zmienionych wersjach — są w znacznej mierze wspólne różnym narodom. Wśród bajek Grimma można wymienić pokaźną liczbę takich, w których nawet zupełny laik odcyfruje bez trudu wątki znane z bajek francuskich, angielskich, irlandzkich, wschodnich, a gruntowniejsze badania wykazałyby, że nie tylko w baśniach germańskich spotykamy motyw okrutnej macochy, mściwych sióstr i wymyślnych kar dla złej czarownicy. Wątki ludowe zebrane przez braci Grimmów posiadają niewątpliwie silne i niejednokrotnie destrukcyjne piętno mentalności i obyczajowości niemieckiej, nie znaczy to jednak, byśmy mieli wykreślić je całkowicie z repertuaru literatury dziecięcej. To prawda, że w „Śnieżce" okrutna macocha musi ginąć w rozżarzonych trzewikach, że rodzice w „Jasiu i Małgosi" wyganiają z domu własne dzieci, że w „Dwunastu braciach" król przygotowuje trumny dla synów, ale w tychże samych bajkach znajdujemy szlachetne momenty przebaczania uraz („Śnieżka"), pełnej poświęceń miłości siostrzanej („Braciszek i siostrzyczka"), motyw skruchy, która zmazuje popełnione grzechy („Dziecko Matki Boskiej") itd.

Baśnie ludowe nie były pisane dla dzieci, nie możemy więc wymagać, by tak jak są, w surowym stanie, nadawały się dla nich dlatego tylko, że istnieją pewne podobieństwa między psychiką dziecka i człowieka w prymitywnym stadium rozwoju kultury. Wątki ludowe mogą stanowić jedynie niewyczerpane źródło motywów dla autora, który winien zachowywać w nich to, co stanowi ich urok i piękno, przekształcać i tuszować to wszystko, co mogłoby budzić grozę i lęk lub trącić niezdrową sensacją, słowem należy z nich usuwać elementy pedagogicznie destrukcyjne. Odebranie dzieciom uroczych bohaterów jak Śnieżka, Śpiąca królewna, Czerwony Kapturek, Kopciuszek i wiele, wiele innych byłoby niewątpliwą dla nich krzywdą i stratę tę nie zawsze dałoby się zastąpić symboliczną poezją baśni Andersena lub makabryczną nieraz fantastyką polskich ludowych wątków. Bajki Grimma zawierają materiał obfity i zróżnicowany, począwszy od wesołych anegdotek z życia zwierząt, poprzez realistyczne historyjki oparte na zdrowym chłopskim rozsądku, na opowieściach fantastycznych z szeroko rozbudowaną akcją skończywszy. Odpowiedni wybór oparty na tych wątkach daje pożądane wyniki pedagogiczne przy stosunkowo niewielkim wkładzie pracy ze strony tłumacza, od którego, w zamian za inne walory oryginalnego pisarza, wymagamy jedynie intuicji pedagogicznej i czystego, pełnego prostoty języka.

Ostatnio ukazało się na rynku kilkanaście popularnych wydawnictw, stanowiących przeróbki baśni Grimma, będzie więc rzeczą pożyteczną zbadanie, w jakiej mierze odpowiadają one wymaganym warunkom. Najbardziej znane bajki jak „Śnieżka", „Czerwony Kapturek", „Wilk i 7 koźlątek" przerobił Witold Zechenter (Wydawnictwo Książek Popularnych i Wydawnictwo L. Zwierzchowskiego, Kraków). Inne, jak „Śpiącą królewnę", „Jasia i Małgosię" (te dwie nie mogą być omówione z powodu braku egzemplarzy recenzyjnych), a także wersję „Czerwonego Kapturka" — opracowała i wydała w formie maleńkich, lecz estetycznych książeczek Magdalena Samozwaniec (Wydawnictwo „Interprint", Kraków). Jeszcze inne znajdują się w wydanym nieco dawniej zbiorze W. Markowskiej i A. Milskiej pt. „Baśnie i legendy".

Charakterystyczną cechą opracowań Zechentera jest oczyszczanie bajek Grimma z nalotu okrucieństwa i sadyzmu przy jednoczesnej wierności tradycyjnie od lat powtarzanym wątkom. Wyjątek stanowi bajka o Czerwonym Kapturku,

TRZASKA, EVERT I MICHALSKI
Warszawa, Marszałkowska 51

Książki na Gwiazdkę!

H. Auderska: Poczwarki Wielkiej Parady
Deotyma: Panienka z okienka
W. Potemkowska: Wielki spór w V klasie

299

w której wilk jako dobrotliwe zwierzę wyprowadza zbłąkaną dziewczynkę z lasu i w małym domku babci waruje przy jej łóżku jak wierny pies. Tego rodzaju żart na temat znanej fabuły nie jest celowy, bowiem pewne uproszczenia typów zwierzęcych („zły wilk") sprzyjają atmosferze baśniowej i przyczyniają się do uwypuklenia sensu moralnego w formie pośredniej. W „Śnieżce" zostały dokonane tylko takie zmiany, które tuszują zawarte w tej bajce momenty okrucieństwa lub skażonego obrazu życia rodzinnego. Śnieżka nie jest pasierbicą złej królowej, lecz służebnicą, co w sposób pożądany zwraca niechęć ku próżnej kobiecie jako złej pracodawczyni. Królowa nie każe zabić Śnieżki, lecz wypędzić ją do lasu, rzucając jedynie „klątwy, które zabić mogą". W zakończeniu nie ginie na mściwy rozkaz starego króla w rozżarzonych do czerwoności trzewiczkach, lecz, widząc bezsilność swych zabiegów zmierzających do zwalczenia dobra, zamienia się w ropuchę i skacze do studni. W „Wilku i siedmiu koźlątkach" zostały uwypuklone i rozwinięte rytmiczne walory fabuły, co czyni bajkę zrozumiałą dla zupełnie małych dzieci, została także zatuszowana realistyczna śmierć wilka. Bajki opracowane są wierszem, co prawda nie zawsze czystym w rytmie i — w obronie przed częstochowszczyzną — usianym asonansami (babcię — także, chaty — obiadek) zbyt dalekimi jak dla dziecka, do którego na pewno silniej przemawiają rymy „katarynkowe".

Zupełnie inny charakter mają przeróbki bajek Grimma dokonane przez Magdalenę Samozwaniec. Przeróbki to niewątpliwie zręczne, zabawne i dowcipne, lecz zbyt literackie i skomplikowane na użytek dzieci. W „Śpiącej królewnie" para królewskich małżonków prowadzi filozoficzne rozmowy o wadach „pierwszej, drugiej i dziesiątej kategorii", i o wierze w przeznaczenie, wróżki, przybrane — przyznać trzeba — w pomysłowe i urozmaicone stroje, rozmawiają między sobą o pieniądzach, „które uspokajają nerwy", a kołysanka, którą śpiewa królowa dla swej córeczki, ma dziwnie demoniczny charakter:

(Oczka twe będą) czarne jak grzech
A grzech twój będzie aniołów śmiech
I będziesz mądra jak Kon-Fu-Tse
I jak Salomon, bo ja tak chcę.

W „Białym Kapturku" autorka przetwarza fabułę o wiele gruntowniej niż uczynił to Zechenter, choć i tutaj, podobnie jak tam, właściwy wątek grimmowski gra rolę motywu literackiego, dla którego poszukuje się odmiennych wersji. Bohaterka „Białego Kapturka" nauczona doświadczeniem bajki o „Czerwonym Kapturku" pragnie zapobiec niepożądanemu rozwojowi wypadków, które istotnie dzięki jej sprytowi toczą się zupełnie inaczej. Babcia — to zgryźliwa starowina posiadająca uraz na punkcie swej niepotrzebności i przekonana, że rodzina życzy jej śmierci. Tego rodzaju wariacje opierają się na założeniu, że dziecko zna bajkę i że nie poddaje się stwarzanej przez nią sugestii, uczestnicząc w formowaniu fabuły nieledwie na równi z autorem, a przecież właśnie ta sugestia, to przyjmowanie fikcji za prawdę stanowi o zainteresowaniu dziecka i o wpływie, jaki może wywrzeć bajka. Dziecko przy tym przywiązuje się do znanych z częstych opowiadań postaci i kolejne przeżywanie fragmentów, nawet umianych na pamięć, stanowi czynnik głęboko sięgającego w psychikę zadowolenia, a wszelkie zboczenie od znanego wątku wydaje mu się fałszem. Dlatego też nie należy uniezwykłać tradycyjnych wątków, z którymi dziecko na pewno zetknęło się w tej czy innej formie, tym bardziej, że i tak niektóre zmiany ze względów pedagogicznych są niezbędne. Wszelkie literackie wtręty i filozofowanie także nie są wskazane, gdyż wymagają one intelektualnego wyrobienia. Ideałem będzie bajka, która pozwoli dziecku przeżywać bezpośrednio, tak jakby nie było sztucznej zapory między rzeczywistością a fikcją, by każde dziecko mogło doznać złudzenia i zawołać jak pewna dziewczynka na przedstawieniu „Śnieżki": „Nie jedz tego jabłka, ono jest zatrute!" Mały odbiorca przeżywa sztukę nie estetycznie, nie intelektualnie, lecz życiowo i emocjonalnie i trzeba się

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO CZESKIE

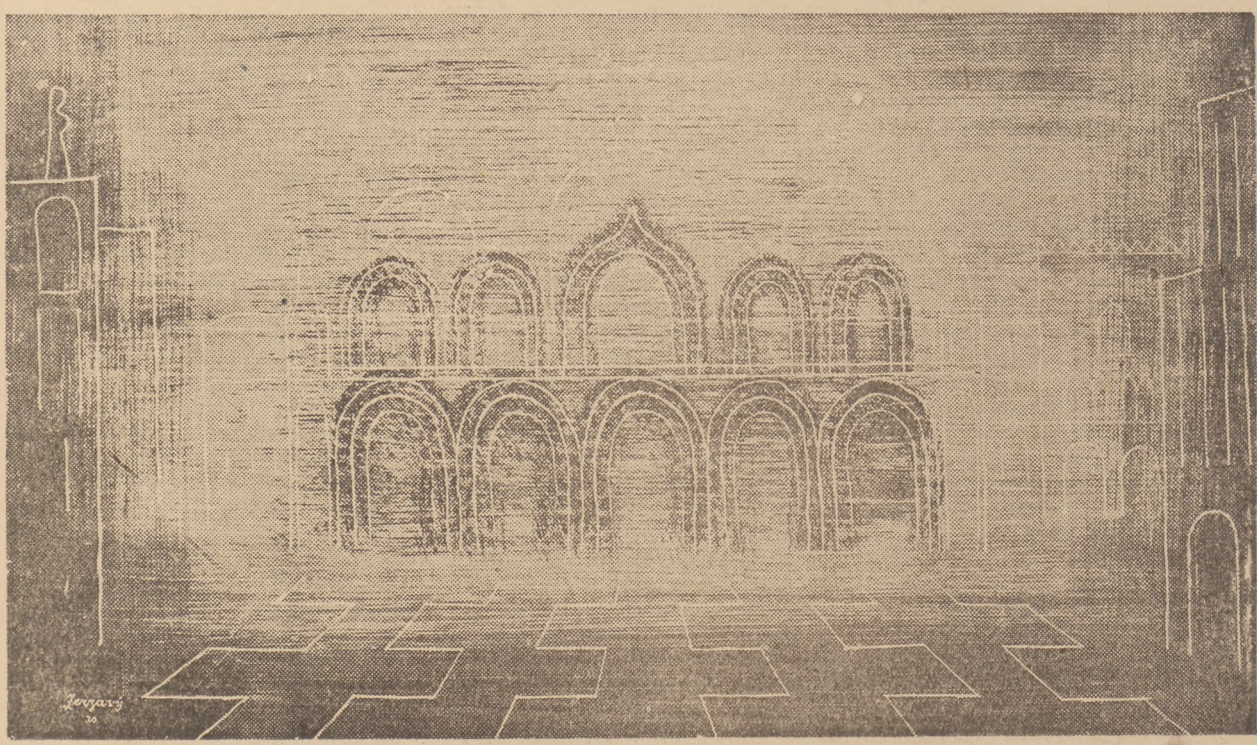

JAN ZRZANY — Kościół św. Marka w Wenecji

z tym liczyć, jeśli pragniemy, by bajka wywarła pożądany wpływ wychowawczy.

Autorki zbioru „Baśnie i legendy" wybrały takie bajki Grimma, które mogłyby zamieścić bez znacznych zmian, nie odstępując od wymagań natury pedagogicznej. Są to dwie bajki: „Sześciu zawsze sobie radę da" i „O rybaku i złotej rybce". W zakończeniu pierwszej z nich została jednak wprowadzona znamienna zmiana: oto sześciu towarzyszy, po zdobyciu bogactw, w wersji autentycznej „powróciło do domu, podzieliło się skarbami i żyło długo szczęśliwie", zaś w „Baśniach i legendach" „powrócili do domu i cały kraj żył — szczęśliwie dzięki ich skarbom". Jest to akcent społeczny, który za pomocą niewielkiego przesunięcia treści tuszuje częstą w bajkach Grimma żądzę zysku osobistego. Bajka „O rybaku i złotej rybce" jest podana w dosłownym, świetnym zresztą przekładzie Marcelego Tarnowskiego z jego przeszło czterystustronicowego zbioru bajek Grimma, wielokrotnie wznawianego (ostatnie, piąte wydanie w roku 1944). Obie pozycje zawarte w „Baśniach i legendach", jak zresztą wszystkie inne w tej książce, cechuje pewien umiar w doborze wątków bardziej realistycznych, opartych przeważnie na życiu ludzi prostych. „Baśnie i legendy" mają stanowić przegląd właściwych, czystych wątków ludowych różnych krajów i ta tendencja niemal naukowa sprawia, że wydawnictwo to przeznaczone jest raczej dla dzieci starszych, będących już poza wiekiem baśni, i dla młodzieży, która na tych przykładach będzie mogła poznać życie i obyczaje ludu.

POLSKIE WĄTKI LUDOWE

Ludwik Bandura w „Odrodzeniu" głosuje za odrzuceniem bajek Grimma, które „stoją pod ciężkim oskarżeniem" („O wybór bajek dla dzieci", „Odrodzenie", nr 43) i zachęca autorów do wyzyskania wątków północnych i ludowych polskich, w których należy szukać „pogodnego nastroju, przenikającego do podświadomości dziecka". Niestety musimy stwierdzić, że o ten pogodny nastrój bardzo trudno w naszych baśniach ludowych, że pełno w nich — na co zresztą autor cytowanego artykułu zwraca uwagę — strachów, upiorów i potępieńców. Może się to wydać paradoksalne, lecz nasze baśnie ludowe wymagają zmian bardziej zasadniczych z punktu widzenia pedagogicznego i estetycznego niż wątki innych krajów, gdyż przeróbki polegać muszą nie tylko na usuwaniu jaskrawych momentów lub przekształcaniu ich, lecz na gruntownym przetworzeniu nastroju, pełnego balladowej grozy.

Weźmy dla przykładu choćby fragment z bajki „Śmierć lichwiarza", spisanej przez Kolberga. Gdy pijany żądzą pieniędzy sknera najadł się do syta dukatów, „zaśmiała się zza pieca Kostucha. W nocy lichwiarz umarł. O północy brzęk, pękła pierwsza obręcz na trumnie, na drugą noc o tejże godzinie pękła druga, na trzecią noc o samej dwunastej pękła trzecia obręcz, drzwi kościółka z trzaskiem się otwierają i z wiatrem do wnętrza wpada hurma czartów. Podeszli do trumny, tłuką widłami nieboszczyka po brzuchu, aż wypędzili z niego dukaty".

Momentów makabrycznych, jak choćby krajanie ciała Twardowskiego na kawałki, nie brak w naszych wątkach ludowych; pełno tu diabłów najrozmaitszego kalibru, lochów podziemnych, zbójów mordujących nawet własnego ojca (Madej). Wybór naszych baśni ludowych jest co prawda bardzo obfity, gdyż, jak wiemy, w drugiej połowie wieku XIX nie brakowało u nas zbieraczy wątków ludowych, żeby wymienić choćby Berwińskiego, ks. Barącza (podania ruskie), Glińskiego (słynny „Bajarz polski"), Marcinkowskiego (baśnie ludu ukraińskiego), Siemieńskiego, Kolberga, Wójcickiego. Pisarzy dla dzieci, którzy czerpali z tych motywów — zaledwie zostały one uprzystępnione szerszej publiczności — można liczyć w końcu wieku XIX i początkach XX na dziesiątki, od nieudolnych bezimiennych przeróbek aż po symboliczne baśnie Bronisławy Ostrowskiej. Najbardziej płodnym w tej dziedzinie okazał się Or-Ot, który zasypał dzieci przeróbkami bajek ludowych opartych na najrozmaitszych wątkach, wśród których polskie szczególniej sobie upodobał; opracowywał je z właściwą sobie swadą i dosadnym humorem o wyraźnym posmaku staroszlachetczyzny.

Wypił, cisnął pusty dzban
Raźniej czartu po maimazji,
Nabrał siły i fantazji,
Toć ja szlachcic, toć ja pan!

— oto jedna z soczystych strofek o diable Borucie. „Polski zaklęty świat" był jeszcze przed paroma dziesiątkami lat najlepszym opracowaniem polskich wątków ludowych, choć skłonność do gawędziarstwa i zbyt łatwe przetapianie wszystkiego na częstochowskie rymy przesłaniały tendencję pedagogiczną. Literatura dla dzieci nie może być przestarzała, nic więc dziwnego, że poczciwego Or-Ota odłożyliśmy do lamusa. Dzisiaj mamy inne wymagania i wykorzystując polskie wątki ludowe kierujemy się daleko idącą ostrożnością. O ostrożności tej świadczy fakt, że wśród nowych wydawnictw kilka zaledwie opiera się na tej tematyce. W zbiorze Markowskiej i Milskiej znajduje się między innymi znana baśń Zmorskiego „O sobotniej górze", warta przypomnienia ze względu na motyw pełnej poświęcenia miłości synowskiej, następnie interesujące podanie góralskie o Morskim Oku i pełna żywej akcji bajka „O kmiotku Biedoklepie", w której co prawda chłosta wymierzona zrzędnej żonie nie należy do środków zbyt pedagogicznych. Należało by także znaleźć szczęśliwszą formę dla znanego dzieciom z domu i ze szkoły podania o Kraku i Wandzie niż rąbana, rytmiczna proza Kraszewskiego, gdzieniegdzie usiana niewybrednymi rymami, które tak oto opiewają zabicie Kraka przez brata: „Rzekł i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska, mieczem go rąbie na części, tnie go na drobne kawały i na rozstajach go grzebie" (znowu to krajanie trupów!). („Bajeczki Kraszewskiego zostały zresztą ostatnio wznowione przez M. Kowalskiego).

We wspomnianym wydawnictwie małych książeczek „Interprint" Magdalena Samozwaniec opracowuje powiastkę o panu Twardowskim, opartą na bajce ludowej „Pan Twardowski i jego pajączek" według Wójcickiego, w sposób spokojny i ostrożny, bez podkreślania momentów makabrycznych. Mimo to jednak historia o mistrzu handlującym własną duszą, jeśli ma być choć w przybliżeniu wierna właściwej treści, musi zawierać pewną dozę niesamowitości i tchnąć średniowieczczyzną, a tym samym dla dzieci młodszych, dla których na pewno te małe książeczki były przeznaczone — bynajmniej nie jest odpowiednia.

BAJKI WEDŁUG ANDERSENA

W innym zupełnie świecie rozgrywa się akcja baśni Andersena, które, czerpiąc w pewnej mierze z ludowych wątków, mają charakter literacki.

U ludzi należących dziś do starszego pokolenia wspomnienia baśni północnego pisarza kojarzą się z przesubtelnionymi ilustracjami Dulaka, na których snują się wiotkie królewny o przepaścistych oczach i królewicze o nienaturalnie smukłych palcach. Baśnie Andersena, choć powstały o kilkadziesiąt lat wcześniej, wywarły szczególnie doniosły wpływ na neoromantyczną twórczość dla dzieci z racji metafizycznego wnikania w duszę istot i rzeczy oraz charakteru symbolicznego. Nieobojętnym także czynnikiem był fakt, że autor najpospolitsze wydarzenia umiał przenieść w sferę najczystszej poezji; baśnie te mogły więc oddziaływać na psychikę dziecka samym pięknem, co szło po linii ówczesnych teorii pedagogicznych, które głosiły, że wartość bajki zależy nie od samego morału, nie od ukrytej alegorii, nawet nie od głębi myśli filozoficznej, lecz od stopnia zawartego w niej artyzmu (H. Stattlerówna). Wpływ baśni Andersena był przed paroma dziesiątkami lat niezwykle silny, zaś w okresie międzywojennym wychowawcy odnosili się do nich z pewną rezerwą.

Atmosfera baśni Andersena nie ma co prawda nic wspólnego z romantycznym światem upiorów i zjaw, nie jest przeniknięta niesamowitością i duchem okrucieństwa — nie znaczy to jednak, by była bliska pogodnej krainie dzieciństwa.

Wspomnienia, jakie dziecko wynosi z lektury tych bajek, są przejmujące i tragiczne. Wizja makabrycznego tańca lekkomyślnej dziewczyny w czerwonych trzewiczkach, jej kalectwo i śmierć, kościotrupy ozdabiające aleję w pałacu okrutnej królewny, odcięta, spływająca krwią głowa czarodzieja rzucona do jej stóp, straszliwy obraz mściwej dziewicy lodowców, która zabija bohatera i rzuca martwe ciało do nóg młodej narzeczonej, przejmujące dzieje syreny w ludzkiej postaci i matki poszukującej w ogrodzie śmierci duszy zmarłego dziecka — wszystkie te elementy zostawiają w psychice młodocianego czytelnika ślad niezatarty, emanujący po latach niesamowitym niepokojem. Dopiero starsza młodzież i ludzie dojrzali zdolni są odczuć poetycki czar baśni Andersena, ich filozoficzny smutek, ich tragizm w ujęciu rzeczy ziemskich, które „niesprawiedliwie są ustanowione zarówno dla psów jak dla ludzi" („Dziewica lodowców"), „ich mistyczne dążenie ku zaświatom drogą ciemną i trudną, nieskomplikowaną chyba tylko dla biednego idioty, piszącego list do Pana Jezusa..."

W sytuacji powojennej, która sprawiła, że bajki Grimma są poniekąd na indeksie, baśnie Andersena, niezbyt popularne w okresie międzywojennym — wypływają znów na światło dzienne. Ukazały się przeróbki bajek Andersena w opracowaniu Wazlowej („Nowa suknia cesarza", „Księżniczka na grochu" itd.), których omówić nie możemy z powodu braku egzemplarzy recenzyjnych, zaś ci sami autorzy, którzy opracowali bajki Grimma, w szerszym zakresie korzystają z wątków andersenowskich. M. Samozwaniec opracowuje „Królowę śniegu" (fabuła zasadniczo przekształcona: nie miłość dziewczynki ratuje brata, lecz czary królowej Wiosny), i „Okruszynkę" („Całóweczkę"), a Witold Zechenter wydaje obszerny zbiór bajek. (Andersen, „Bajki", wyd. M. Kota, Kraków, 1946, z ilustracjami J. Karolaka). Nie była to praca łatwa właśnie z racji obfitości wątków zbyt emocjonalnie wstrząsających i wkładek poetyckich, psychice dzisiejszego dziecka obcych. Autor na ogół trzyma się wiernie tekstu, wprowadzając jedynie zmiany zmierzające do uprzystępnienia bajek współczesnemu dziecku. Zmiany te są przeważnie szczęśliwe, np. uproszczenia fabuły przez usuwanie filozoficznych rozmów (opowieści kwiatów w „Królowej śniegu") lub fragmentów zbyt realistycznych (opis pogrzebu w „Towarzyszu podróży"); autor w nieuchwytny sposób „udziecinnia" i przesyca humorem język oryginału (spieszczona mowa dziecka w „Nowej sukni cesarza", „dobre serduszko" brzydkiego kaczątka itd.) i wreszcie w zabawny sposób podkreśla hierarchię dworską (w „Królowej śniegu").

W wyborze zostały słusznie pominięte takie bajki jak „Dziewica lodowców", „Ogród rajski", „Czerwone trzewiczki", lecz niesłusznie pozostawiono takie jak „Cieplarnia śmierci" w założeniu tragiczna, zbliżona do jakiegoś średniowiecznego misterium, i „Towarzysz podróży", w którym piękne momenty idą w parze ze zbyt sugestywnymi obrazami wyrafinowanego okrucieństwa. Bajki wydane starannie stanowią niewątpliwie pozycję dodatnią jako lektura dla dzieci starszych, lecz i one powinny czytać pod kierunkiem, by mogły w pełni zrozumieć ich sens filozoficzny i poetyckie piękno.

Na wątkach ludowych północnych opierają się także omawiane już na tym miejscu „Baśnie lapońskie" w opracowaniu Walczakowej.

Ten przegląd wątków baśniowych i prób wykorzystania ich na nowo w dzisiejszej dobie miał wykazać, że w wyborze bajek dla dzieci (którego sporządzenie — zwłaszcza dla dzieci młodszych — należy istotnie do najpierwszych potrzeb) autorzy nie powinni się kierować antagonizmami narodowościowymi ani innymi względami, które mogłyby zamknąć jakiekolwiek nadające się do wyzyskania źródła. Dzieci, właśnie dzieci całego świata, które nie znają jeszcze antagonizmów i barier dzielących człowieka od człowieka, stanowią jedną wielką rodzinę i winniśmy uprzystępnić im ludowe wątki wszystkich narodów, kierując się jedynie ich użytecznością pedagogiczną i zawartym w nich urokiem prostoty.

Krystyna Kuliczkowska

Parlament bez większości

Otto Bauer scharakteryzował okres bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej jako okres, w którym „żadna klasa nie ma dość siły, by rządzić innymi klasami i dlatego wszystkie klasy muszą dzielić między siebie i łącznie władzę państwową". Wcześniej jeszcze Engels wskazywał na okresy, „gdy walczące klasy są tak bliskie wzajemnej równowagi, iż władza państwowa, jako pozornie pośrednicząca, zyskuje chwilowo pewną samodzielność wobec obu". Tego rodzaju układ sił społecznych musi mieć swoje odbicie polityczne. Jego politycznym wyrazem jest parlament, w którym żadne stronnictwo nie ma większości. I oto — mamy obecną sytuację.

Występuje ona jaskrawo we Francji, w Belgii, we Włoszech i w Niemczech. Jej dalszą konsekwencją w krajach rządzonych parlamentarnie jest trudność utworzenia rządu. Rząd musi być koalicyjny. Ale rządzenie w okresie powojennych zniszczeń gospodarczych i w okresie kryzysu społecznego — to zawsze ryzyko, że rządzący przegra następne wybory. Dlatego współrządzące czy pretendujące do współrządów grupy polityczne starają się na siebie wzajem przerzucić odpowiedzialność. Gdy jedna z grup (we Francji np. komuniści) proponuje drugiej (np. socjalistom) ustalenie wspólnego programu — słyszy odpowiedź: sformułujcie wy najpierw! Cel takiego postawienia sprawy jest jasny: chce się, by w przyszłości można było powiedzieć wyborcom — to nie my, to oni wysunęli te a te punkty wspólnego programu, oni za nie odpowiadają.

Wspólne rządzenie przy braku jednolitej większości w parlamencie prowadzi więc w czasie wewnętrznych trudności gospodarczych zawsze do tego, iż solidarność współrządzących pryska wobec wyborców, nie tylko w chwili wyborów, ale już na myśl o wyborach. Na tym tle staje się zrozumiałe tak częste po wojnie zjawisko: wspólna lista wyborcza tych grup, które współrządziły przed wyborami, lub mają zamiar to robić po wyborach. Wspólna lista nie musi być ucieczką przed odpowiedzialnością wobec wyborcy, ucieczką przed tym, by wyborca mógł się policzyć z każdym ze współrządzących z osobna za to, jak rządził. Wspólna lista może mieć i inny cel: niedopuszczenie do wzajemnego przerzucania na siebie odpowiedzialności za to, za co odpowiada się wspólnie, niedopuszczenie do wzajemnego nielojalnego licytowania się w popularnym argumencie opozycji wobec tego czy innego szczegółu rządzenia. W pewnych przejściowych sytuacjach jest ona jedyną możliwością uzyskania większości zdolnej do rządzenia, jest jedyną możliwością utrzymania walki politycznej stronnictw w granicach choćby minimalnej lojalności wzajemnej. Jest zjawiskiem przejściowym, tak jak i jej podłoże: powojenne trudności gospodarcze i polityczne, chwilowa równowaga sił klasowych. W przejściowych, a więc niezwykłych okresach i metody rządzenia nie mogą być zwykłe.

Wspólna lista marksistowska była koncepcją komunistów francuskich. Rezultat wyborów okazał, że w razie wspólnej listy socjaliści i komuniści mieliby blisko o 40 mandatów więcej, a więc posiadaliby większość w Izbach i byliby zdolni do utworzenia rządu. Obecnie dłuższy już czas Francja nie może utworzyć rządu. Odwołano się do Leona Bluma. Czy jednak i ten, nieraz utopijny mąż stanu potrafi dziś zorganizować trwałą koalicję?

Wybory rumuńskie — to były wybory na podstawie bloku stronnictw. Dały blokowi tak ogromny procent głosów, że fakt ten mógł budzić wątpliwości. Ale — oddajmy głos umiarkowanemu, pełnemu rezerwy i ostrożności dziennikowi francuskiemu „Le Monde", potomkowi przedwojennego „Le Temps": „Rząd ożywiony najlepszymi chęciami przeprowadzenia sprawiedliwości i odbudowy socjalnej — spraw w Rumunii dość nowych... Maniu i Bratianu... są zapewne odważnymi patriotami ale ich zmysł społeczny pozostawia wiele do życzenia, jak to wykazała historia przedwojenna." I rozsądni prawicowi publicyści Zachodu nie widzą dla Rumunii innej możliwości realnej i zgodnej z racją stanu — prócz obecnego rządu i obecnej koalicji.

Powojenne społeczeństwa Europy są chore, są histeryczne. Wyzyskanie chwilowej histerii społeczeństw jest zawsze, na krótką metę, dobrym interesem partyjnym. Wybory zaś w swoim założeniu są przemawianiem do rozsądku społeczeństwa. Jak przemawiać do rozsądku histeryka? Oto problem zasadniczy obecnego momentu w Europie.

Konstanty Grzybowski

Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc"

I

Zamierzał Otwinowski utrwalić literacko bohaterski zryw Żydów małego miasteczka. Piękny zamiar, lecz aby mógł mieć wartość obywatelską i literacką, trzeba było bohaterów ukazać, to chyba dla każdego jasne, trzeba było ukazać ich ludzkie jakości, trzeba było ukazać, jeśli nie stopniowe kiełkowanie postanowień, to przynajmniej zarysować ostateczną psychikę, z której nagle miały trysnąć źródła mocy. O tej oczywistej konieczności Otwinowski wcale nie pomyślał, nie dał nam poznać a n i j e d n e g o z o wych bohaterów, a ich przywódcę przesunął przez Prolog, wyłącznie przez Prolog, więc na p i ę ć lat przed dokonaniem bohaterskiego czynu, przesunął go niemal migawkowo, jak to się czyni z figurami epizodycznymi! Wszystko, co o tych ludziach wiemy, wiemy nie z ich udziału w dramacie, lecz z relacji osób trzecich! Tak potraktowany jest temat centralny!

Znamienne: z e w n ę t r z n ą stroną boju Żydów z Niemcami zajmuje się Otwinowski — jak na niego — szczegółowo. Krzyk, śpiew, strzały, odgłosy walki, pożar, topografia ruchów — to wszystko jest dla niego ważniejsze niż psychika walczących. Narzuca oczom i uszom widzów wszystkie p o s p o l i t e środki batalistyki teatralnej, złudnie mniemając, że nada tym utworowi teatralność.

I znowu znamienne: ten tak troskliwie potraktowany zewnętrzny przebieg boju nie otrzymuje odpowiedniego wpływu na przebieg następnego — ostatniego! — aktu. Dwie główne jego postacie, Stanisław Łaski i Ewa Freudówna, zachowują się tak, jak gdyby ów bój nie był dla nich przeżyciem, a przecie stały bardzo blisko niego przestrzennie i psychicznie; żadnym wpływem nie zaznacza się on na ich działaniach czy postanowieniach działań; z wyjątkiem finałowej wypowiedzi Łaskiego (o której — później) oboje, choć mówią o wszystkim, nie mówią nic o tym, co było w poprzednim akcie. Autor nie widzi konieczności wiązań dramatowych.

Te przykłady wystarczają, aby zaświadczyć, że obce jest Otwinowskiemu ujmowanie ludzi i zdarzeń kategoriami dramatu, że nie myśli on tymi kategoriami.

Pada on ofiarą złudzenia, że, aby powstał dramat, wystarczy dwu lub trzem postaciom kazać na scenie mówić. Nie celuję tu bynajmniej w rozmiar miejsca, jakie we „Wielkanocy" zajmują rozmowy, lecz w ich funkcję. W wielu dziełach nowszej literatury dramatycznej obserwujemy rozrost rozmów kosztem akcji, ale rozrost ten nie przeczy n a t u r z e dramatu, przeciwnie: wynika z niej i tylko przystosowuje ją do nowoczesnej psychiki widzą. Pod wpływem nowych nakazów życia i nowych sugestyj nauki, polityki, powieści — człowiek nowoczesny wymaga, aby działania, o których ma wydać sąd, podane mu były z jak najbardziej przekonywającą przyczynowością, i to właśnie prowadzi do rozrostu rozmów, bo mają one bardziej przekonywająco, niż dawniej, zawrzeć w sobie przyczyny przyszłych działań, a — poprzez omawianie działań już dokonanych — częściowo przyczyny następnych. W utworach tego typu postulat żywej akcji ustępuje miejsca postulatowi akcji uzasadnionej. Utwory skrajnie nierealistyczne — przekształcające rzeczywisty bieg zdarzeń — jeśli nie są tylko kaprysem — przynoszą nową przyczynowość działań, zgęszczając przyczyny nierealistycznie, ugniatając je w kłębki nici. Zresztą dobra rozmowa może w dramacie sama przez się być działaniem, może poprzez myślowe spięcia i rozwiązania prowadzić do wypowiedzi, które działają jak uderzenie w twarz lub uścisk po sporze. W „Wielkanocy" nie ma rozmów dramatycznych ani dramatowych — jest gadanina.

II

Z niewyczuwania natury dramatu, z niewyczuwania funkcji rozmów dramatowych rodzi się u Otwinowskiego skłonność do dywagacyj dialogowych, a wraz z nią skłonność do lekkomyślnego rzucania wielkich syntez nie związanych z przedmiotem utworu.

Łaski mówi: „W społeczeństwie, które rozpoczynało i kończyło wszystko w imię instynktów, próby reform były bezowocne. Dobrze, jeśli górę mieli ludzie o instynktach dobrych. Ale czasami i źli byli właściwie dobrzy. Zło ich czynu wywodziło się z głupoty, niemożności odróżnienia, przeprowadzenia analizy". Twardowski potakuje i — wskazując na swój rękopis o Arianach i Kołłątaju — mówi: „Tutaj dwa usiłowania i dwie okazje do stworzenia zawodowej inteligencji w Polsce. Bo poza tym była tylko improwizacja i amatorstwo..." Musi dziwić, że Otwinowski, który ideami ogólnymi skąpo oświetla k o n k r e t-

PRZEGLĄD PRASY

W „T w ó r c z o ś c i" na jeden tekst chciałbym zwrócić szczególną uwagę: na „Odczyt dla Amerykanów" **Rogera Vercorsa**, przetłumaczony z paryskiej „Europe". Utwór ten pod bezpretensjonalnym tytułem, na pozór niemal dziennikarski, jest wszakże jedną z najsilniejszych wypowiedzi, jakie mogłem poznać w sprawie „atomowego" dramatu ludzkości. Albo przywrócimy szacunek dla życia ludzkiego, albo zginiemy — powiada Vercors — bo nie może być trwałym pokój oparty na lęku; a zginiemy wszyscy, ponieważ „przeznaczenie ludzi jest jednym blokiem."

„Nie rozdziela się poszanowania człowieka od poszanowania jego życia." Vercors przypomina walkę całego świata o życie dwu oskarżonych w Bostonie, zgrozę całego świata na wieść o uśmierceniu dziecka pewnego lotnika. Póki nie przywrócimy norm etycznych humanitaryzmu — wszyscy bez wyjątku będziemy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Vercors ogłosił swój kassandryczny manifest w marcu br. Spójrzmy na obraz czasu, który od owego marca upłynął w kraju nad Wisłą: zza węgła czyha kula politycznego wroga, z lasów wynurzają się masowi mordercy, rozszalały tłum katuje obcoplemiennych rodaków... A czyż tak jest tylko w Polsce, czyż nie patrzymy obojętnie na krew w Chinach, Indonezji, Palestynie, na dzieło Ku-Klux-Klanu, frankistów, odradzającego się faszyzmu?!... Vercors pisze wiele o bombie atomowej. Ale w marcu nie było jeszcze nawet szantażu na Bikini... Ratunek? w pacyfizmie narodów, które by „powstrzymały rządy"? Vercors zdaje się wierzyć w skuteczność tej możliwości — niepomny, o co się rozbił powszechny, emocjonalny pacyfizm powersalskiego typu. Poza jednym państwem nigdzie nie dokonano rewolucji, a pacyfizm — w miażdżących trybach sprzeczności klasowych i imperialnych — okazał się zaiste drewnianą osłoną przeciw bombowym pociskom. Dziś, zgodnie z nauką Hegla, po raz drugi otwarła się dla ludzkości szansa, zmarnowana w Wersalu i po Wersalu. I oto znowu pierwsi stanęli do apelu bankierzy. Ci przerażający „uczniowie czarnoksięscy" są zachwyceni, że mogą żonglować, jak chcą, samsoniczną potęgą nauki. Bronimy się. Ale jakże trudno, jakże opornie toruje się drogi ocaleniu. A czas nagli, czas nagli...

Nauka nie poddaje się woli pieniądza? W wakacyjnym numerze „Ż y c i a N a u k i" pisze **Mieczysław Choynowski:** „Uczeni zdają egzamin na celująco wszędzie tam, gdzie się ich wzywa — w technice, medycynie, rolnictwie. Zdaliby go również w organizacji życia zbiorowego i wychowaniu człowieka, gdyby im te zadania oddano w ręce. Wtedy by się nauka naprawdę stała wielkim wychowawcą ludzkości". Apologia Choynowskiego klasycznie, niestety, miesza wartość uzdolnień teoretycznych z zastosowaniem w praktyce. Joliot, Oliphant, Einstein ostrzegają i grożą, ale naukowe ekspedycje w poszukiwaniu uranu krążą od Arktydy do Antarktydy. Uczeni, i to zresztą tylko w ograniczonym zakresie, okazują się kierownikami społeczeństw, o ile chodzi o wyścig odkryć. Dać im prawo rządzenia? „Vierundvierzig Professoren — Vaterland du bist verloren" krążył po Niemczech „wiosny ludów" slogan, gdy profesorowie zapragnęli uprawiać politykę i wziąć na swe wątłe barki rządy doczesne. Nauka jest analizą i poszukiwaniem, uczony stroni od decyzyj i byłby bezradny wśród wielkich społecznych wymagań doby współczesnej. Uczony jest twórczy, śmiały, postępowy w zakresie, który mu odpowiada: badań naukowych. W ogłoszonym przez „Życie Nauki" artykule **Watsona Davisa**, profesor, z właściwą anglosasom umiejętnością jasnego i ścisłego formułowania myśli, wylicza jako najważniejsze badawcze zadania nauki na okres najbliższy: problemy przedłużania życia, walki z wirusami, zdrowia psychicznego, fotosyntezy, protoplazmy, automatyzacji, mózgu świata, budowy wszechświata, poszukiwań dalszych pierwiastków i wreszcie porozumienia psychologicznego. W programie tym mieści się wszystko: także i doświadczenia na Bikini i tysiąc specjalistów rakietowych, przewiezionych z Niemiec do Arizony i Australii. O międzynarodową kontrolę nad bronią atomową walczą inni — niektórzy praktycy polityczni. Bo od słów do czynów droga daleka.

Daleka jest ta droga w programie Barucha. Od wniosków Mołotowa w sprawach rozbrojenia daleko do ich przyjęcia przez innych. W skupiającej tyle spraw polityce Watykanu daleko od teorii do praktyki. Zwróćmy uwagę na polski odcinek tej polityki papiestwa. Pobyt kardynała Hlonda w Rzymie zbiegł się z głośnym wywiadem w sprawie stosunku kościoła do państwa, udzielonym „R z e c z p o s p o l i t e j" przez Prezydenta Bieruta. Znamienna jest odpowiedź obu naczelnych organów episkopatu polskiego na zaznaczone w wywiadzie wyciągnięcie ręki. Z kurii Książęco-Metropolitalnej w Krakowie ograniczono się („T y g o d n i k P o w s z e c h n y", nr 49) do krótkiego oświadczenia, zakończonego ostrożną formułą, że istnieją dane, „które mogłyby z czasem, przy dobrej woli obydwóch stron, doprowadzić do pewnego uzgodnienia stanowisk". Należy przyznać, że spośród obu „wysokich układających się stron" Watykan jest i będzie w lepszej sytuacji niż Warszawa; jakkolwiek bowiem jego polityka często nie pokrywa się z interesami państwa polskiego (stosunek do Ziem Odzyskanych), posiada on w episkopacie niewzruszone oparcie, podczas gdy państwo nasze nie znajduje w hierarchii kościelnej tak mocnych obrońców swoich uprawnionych interesów, jakich miewały w swojej historii inne narody katolickie.

Z kurii prymasowskiej zabrał głos ks. **Zygmunt Kaczyński** („T y g o d n i k W a r s z a w s k i", nr 49). Jego agresywny artykuł posiada takie sformułowania, jak „szczytem wszystkiego jest ustawa małżeńska (polska), jakiej równej nie ma w świecie", „stosunki między Kościołem i Państwem nie układają się (w Polsce) pomyślnie i szczęśliwie"... Na historycznie udowodniony zarzut germanofilstwa Watykanu ks. Kaczyński odpowiada z wysoka, że „zarzuty te są gołosłowne", czego dowodem mają być dokumenty, ogłoszone przez Stolicę Apostolską; wiemy, że i one z czarnego nie zrobiły białego. Ks. Kaczyński idzie dalej: „po pierwszej wojnie światowej też zarzucano Watykanowi germanofilstwo". Po co wywoływać te duchy? Przecież jest historycznie stwierdzone, iż oględna polityka Watykanu, popierająca hasło „bez aneksji i odszkodowań", w praktyce tylko pokonanym Niemcom mogła wyjść na korzyść. Wreszcie zarzut „zamieniania ambon w trybuny walki politycznej" usiłuje ks. Kaczyński odeprzeć argumentem, że „przedstawiciele naszych władz na prowincji — zazwyczaj najniżsi funkcjonariusze policyjni (tak!) — nie zrozumieli dokładnie kazań i opacznie je referowali władzom przełożonym". Jak wiadomo, kazania niedzielne to nie są na ogół wieloznaczne, filozoficzne dysertacje.

W dyskusji ze stanowiskiem episkopatu, szeroko przeprowadzonej przez dzienniki i tygodniki, zwrócił uwagę jednomyślny akcent zgodliwości i woli porozumienia. Jest też rzeczą charakterystyczną, iż jedynym czasopismem, które nagląco głosi „hasło rozdziału kościoła od państwa" i „całkowitą laicyzację życia publicznego w Polsce" jest mało znany dwutygodnik Stowarzyszenia Myśli Wolnej „G ł o s W o l n y c h", o którym trudno się nawet dowiedzieć, czy w dalszym ciągu wychodzi; pismo zadzierżyste, popularne, z odcieniem pewnego prowincjonalizmu (red. **J. P. Kobyłecki**).

Tymczasem kardynał Hlond odbył rozmowy z kierownikami polityki watykańskiej i prefektem Kongregacji Obrządku Wschodniego, i zdaniem „New York Post", pracuje nad wznowieniem stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Polską.

jaszcz

ne sprawy „Wielkanocy", zasypuje nas nimi w harcach poprzez stulecia. Ta sprzeczność jest jeszcze jednym przejawem bezzwiązkowości utworu. Autor nie uświadamia sobie schodzenia na bezdroża. Ostatecznie i one mogą interesować, jeśli prowadzą do wartościowych wyników myślowych (choćby nawet te wyniki miały zawierać najostrzejszą krytykę dziejów własnego narodu) — czynią jednak wrażenie przykre, gdy prowadzą do syntez z takimi twierdzeniami jak te, że źli byli czasami dobrzy, a gdy byli źli, to z amatorstwa i z improwizatorstwa, z niemożności (z nieumiejętności?) odróżnienia i przeprowadzenia analizy, jako że umiejętność odróżniania (nie wiadomo czego) i umiejętność przeprowadzania analizy (nie wiadomo czego) jest tylko przywilejem inteligencji zawodowej!

Jaskrawym zespoleniem twierdzeń dwu syntetyków „Wielkanocy" pragnę Otwinowskiego odstraszyć od swawolnego zapuszczania się na tereny, na których — szukając laurów — natknąć się może na chichoty.

III

Tereny Otwinowskiego leżą gdzie indziej:

Ewa Freudówna, wiedząc już, że jutro lub pojutrze wszyscy Żydzi miasteczka mają być przez Niemców zlikwidowani, przybiegła do dobrego znajomego swej rodziny, doktora Przypkowskiego, z prośbą, której nie umie określić i którą — dzięki prawdziwości autora — wypowiada przerażająco: „Przyjmiemy każdy sposób". Każdy sposób wyratowania. Doktór, znana figura miasteczka — rozumiejąc, że choćby ukrył ją w swym domu, nie zapewni jej bezpieczeństwa — doradza ucieczkę, a ona: „Dokąd? Dokąd?" Siciński przekonywa ją, że ucieczka otwiera przed nią możliwość znalezienia bezpiecznego miejsca i że powinna uciekać pośpiesznie, a ona tylko: „Dokąd? Dokąd?" Utrwalenie tego pytania, w którym wyraża się najstraszliwsza może tragedia Żydów, przynosi Otwinowskiemu zaszczyt, a jeśli w naszej literaturze jest pierwszym, który je utrwalił, trzeba mu jeszcze przyznać dar wyjątkowy, pamięć wspomaganą dobrym sercem, bo z wielu wstrząsających wyrazów wojny, zanim rozwieją je wichry, ocalił jeden z tych, które najbardziej zasługują na to, by pozostać, by trwać.

Niestety świetność tego szczegółu okolona jest lekkomyślnie. W stworzonej przez siebie sytuacji nie dostrzegł autor innych świetnych możliwości, nie dostrzegł ich, bo nie myśli kategoriami dramatu. Przybywając do doktora Przypkowskiego powinna Ewa Freudówna być dla nas postacią zupełnie nieznaną, i to, co ją i jej rodzinę łączyło z gospodarzem domu, to, na czym opierała nadzieję znalezienia tu pomocy, to, co ją onieśmielało, to, co w ostatnich dniach przeżyła i co uczyniło ją taką, jaka jest w tej właśnie chwili, kiedy wkracza w dom dobrego człowieka — to wszystko powinno stopniowo rozwijać się przed nami. Oczywiście musiałby wtedy odpaść Prolog. Niechby odpadł. Stratę tę powetowałby sobie autor sowicie wprowadzeniem ładunku przeszłości w rozgrywającą się teraźniejszość. Powstałaby głęboka przesłanka dramatu. Dramatu Żydów i dramatu Polaków. Ponadto wytworzyłaby się sytuacja, która mogłaby stać się dla autora podnietą do wzbogacenia Freudówny rysami bardziej szczegółowymi, do skonkretyzowania jej postaci, a przydałoby się to bezbarwnej figurce, jaką jest ona obecnie.

W Stanisława Łaskiego wplótł Otwinowski nerw strachu, wplótł go interesująco, ale i poplątał. Jeśli Łaski ma mieć psychologiczną spójnię, trzeba by widzieć go chyba tak: Boi się, boi się nieustannie; ta nieustanna bojaźń rodzi w nim pragnienie, żeby w s z y s c y mogli bać się o t w a r c i e; takie upowszechnienie strachu zrównałoby sytuację wszystkich, podniosłoby moralność wszystkich; to zaś z kolei wytworzyłoby atmosferę, w której łatwiejsze byłoby p r z e c i w d z i a ł a n i e strachowi; w końcu może doprowadziłoby to do tego, że ludzie nie uchylaliby się od spełniania swych moralnych obowiązków, i postawieni przed nimi nie szukaliby wyjść czy ucieczek. Bardzo interesujące. Nie, mniej interesujące jest to, co następuje potem. Łaski, który w czasie, gdy Freudówna prosiła o ratunek, tchórzliwie absentował się w sąsiednim pokoju, jednak przełamuje swój strach. Przemianę tę analizuje Otwinowski z dokładnością i prawdziwością, które również przynoszą mu zaszczyt. Znajduje cztery podniety przemiany: wstyd, opanowujący tchórzostwo, wpływ osobistego uroku idealisty, niechęć do typu ludzkiego, jaki reprezentuje nacjonalista, pragnienie miłości mającej wnieść w grozę wojennego życia poezję grozy. Bardzo interesujące. Jeśli Łaski zdołał przemóc swój strach, to dlatego, że pod wpływem działających na niego podniet uległ wartościom ludzkim, które miały podtrzymać wartość jego własnej osobowości. Bardzo interesujące. Wśród czterech podniet jego przemiany nie było wcale współczucia dla Żydów. Bardzo interesujące.

LUDWIŻANKA w roli Ewy Freud

Niestety źle obszedł się Otwinowski z interesującymi rysami, które znalazł w Łaskim. Świetnie zanalizowanej przemiany nie przeprowadził, a tylko podał ją w wyznaniu, i to tak spóźnionym i tak niewypostaciowanym, że przemiana ta, z natury swojej zasobna w dramatowość, a nawet w dramatyczność, nie ma w „Wielkanocy" nic z dramatu. Gubi też Otwinowski sens tej przemiany w finałowych wypowiedziach Łaskiego, gdy — ni stąd ni zowąd — każe mu wielbić lud żydowski małego miasteczka za to, że „wyszedł naprzeciw kościuszkowskiej tradycji", i gdy równocześnie każe mu mówić z przekąsem o Polakach, jako że we Wielkanoc „lubią nade wszystko dobrze zjeść, pośmiać się, nie myśleć i nie pamiętać". Pomijam tu obiektywną bezpodstawność tego kontrastu; pomijam nawet sprzeczność, jaką autor popełnia w stosunku do samego siebie, skoro w akcie drugim ukazał nam Polaków, i to bezimiennych, którzy gorączkowo biegli na ulicę Zieloną, aby wziąć udział w toczących się tam bojach żydowskich; zwracam tu tylko uwagę na nieorganiczność p s y c h o l o g i c z n ą, popełnioną w stosunku do postaci Łaskiego, bo jakżeż ten człowiek strachu może w Warszawie, w tej samej Warszawie, w której bał się nieustannie, jakżeż ten człowiek strachu przełamanego na razie tylko w odniesieniu do Ewy Freudówny, może o Żydach i Polakach mówić tak, jak mówi! Ten Łaski finałowy nie wynika organicznie z Łaskich poprzednich. To tak jak gdyby blondynowi przylepiono wąs bruneta. Otwinowski, w błędach bliski Świrszczyńskiej, popełnia tutaj ten sam błąd, który popełnia ona przy rozwijaniu Orfeusza, Persefony i Menad.

IV

Woźnik, reżyser przedstawienia, postąpił słusznie, odstępując od tekstu książkowego w miejscach najbardziej drażniących. Byłby był postąpił jeszcze słuszniej, gdyby był autorowi doradził przeniesienie we wnętrze mieszkaniowe tematów wetkniętych w ulicę; autora mogłoby to pobudzić do pogłębienia głównych osób i ich wzajemnych stosunków, a reżysera zwolniłoby od kłopotu ożywiania martwych przechodniów ulicznych.

Nie wymodelowane postacie główne uwypuklają się nieco dzięki rozumnym staraniom pp. Ziembińskiego, Macherskiego i p. Ludwiżanki. P. Modrzewski pojmuje Twardowskiego jako małomiasteczkowego bzika i w tym ograniczeniu podaje go udatnie. Na p. Mrożewskim, odtwórcy Łaskiego, można obserwować następstwa błędów autorskich; postać, źle przez autora rozwijana, wcale nie jest rozwijana przez aktora. Jedną z trudności, przed jakimi stawia aktorów „Wielkanoc", jest jej mowa, która — choć wolna od literackości i niejeden szczegółik wydobywająca wprost z życia — zatraca naturalność w wielu wypowiedziach zniekształconych błędnym układem wewnętrznym. Wypowiedzi, których układ nie wywodzi się ani z logiki myśli, ani z psychologii wzruszeń, nie dają się budować aktorsko.

Sceniczne konstrukty Stopki tkwią w przestrzeni racjonalnie i — co na naszych scenach rzadkie — mają na ogół racjonalne barwy. Przykry wyjątek: domy w głębi Prologu.

Zakulisowa muzyka współbrzmi z nastrojami... zakulisowymi.

Tadeusz Peiper

„Homer i Orchidea" na scenie gdyńskiej

20 listopada Teatr Miejski „Wybrzeże" w Gdyni wystawił na inaugurację sezonu prapremierę sztuki T. Gaycego-Topornickiego „Homer i Orchidea", w inscenizacji i reżyserii Iwo Galla, w oprawie plastycznej S. Łuckiewicza, muzycznej E. Dziewulskiego, z udziałem zespołu w osobach: M. Maciejewskiego (Homer), Z. Perczyńskiej (Orchidea), R. Stankiewicza, B. Pawlika, K. Łaszewskiego, M. Górkiewicza, R. Muchy, J. Ćwiklińskiego, M. Bogurskiej, W. Kałuskiego, L. Benoit, W. Kwaskowskiego, I. Wilczyńskiej, L. Wytysińskiego, Z. Ankwicz, J. Szpunara, A. Świderskiej, C. Bartyzel, A. Jareckiej, J. Karczewskiej, R. Kossobudzkiej, E. Krasiejko, B. Kraftówny, H. Sewera, J. Szydłowskiej, M. Zbyszewskiej, L. Goreckiego, A. Kobylińskiego.

Na pierwszym planie: ~~WITOLD KAŁUSKI i IZA WILCZYŃSKA~~

Przedstawienie jest godne uwagi.

Ilekroć myślę o Gaycym, przypomina mi się Mieczysław Romanowski. Słowem ostatecznym obu była śmierć na polu walki. Los pozostawił ich w takim miejscu, w którym poezja, jeśli jest szczera, musi się stać czynem.

Pomysł „Homera i Orchidei" mógł się zrodzić tylko na glebie okupacji: jest genetycznie związany z walką konspiracyjną.

Utwór Gaycego można by nazwać poematem o śmierci. Jej stygmatem naznaczony jest od początku. Ale mimo to nie zawiera miazmatów rozkładu. Tchnie afirmacją. Bóstwo jest właściwym promotorem akcji. Sądu nad Homerem i Orchideą dokonuje wioska zagitowana przez Eutyfrona w imię obrony świętości religii. Homer i Orchidea idą na wygnanie. Orchidea umarła w Atenach, czy Homer wrócił — nie wiemy, bo jak mówi znany dwuwiersz grecki:

„spiera się siedem miast o zaszczyt
wydania Homera —
Smyrna, Rodos, Kolofon, Salamis, Chios,
Argos, Ateny."

Jednak Homer otrzymał pełną satysfakcję. Za cenę ukochanej i wzroku okupił wsławienie wioski rodzinnej i całej Hellady. Jego ofiara nie poszła na marne. Homer jest głęboko, po ludzku nieszczęśliwy, ale nie tragiczny. Tragiczny jest bohater, który ginie szukając sposobu ocalenia swojej indywidualności. Homer był poświęcony Słonecznemu od dzieciństwa. Był wrażliwy na piękno, zdolny i chętny do wyrażania go w słowach. Cierpiał z powodu utraty wzroku, a nie z powodu zmiany losu rybaka na los poety. Zniewagę Słonecznego przypłaciła Orchidea śmiercią. Śmierć Orchidei osłabia tragizm Homera. Wiara w Ananke — to wiara w ślepe działanie prawa moralnego. Jeśli winny uniknie kary, to jego winę musi okupić niewinny. Ale Homer przecież postradał wzrok. W sztuce Gaycego zarysowują się jakby dwa dramaty: o Homerze i o Orchidei. Powiązanie ich legendą o Homerze spowodowało pewne wykrzywienie konstrukcji, tzn. zrezygnowanie z kompozycji zwartej na rzecz luźnego montażu obrazów.

O sztuce Gaycego krążyła wieść, że jest piękna, ale niesceniczna. To nie zraziło Galla, a kto wie, czy nawet nie zachęciło. Zawarte potencjalnie w sztuce Gaycego rytm, dźwięk, kolor i nastrój nadają jej duże wartości teatralne. Dokonawszy pewnych zmian w topografii scenariusza, Gall rozbudował i uzupełnił partyturę nastroju.

Ogólna koncepcja inscenizacyjna jest jasna i przekonywająca. Nad losami bohaterów wisi niebo wieczyście pogodne, milczące i zagadkowe, jak kamienna maska Słonecznego. Pod nim w różnorakim kształcie jawi się patos, ale taki, jakim go rozumieli Grecy: wzniosły ból pokazany w prawdzie fizycznej. Wszakże i autor postaciom swoim, wywołanym z legendy, kazał cierpieć jak ludziom.

W książce pt. „Budowniczy tła scenicznego" pisze Gall: „podczas czytania i analizy utworu powstaje jego idea plastyczna, związana zazwyczaj z jakąś barwą". Jest taka barwa zasadnicza w inscenizacji „Homera i Orchidei": słoneczno-żółta. Ten pogodny koloryt jest wyrazem afirmatywnej intencji utworu i klimatu Grecji.

Dekoracje ograniczył ich twórca S. Łuckiewicz do niezbędnych akcentów topograficznych i architektonicznych. Morze w pierwszym obrazie zlewa się z rozległym horyzontem. Obraz drugi przedstawia wnętrze świątyni, a właściwie sam naos, pronaos zastąpiono widownią. Plamą centralną tego obrazu jest nadnaturalnej wielkości posąg Słonecznego, wzorowany na podobnym z Tenei, dzieło artysty Potrawiaka. Wyniosłe kolumny doryckie ginące w fartuchach i czarne kotary potęgują wertykalność świątyni. Nierówna kondygnacja podłogi w akcie trzecim ułatwiła inscenizatorowi efektowne rozplanowanie tłumu. Biesiada odbywa się na podwyższeniu, scena z tłumem poniżej. Ta różnica poziomów wyobraża również intelektualną różnicę punktów widzenia między wioską a przyjaciółmi Homera. W momencie, gdy miesza się w sprawę kapłan, część tłumu wchodzi na podwyższenie, co jakby sankcjonuje wyrok gromady. Śmierć Orchidei pokazana w plenerze przestaje być tylko tragedią rodzinną i nabiera znaczenia ogólnoludzkiego. Kolory kostiumów, zamknięte w obrębie palety antycznej polichromii, świetnie harmonizują z bryłą. W obrazie trzecim marmurową biel architektury kazi ponurym refleksem ciemnobrązowa sieć rybacka rozwieszona na ścianie. Koloru sieci są chlamidy Homera, jego ojca i kapłana Apollina. Kolor został tu użyty jako zapowiedź nastroju i wyznacznik tragizmu postaci.

W każdej twórczej inscenizacji są momenty szczytowe, w których rodzaje efektu teatralnego zacierają się i słowo można zastąpić muzyką, nastrój kolorem, kolor dźwiękiem. Wtedy ten pozorny chaos staje się najprostszą, najbardziej zrozumiałą polifonią. W inscenizacji „Homera i Orchidei" zapamiętałem dwa takie momenty: pęknięcie struny w formindze Homera i śmierć Orchidei. Tu interweniowała muzyka — piękna kompozycja E. Dziewulskiego wsparta gamą antyczną. Inscenizacja Iwo Galla syntetyzuje działanie dźwięku, barwy i architektury. Daje widzowi zaspokojenie estetyczne i pewność, że przeżycie teatralne jest odrębne od wszelkich innych przeżyć.

Kazimierz Barnaś

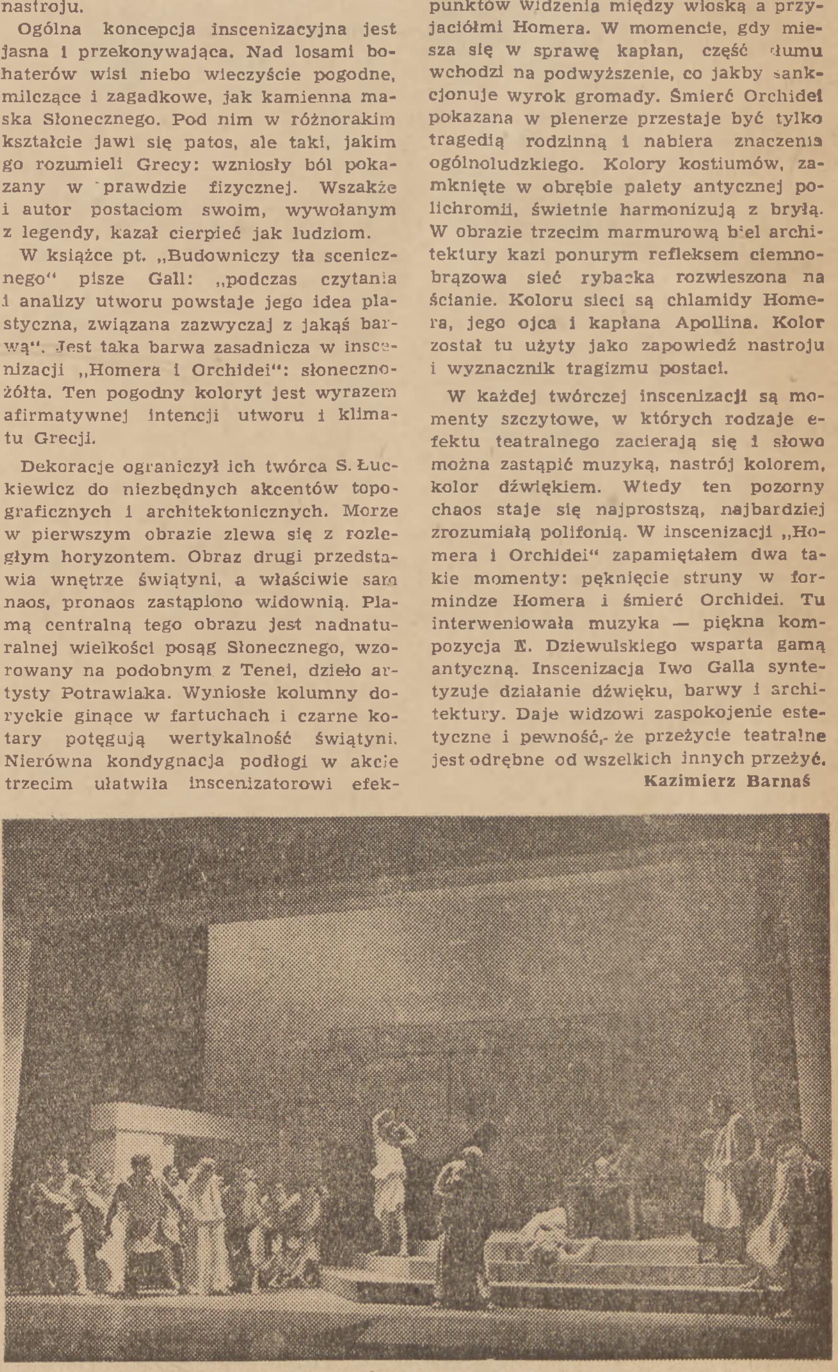

Scena zbiorowa z aktu III.

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE „ORFEUSZA"

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z wydrukowanym w „Odrodzeniu" utworem T. Peipera „Wśród mroków" pozwolę sobie wyrazić zdziwienie, że utwór ten, będący naśladowaniem parodii dramatycznych, w których celują m. in. St. Otwinowski i A. M. Swinarski, T. Peiper podał w formie, mającej pozory artykułu krytycznego, przez co naraził się na ciężki dla krytyka zarzut, że używa w recenzji chwytów dozwolonych tylko w karykaturze i stylu trącącego zdecydowanie Wiechem. Dla czytelników, którzy dotąd nie zorientowali się w gatunku literackim utworu T. Peipera, przytoczę argumenty.

Tadeusz Peiper w celu wywołania efektu komicznego posługuje się metodą zestawiania na chybił trafił zdań wyrwanych z różnych miejsc tekstu. Metoda ta, niezależnie od wartości utworu, daje zwykle bardzo zabawne rezultaty. Któż z nas nie przypomina jej sobie z wesołych czasów sztubackich!

Poza tym T. Peiper korzystając z praw, jakie mu przysługują jako parodyście, świadomie przekręca i deformuje raz po raz sens dramatu, uzupełniając go ponadto dodanymi od siebie dowcipami.

Oto kilka próbek takich dowcipów:

1) Orfeusz posiada jakoby lękliwą mamę, „dla której śmiech nie miał swych łask" (?) i która pouczyła go, że należy walczyć z lękiem.

2) W Hadesie istnieja lokale rozrywkowe, których szefową jest Persefona.

3) Eurydyka czyni autorowi poufne a niezrozumiałe zwierzenie, że ma lat piętnaście i że wychodząc za Orfeusza też miała lat piętnaście.

4) Przedśmiertny dialog Orfeusza z Aglae po ostatecznej stracie Eurydyki Tadeusz Peiper streścił śmiało słowami popularnej piosenki: Nie będzie ta, będzie inna.

Jak na mój smak, ten ostatni dowcip jest bodaj najbardziej zaskakujący i nieoczekiwany.

Na tym kończę życząc T. Peiperowi laurów na tej nowej dla niego drodze. Śmiejmy się — śmiech to zdrowie.

Anna Świrszczyńska (Kraków)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku ze zdjęciem z komedii Fredry „Damy i Huzary" zamieszczonym w nr 48 (105) „Odrodzenia" z dnia 1 grudnia br. proszę uprzejmie o sprostowanie mego nazwiska, które brzmi **Jakowska** a nie — jak mylnie podpisano pod zdjęciem — Jankowska.

Anna Jakowska (Wrocław)

BŁĄD

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule „Przyjaciele z Kuźni Młodych", drukowanym w numerze „Odrodzenia", napisałem, że Julian Blachowski zabił Boussaka. Jest to nieprawdziwe, pamięć mnie w tym miejscu zawiodła: Blachowski zabił w Żyrardowie Gastona Kellera, pełnomocnika Boussaka w Zakładach Żyrardowskich.

Kazimierz Brandys (Łódź)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

Alarm biblioteczny. W artykule pod tym tytułem, ogłoszonym w nr. 49 „Odrodzenia" w wierszu 80 od góry wkradł się błąd drukarski, który fałszywie przedstawia istotny stan rzeczy poruszonego zagadnienia. Mianowicie zamiast „wydawcy" powinno być „drukarz", ponieważ obowiązek dostarczania egzemplarza bibliotecznego, wedle przedwojennej ustawy, ciążył jak wiadomo przede wszystkim na drukarzu, jeśli chodziło o publikacje odbite w kraju.

Irena Barowa (Kraków)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule pt. „Droga przerwana" zamieszczonym w nr. 49 (106) „Odrodzenia" wydrukowano błędnie: „odkryją dziwne dale w greckim słowie »nas«" zamiast „odkryję dziwne dale w greckim słowie »naos«"; dalej: „Trudno nie wyczuć kilka głębokich rys..." zamiast „trudno nie wyczuć kilku głębokich rys"; wreszcie: „najpiękniejsze jednak uczucie niedosytu, z jakim zamykamy „Scene przy strumieniu" zamiast: „najgłębsze jednak uczucie niedosytu" itd.

Henryk Markiewicz (Kraków)

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego" 10—11 (12—13) o następującej treści:

J. Hochfeld: Człowiek epoka
A. Krygier: Trzy okresy socjalizmu polskiego
H. Świątkowski: Wielka Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski
K. Krejci: Czechosłowackie święto niepodległości
M. Nowicki: Zasady uspołecznienia gospodarki mieszkaniowej
J. Topiński: Struktura handlu państwowego
K. Piotrowska: Człowiek w Planie Odbudowy Gospodarczej
M. Rybicki: Uwagi w sprawie stylu życia działaczy politycznych
J. Beluch-Beloński: Wspomnienie o Hermanie Liebermanie

KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU

J. Durko: Ignacy Daszyński i niepodległość Polski
D. Kluszyńska: Ignacy Daszyński, poseł Śląska Cieszyńskiego
M. Zawadka: Kontakty Daszyńskiego z ruchem robotniczym zaboru rosyjskiego
J. D.: Zjazd Paryski i powstanie PPS

NA HORYZONCIE

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami

IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA

S. Płoski: Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej
M. Anhalt: Początki klasy robotniczej
T. Głowacki: Ludwik Feuerbach
K. Wojciechowski: Metody pracy Organizacji Młodzieży TUR
A. Kwiatkowski: Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji
H. Groniewski: Fragment teorii planowania

Na marginesie II Zjazdu Literatów Polskich

L. Bukowiecki: Ekran i scena
Korespondencja — Z życia partii — Notatnik referenta

Cena numeru zł. 20.—

Redakcja i Administracja — Warszawa, ul. I. Daszyńskiego (Wiejska) 18

· CZYTELNIK ·

*** * * 1946 GWIAZDKA 1946 * * ***

KAZIMIERZ BRANDYS
DREWNIANY KOŃ
POWIEŚĆ
STRON 231 — CENA 320 zł

KSAWERY PRUSZYŃSKI
TRZYNAŚCIE OPOWIEŚCI
STRON 330 — CENA 420 zł

JERZY ZAWIEYSKI
NOC HUBERTA
POWIEŚĆ
STRON 216 — CENA 300 zł

HELENA BOBIŃSKA
O SZCZĘŚLIWYM CHŁOPCU
POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY
WYDANIE CZWARTE
STRON 256 — CENA 300 zł

ANIELA GRUSZECKA
OD KARPAT NAD BAŁTYK
OPOWIEŚĆ
Z ILUSTRACJAMI JERZEGO KAROLAKA
STRON 287 — CENA 380 zł

ARKADY FIEDLER
RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI
Z DWUNASTU ILUSTRACJAMI I MAPKĄ
STRON 218 — CENA 360 zł

WANDA GRODZIEŃSKA
MIGDAŁOWE HISTORIE
ILUSTROWAŁ MIECZYSŁAW PIOTROWSKI
CENA 380 zł

JAN BRZECHWA
OPOWIEDZIAŁ DZIĘCIOŁ SOWIE
ILUSTROWALI HA-GA I ERYK LIPIŃSKI
CENA 400 zł

JANINA PORAZIŃSKA
O DWUNASTU Z ZAPIECKA
ILUSTROWAŁA OLGA SIEMASZKOWA
CENA 420 zł

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
WIERSZE WYBRANE
Z PORTRETEM AUTORA
STRON 240 — CENA 360 zł

BIBLIOTEKA „CZYTELNIKA" × TOM 1 ×
STEFAN ŻEROMSKI
NOWELE OPOWIADANIA I FRAGMENTY
/ WYBÓR /
Z WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI KAZIMIERZA WYKI
STRON XXXIV+326 — CENA 360 zł

STEFAN TWORKOWSKI
ARCHITEKTURA WSI
MATERIAŁY DO DYSKUSJI
Z LICZNYMI ILUSTRACJAMI I 2 MAPKAMI
STRON 160 — CENA 480 zł

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

LITERATURA PIĘKNA

Wojciech Bąk. Syn ziemi. Łódź, Władysław Bąk, (1946); str. 136.

Jan Kochanowski. Wybór poezji. Opracował **Stanisław Adamczewski.** Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** Łódź, „Książka", 1946; str. 172 i III i 1 nl. — 100 zł.

Zofia Nawrocka. Strofy gorące. Paryż, Edition Bordas, 1946; str. 91 i 5 nl.

Antoni Słonimski. Wybór poezji. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 197 i 3 nl. i 1 portret autora. — 200 zł.

Juliusz Słowacki, Deniowski. Poema. Pięć pierwszych pieśni. Opracował **Juliusz Saloni.** Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** (Łódź), „Książka", 1946; str. XXIX i 3 nl. i 141 i 3 nl. — 110 zł.

Arkady Fiedler. Kanada pachnąca żywicą. Wydanie siódme. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 245 i 3 nl. — 250 zł.

Arkady Fiedler. Zwierzęta z lasu dziewiczego. Rysunki w tekście wykonali: **Jan Wroniecki, Antonina Niemczewska i Regina Przybyszewska.** (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 145 i 3 nl. — 200 zł.

Anatol France. Zbrodnia Sylwestra Bonnard. Przekład **Jana Stena.** Okładkę projektował **Mieczysław Piotrowski.** (Łódź), „Książka", 1946; str. 199 i 1 nl. i 1 portret autora. — 150 zł.

Biblioteczka Młodego Czytelnika. Przekłady z obcych literatur. 1. **Arkady Gajdar.** Timur i jego drużyna. Przekład autoryzowany **Heleny Jarmolińskiej.** Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 69 i 3 nl. — 75 zł.

Stefan Klimczak. Od Oki do Szprewy. Montaż literacki. Słowo wstępne **Henryka Wernera.** Nakład drugi. (Łódź), „Książka", 1946; str. 228. — 210 zł.

J. I. Kraszewski. Kunigas. Dzieje Litwy i Krzyżaków w początkach XIV wieku. Łódź, Władysław Bąk, (1946); str. 230 i 4 nl.

Leon Kruczkowski. Kordian i cham. Wydanie piąte. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 287 i 1 nl. — 240 zł.

Antoni Makarenko. Poemat pedagogiczny. Tłumaczyła **B. Rafałowska.** Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** (Łódź), „Książka", 1946; str. 228 i 4 nl. — 180 zł.

Irena Millerowa. Nowele. Okładkę projektowała **Olga Siemaszkowa.** (Łódź), „Książka", 1946; str. 45 i 3 nl.

Jan Papuga. Szczury morskie. (Sea rats). Opracowanie graficzne: **St. Brzęczkowski.** (Warszawa), „Książka", 1946; str. 188 i 1 nl. — 200 zł.

Adolf Rudnicki. Józefów. Warszawa, „Książka", 1946; str. 16 — 10 zł.

Biblioteka Pisarzy Polskich. 4. **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).** Faraon. Powieść. Okładkę projektował **Władysław Daszewski.** (Warszawa), „Książka", 1946; t. I. str. 257 i 3 nl; t. II. str. 317 i 3 nl; t. III. str. 270 i 2 nl. — 420 zł.

Sewer (Ignacy Maciejowski). Bajecznie kolorowa. Nowela. Łódź, Władysław Bąk, 1946; str. 190 i 2 nl.

Wiech, Stefan Wiechecki. Spacerkiem przez Poniatoszczaka. Katowice, „Awir", 1946; str. 105 i 1 nl. — 280 zł.

FILOZOFIA

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wykłady i przemówienia. 3. **ks. Antoni Słomkowski.** Pochodzenie człowieka w świetle nauki Kościoła katolickiego i w świetle teorii ewolucji. Wykład wygłoszony w cyklu Wykładów Uniwersteckich Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego dnia 27 stycznia 1945. Lublin, 1946; str. 39 i 1 nl. — 40 zł. — 11. **ks. Józef Pasztuszka.** Psychologiczne źródła niewiary. Wykład wygłoszony w cyklu Wykładów Powszechnych Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego dnia 20 maja 1945. Tamże; str. 30 i 2 nl. — 30 zł.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tom 35. **ks. Józef Pastuszka.** Psychologia ogólna. Tom I. Tamże; str. 4 nl i 415 i 1 nl. — 450 zł.

PRZYRODA

Jan Dembowski. Psychologia małp. Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** Łódź, „Książka", 1946; str. 271 i 1 nl. — 270 zł.

Biblioteka Popularno-Naukowa. 7. **Jan Rostand.** Owady. Przełożył **Adam Czartoryski.** Warszawa, „Książka", 1946; str. 120. — 120 zł.

PROZA DOKUMENTARNA I PUBLICYSTYKA

Jerzy Kowalewski. Ludowa Jugosławia. (Warszawa), „Książka", 1946; str. 91 i 1 nl i 1 portret. — 70 zł.

Folke Bernadotte. Koniec Trzeciej Rzeszy. Tłumaczenia na język polski dokonał **Roman Szydłowski.** Okładkę projektował **Józef Mroszczak.** Katowice, „Awir", 1946; str. 105 i 1 nl. — 180 zł.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wykłady i przemówienia. 17. **Cezary Berezowski.** Organizacja Narodów Zjednoczonych. Wykład wygłoszony w cyklu Wykładów Powszechnych Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 24 lutego 1946. Lublin, 1946; str. 31 i 1 nl. — 30 zł.

Edmund Osmańczyk. Sprawy Polaków. Obwoluta projektu **Janusza M. Brzeskiego.** Katowice, „Awir", 1946; str. 159 i 1 nl. — 200 zł.

Jerzy Pytlakowski. Powstanie mokotowskie. Reportaż. (Warszawa), „Czytelnik", 1946; str. 3 nl i 111 i 1 nl. — 120 zł.

Józef Wasowski. Człowiek. Naród. Ludzkość. Warszawa, „Nowa Epoka", 1946; str. 120 i 8 nl i 1 autoportret. — 180 zł.

PRAWO

Mały kodeks karny (znowelizowany). Dekret z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa. (Dz. U. R. P. Nr. 30, poz. 192). Z objaśnieniami i przepisami związkowymi. Opracował **Witold Bogucki.** (Warszawa), „Książka", 1946; str. 129 i 3 nl. — 120 zł.

Prace Seminarium Prawa Konstytucyjnego U. J. **Grzegorz Leopold Seidler.** Ewolucja problemów budżetowych w polskim prawie państwowym. (Kraków), „Książka", 1946; str. 29 i 3 nl. — 50 zł.

Z TEKI DR. PROTA SOWIZDRZAŁA

(W papierach dr. Prota Sowizdrzała znajduje się na luźnych kartkach parę bajek Antoniego Goreckiego, które tutaj wiernie z adnotacjami właściciela teki przedrukowujemy).

KOZA I PIES

Koza psa przywitała i dalej ucieka.
Ten zawoła: „Cóż pani tak ode mnie stroni?
Czy się gniewasz?" Ta rzecze: „A niech Pan Bóg broni,
Chcę być w zgodzie, dlatego mijam cię z daleka."

Czy to jest mądrość życiowa mizantropa? czy też taktyka słabości? Powie może ktoś, że mizantropia jest słabością, więc nie ma powodu do subtelnych rozróżnień. Nie wydaje mi się, żeby człowiek dźwigający ciężar mizantropii był słabeuszem. To raczej bezrobotny, zmarnowany siłacz. Sprawy tej zresztą nie można rozważać poza tekstem bajki. Sens jej zwrócony jest przeciw psu. Autor wszakże wybierając kozę za partnerkę brysia pozwala czytelnikowi mniemać, że chodzi tu również o wybieg słabości. Jakże często bajki są dwuznaczne! Nie jest to wina koncepcji. Następstwo to faktu, że bajka bywa nieraz bliższa życiu niż sztuce, że gatunek to literacko surowy. Wiadomo zaś, że moralność dzieł literackich jest czystsza, delikatniejsza, bardziej skrupulatna niż praktyczna, kompromisowa moralność życiowa. Dwuznaczność bajki „Koza i pies" to typowa dwuznaczność wielu sytuacji życiowych: jakże często patrząc na postępowanie nawet znajomego nie wiemy, w jakiej chwili mamy do czynienia z kozą, a w jakiej z psem i na wszelki wypadek omijamy go, aby być z nim w zgodzie! Wówczas nasz znajomy zaczyna rozmyślać, czy kieruje nami lęk przed nim czy pogarda, słowem, czy gramy kozę czy psa.

*

SZPIC I LIS

Skradł się lis do kurcząt pewnego poranku
A wtem go szpicek począł napominać z ganku:
„A wstydź się panie lisie, jak to można komu
Zabierać jego świętą własność po kryjomu!"

— „Znam cię", rzekł lis, „moralna łatwa tobie mowa.
Kiedy cię czeka w sali potrawka gotowa;
Ja nie wziąłem pałaców, jak ty je masz z rodu,
Więc muszę żyć przemysłem, bym nie umarł z głodu."

— „Czy skończyłeś?" — „Skończyłem".
Tu mi krytyk powie:
„Co się tobie poeto przewróciło w głowie;
Jakaż tu proszę ciebie, moralność się mieści!?
Wyraźnie kunszt filutów chwalisz w tej powieści."

— „O nie! bardzo przepraszam, darujcie krytycy,
Kto kradnie, ten wart zawsze u mnie szubienicy;
Lecz jak śmiesznie, tom tylko pokazał widocznie,
Kiedy próżniak złodzieja napominać pocznie."

Bajka Goreckiego nosi stempel wyraźnie dworski i w wielu wsiowych okolicznościach mogła była być cytowana. Nawet jako przykład dyskusji na temat reformy rolnej.

*

KOT I MYSZ

Złapał kot mysz przy książce: „Co robisz?" W kłopocie
Rzekła biedna: „Jem książkę — źle pisze o kocie"
— „A największa zbrodniarko!" krzyknął kot z zapałem,
„Wolność druku przestrzegam w moim państwie całem:
Ty ją niszczysz!" I zaraz zjadł ją dla przykładu.
Gdyś myszką w kocich łapkach, dojdziesz ty z nim ładu.

Jaka szkoda, że nie czytało Goreckiego w czasie wojny paru mych przyjaciół, subtelnych znawców zagadnień literackich! Moglibyśmy sobie dzisiaj pogwarzyć o poetyce bajki. Byli to intelektualiści usque ad unguem... kota!

*

SZCZUR LITERAT

W pewnym sławnym z nauk mieście
Szczur wlazłszy do biblioteki.
Gryzł spokojnie lat dwadzieście
Uczone dzieła Seneki.

Ta obfita strawa przecie
Niewiele posiłku dała;
Tak wysechł, że mu na grzbiecie
Ledwo się skóra trzymała.

Raz tedy literat chudy,
Gdy go wzięły z głodu nudy,
W południowej latem dobie
Wędrował po mieście sobie.

A wtem ogromny i tłusty
Spotyka go szczur znajomy,
Z którym dawniej przez zapusty
Zgryzł P.... dwa tomy.

„Jak się masz", zawołał, „bracie"
Ściskając mile kolegę dawnego,
„Tak mi tłusto wyglądacie,
Jakbyście zjedli Woltera całego."

— „Gdzie tam Woltera? Dawno go rzuciłem"
Rzekł tłuścioch. — „Nie łamię głowy,
Ot, sobie wlazłem do maki skarbowej
I niby trochę utyłem."

Pytano mnie niedawno, w jaki sposób pewien lichy i chudy literat nic nie pisząc tak dostatnio obecnie żyje? Widocznie przeczytał bajki Goreckiego, rzucił kram literacki, wlazł do teatru lub filmu i zwyczajnie trochę utył!

*

podał do druku

Wacław Kubacki

KRONIKA ILUSTROWANA

WILHELM SZEWCZYK

Jury nagrody literackiej miasta Katowic na posiedzeniu w dniu 3 grudnia przyznało ją po raz pierwszy za rok 1946 Wilhelmowi Szewczykowi autorowi tomu poezji „Posągi", wydanego w r. 1945. Wilhelm Szewczyk debiutował w r. 1938 poematem „Hanys". Nagrodzone „Posągi" obejmują wiersze z lat 1939—1945, m. in. poemat „Noc" napisany w r. 1942 i rozpowszechniany w czasie okupacji jako druk konspiracyjny. Poemat ten jest w pewnym sensie kontynuacją „Hanysa". Sąd konkursowy nagradzając wiersze Szewczyka wyszedł z założenia, że jest to pierwszy poeta z Górnego Śląska, który przestał być poetą regionalnym i wzbogacił poezję polską o nowe elementy formalne i treściowe

ANTONI RÓŻYCKI

dyrektor Teatru Miejskiego w Lublinie obchodzi 40-lecie pracy aktorskiej

KRONIKA FILMOWA

„Ulica złoczyńców", film produkcji francuskiej, scenariusz — Jacques Prévert, reżyseria — Marcel Carné.

Wbrew pisanej i szeptanej prasie, że jest to doskonały film, będę się starał obalić tę niczym nie uzasadnioną opinię. Należy tylko nie dawać się zaczarować marką produkcji, paryskim stemplem na geniusz, a wówczas w tym długim dwuseryjnym tasiemcu każdy ujrzy to, co on poza kilku szczęśliwszymi momentami naprawdę reprezentuje: passeizm treści i formy. Scenariusz, jakby go rzeczywiście napisał dziadzio Wiktor Hugo, pełen łatwego sentymentalizmu, uczuć całkowicie konwencjonalnych (temat Pierrota i Colombiny!) i to na tle ulicznego i zakulisowego „kwaczu", tylekroć już filmowanego; tym razem udrapowane to na lata czterdzieste ubiegłego stulecia.

W pięknej (powiedzmy) metresie — kolejno: rzezimieszka, potem bonvivanta, a będącej pod koniec pierwszej części na najlepszej drodze, by uwiesić się bogatego arystokraty — kocha się aktorzyna-pierrot na pół szczęśliwie, na pół nieszczęśliwie. Ma bowiem jej uczucie (głęboko skrywane), ale nie jej ciało, widoczne dla każdego widza jak comber cielęcy. W pierrocie znowu kocha się nieszczęśliwie córka dyrektora teatru, erotyczna męczennica, „świadoma" swojej roli wobec zaślepionego kochanka. Pierrot kryguje się, „przeżywa", szarpie i wykonuje na scenie parę pantomin, które dowodzą talentu w tym kierunku aktora Barrault, ale co to ma wspólnego z jakąś rozsądnie pomyślaną akcją? Czy może ma temu pomóc heca ze sznurem, która jest aluzją do samobójczych myśli amanta? W dodatku konwencjonalność intrygi, naiwna zgodnie z naszymi literackimi wiadomościami o tym czasie, została ujęta bez dystansu do tej zwietrzałej tematyki. Scenarzysta razem z reżyserem siedzą w tej bzdurze i nie mogą się rozejrzeć, nic się u nich nie odbywa na niby, żadnego cudzysłowu, mędrszego i bystrzejszego spojrzenia. Takie postaci jak żebrak-ślepiec, który nie jest ślepcem, szalbierz, lichwiarz, jurna właścicielka hotelu, takie sytuacje jak groteskowa bójka aktorów — to przecież wszystko zdawkowe aż do znudzenia. O ileż lepiej robili to Amerykanie w tylu już wersjach tego czasu, stylowo tak ponętnego dla kamery filmowej. A jeśli już idzie o liryczne wytrzymanie wątku erotycznego, to „Ulica złoczyńców" nie wytrzymuje porównania z żadnym przyzwoitszym filmem tego typu, po prostu dlatego, że różnica między psychologicznym komunałem a psychologiczną prawdą jest wcale pokaźna. Zdjęcia ciemne, brunatne (nie czarnobiałe), dźwiękowość głucha.

Barrault jest dobrym aktorem, ale właśnie „aktorem", co podkreśla czysto teatralnym ujęciem swej roli. Dziś jesteśmy już do tego przyzwyczajeni, że postać aktorska musi się zróść raz na zawsze z kreowaną postacią tak, byśmy sobie nie mogli jej wyobrazić w innej wersji. To nie może być maska, którą się odrzuca po zgaszeniu jupiterów. A to się u Barraulta podejrzewa.

Problematyka moralna, filozofia życia, niemal w skali „nagiej duszy", u mędrkującego opryszka — pożal się panie Boże! Tak, tak monsieur Carné (reżyser). Zrobiło się niegdyś „Ludzi za mgłą", ale to już było dawno temu. Teraz — jakoś nie wyszło.

Marian Promiński

MA RACJĘ

Czytam w „Tygodniku Powszechnym" (nr 48): „na przebiegu historii Polski niemało zaważyło, o czym zapominamy, że Jagiellonowie byli wprawdzie spolonizowani, ale pochodzili z krwi obcej".

W pierwszej chwili obruszam się: czy aby nie nadto śmiało?

Ale po chwili obliczam: Jagiełło = Litwin, jego synowie = półkrwi Litwini, wnukowie = trzecie pokolenie. Chyba tylko Zygmunta Augusta można by ułaskawić; ustawy norymberskie też się ograniczają do trzech pokoleń. Ale kto się sparzył, dmucha na zimne.

Autor rewelacji: znana nam już znakomitość historyczna, p. P. Jasienica.

jaszcz

CZY HERMAN HESSE JEST NIEMCEM?

Nagrodę literacką Nobla otrzymał Herman Hesse. Byłoby przesadą, gdybyśmy uważali go za Niemca. Syn niemieckiego pietysty, misjonarza, urodził się wprawdzie w Wirtembergii, ale rodzina pochodzi z Estonii. Z Rzeszą zerwał już w roku 1914. Jego artykuł w „Züricher Zeitung" (3 listopada 1914 — „Freunde, nicht diese Töne") ostro potępiający stanowisko intelektualistów niemieckich wobec pierwszej wojny światowej wywołał w Niemczech taką falę oburzenia przeciw „zdrajcy", że autor wolał przyjąć obywatelstwo szwajcarskie. Żyje też w Szwajcarii od lat przeszło trzydziestu. Przyjaciel Karola Spittelera, Tomasza Manna, Romain Rollanda, od dawna widział katastrofę, ku której idą Niemcy i ostrzegał przed nią. Dziś, w liście otwartym do niemieckich przyjaciół (ogłoszonym w „Züricher Zeitung") jasno i wyraźnie stwierdza winę Niemiec, a nie tylko hitleryzmu, za to, co się stało. Jasno wskazuje, że źródła hitleryzmu tkwiły już w mentalności Niemiec cesarskich, a dalszy rozwój z nieubłaganą logiką wyciągał konsekwencje z istotnych cech tej mentalności.

Odznaczenie siedemdziesięcioletniego, na wpół dziś oślepłego starca, który był zawsze przede wszystkim Europejczykiem i pacyfistą — nie jest odznaczeniem pisarza niemieckiego. Ale — mimo wszystko — jest odznaczeniem pisarza tworzącego po niemiecku. Oczekiwaliśmy raczej, że pierwszym pisarzem odznaczonym międzynarodową nagrodą po wojnie będzie ten pisarz, który przedstawi, co w czasie wojny czynili ludzie mówiący po niemiecku. Raz jeszcze stwierdziliśmy, że neutralna Skandynawia nie rozumie tej Europy, która doświadczyła rządów hitleryzmu. I raz jeszcze nas ostrzeżono, zachód zaczyna wierzyć w „inne Niemcy", musimy się liczyć z istnieniem innych Niemiec.

gi

I KOMU TU WIERZYĆ

Wiele miał radości „Dziennik Polski" i „Dziennik Żołnierza", kabaret „Biały Orzeł" i inne propagandowe instytucje „nieprzejednanych", gdy dowiedziały się o wydaleniu z Polski gościa NSZ w Lubelszczyźnie i korespondenta brytyjskiego z Warszawy, p. Derecka Selby. Oto nareszcie znalazł się sprawiedliwy, który potwierdzi, że wszystkie wieści głoszone przez andersowców na temat stosunków panujących w Polsce, są prawdziwe co do joty.

P. Selby powrócił i ogłasza w Anglii reportaże. Część z nich „Dziennik Żołnierza" skwapliwie przedrukował. Aż nagle — urwało się. Jedną korespondencję wypadło w tłumaczeniu obrzezać, inną w ogóle pominąć.

Cóż bowiem napisał p. Selby, za różne ciężkie wobec kraju gospodarzy przewinienia wydalony z Polski korespondent, a więc gratka nie lada? Że to i tamto i owo. Ale również — że pociągów odjeżdżających z Polakami na Sybir nie widział, bo ich w ogóle nie ma i nie było, a także — że miejsce Polaka, jakichkolwiek byłby przekonań, jest w kraju i przy pracy nad odbudową.

Te uwagi wystarczyły, by p. Selby powiększył grono osób wpisanych na indeks u Andersa. A to zdrajca, powiedzieli „londyńczycy", „rząd lubelski" go wydalił, a mimo to nie widział pociągów na Sybir; i w dodatku ośmiela się doradzać nam powrót do roboty w kraju... „Straszne czasy, panie generale". „Okropne, panie ministrze".

jaszcz

„PAN JOWIALSKI" FREDRY W KATOWICACH

W Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach wystawiono „Pana Jowialskiego" Al. Fredry. Na zdjęciu: TADEUSZ KONDRAT (Jowialski)

SATYRA NA ANNĘ ŚWIRSZCZYŃSKĄ

która proponuje, byśmy miast wódki pili piwo i wino owocowe

**Platon pił i pił Horacy
podczas pracy i po pracy.
Hafis pił i pijąc pisał;
nie mam żalu do Hafisa.
Kochanowski pił pod lipą,
przed pisaniem, w czasie i po.
Pasek pił i Aretino,
tamten wódkę, a ten wino.
Michał Anioł z Lionardem
wermut pili pod pulardę.
Regularnie pił Petrarca:
jeden sonet — jedna miarka.
Molier spijał się z Racinem,
lecz nie owocowym winem.
Balzac (ten od pani Hańskiej)
też pił wino, lecz szampańskie.
Piła cała Młoda Polska;
pił Kasprowicz, piła Solska;
Solski jeszcze dzisiaj pije
i sto lat na świecie żyje.
Pije Staff i Otwinowski,
Przyboś, Breza i Żukrowski,
Morstin oraz Morstinowa,
z Mortkowiczów Olczakowa,
Andrzejewsk i Flukowski
i Grzybowski (mąż Grzybowskiej).
Makuszyński, Iwaszkiewicz
i podobno też Minkiewicz.
Tęgo wódę ciągnie Dygat,
a po piwie zaraz rzyga.
I już nieraz był pijany
także — niżej podpisany.**

**A w Swirszczyńskiej wieczna susza.
Znamy skutek: — „Orfeusza"!**

ARTUR M. SWINARSKI

„LATO W NOHANT" IWASZKIEWICZA W BIELSKU

W Teatrze Polskim w Bielsku i w Cieszynie grana jest sztuka Iwaszkiewicza „Lato w Nohant", w reżyserii St. Kwaskowskiego

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Basztowa 15, m 8, tel. 593-28 i 507-12.—Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 17 036 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

BIBLIOTEKA